

I. POEZJA PRZED ISLAMEM

ABŪ KABĪR Z PLEMENIA HUDHAJL

W ciemną noc z szalonej odwagi
Jechałem z młodzieńcem, dzielnym, na wszystko gotowym.

Podobnym mogły być matki brzemiennie synem,
Którym nigdy pas nie był rozwiązany; nie zniewieściły rósł młodzieniec,
Brudem ciała kobiecego niesplamiony,
Jadem karmicielki i zarazą nietknięty.

Poczęła go w strasznej nocy
W bólu, węzeł w pasie nie był rozplątany.

Wychowała go, dzikiego duszą, zwinnego ciałem,
Czujnego tam, gdzie ospale drzemie w nocy niezgrabiasz ociężaty.

Gdy nań w nocy rzucasz kamyk, wnet widzisz, zwinny wstaje młodzieniec,
Zrywa się, jak ptak skoczy z miejsca.

A gdy się ze snu budzi, widzisz,
Jak, nie slaniając się, mocno staje na nogi.

Zrzuć go do wąwozu górskiego, a zobaczysz,
Jak nietknięty upadnie na występy skalne, jak orzeł z powietrza pada.

A gdy się przyjrzyysz rysom jego twarzy, zobaczysz,
Jak jaśnieją jak światło skośnej chmury.

Straszny w bitwie, niezwyciężony,
Umysłem ostry, jak miecz, co gra i błyska.

Towarzyszów obrońca, gdzie niebezpieczeństwo wielkie,
A kto u niego w gościnie, ten w potrzebie radość znajdzie.

AMR IBN KULTHUM

Wstrzymajcie się, o Bekra potomkowie śmieli!...
Kim jesteśmy — czyżbyście dotąd nie wiedzieli?!
Helm na czapce jemeńskiej nosim jak koronę
I miecze, od ciągłego użytku skrzywione.
Promienie błyskawicy biją od pancerza,
Które tak się nawzajem ścigają wytrwale,
Jako wichrem pędzone oceanu fale.

Gdy po walce skończonej oderwą je z ciała,
Sposprzeżesz, jak ryerczom skóra poczerniała!

Po ojcach dziedziczymy ten spadek jedyny,
 W którym kiedyś do walki pójdą nasze syny.
 Dzielne, ręce, ogniste, domorośle konie
 Niosą nas w najgorętsze krwawej walki tonie.
 W walce stoją za nami pięknych kobiet rzędy,
 Dla których każdy musi okazywać względy.
 W latach głodu wszak nasze otworem śpichlerze,
 Z których każdy, gdy taknie, zapomogę bierze.
 Skoro miecza dobędziem dla czyjej obrony,
 Ten na długo posiada spokój zapewniony.
 Tak się na polu walki głowy wrogów toczą,
 Jak piłki, które dziaćwa rozrzuca ochoczo.
 Nasi bracia zapasów żywności nie strzegą,
 Lecz potrafią honoru pilnować własnego.

Tłum. Julian Adolf Świącicki.

CHĀRITH

Te wypadki przykre i te wieści
 Sercom naszym dodają boleści.
 Z Arakimu bracia nasi mili
 Wszelką miarę wstydu przekroczyli,
 Kiedy z ludzi rozbójniczych zgrają
 I cnotliwych bezkarnie mieszają,
 Utrzymując, że morderstwo księcia
 Jest owocem Bekrów przedsięwzięcia!...
 Uchwalono z wieczora rzecz całą,
 A nazajutrz nieszczęście się stało...
 Tamten krzyczy, ten sobą nie włada,
 Rży wielbłądów i koni gromada!...
 Ty, co czernisz nas przed Amrem skrycie,
 Darmo pragniesz zakłócić nam życie!...
 Nie sądz, że nam twe kłamstwo zaszkodzi,
 Gdy nas żaden wróg już nie obchodzi!...
 Mimo ludzi nikczemnych szykany
 Wiecznie honor nasz... niepokalany!
 Każda troska, co w pierś naszą zmierza,
 Od twardego odskoczy pancerza;
 Jak szczyt góry, co wiekowe gromy
 Z urąganiem wita... nieruchomy!...

Tłum. Julian Adolf Świącicki.

Z HAMĀSY

Tak, jesteśmy ludem, który walki śmiertelnej za przekleństwo nie poczytuje,
 Choć Amer i Seltl jako przekleństwo ją przyjęli.

Miłość śmierci zbliża do nas nasz dzień ostatni,
 Ale ci, którymi śmierć gardzi, śmierci umykają.

Jeszcze nigdy żaden wódz nasz nie wyzionął ducha w pokoju,
 Jeszcze nigdy nam krew w ziemię nie wsiąkla niepomszczona.

Nasz ostatni dech wypływa na ostrza naszych mieczów,
 Na nic innego nie spłynie nasza krew prócz mieczów ostrzy.

Czyści jesteśmy od krwi, niezmaceni, w cnocie poczęci
Przez kobiety płodne brzemiennie, z mężów dzielnych.

Na najpiękniejsze wyżyny się wspinamy, a niekiedy
Do najpiękniejszych dolin schodzimy.

Jesteśmy hojni, jak deszcz chmur, obcy jest naszemu towarzystwu
Skąpiec i człowiek o skrzydłach zgiętych.

Gdy chcemy, odtrącamy słowa innych,
Nikt naszych nie odtrąca, gdziekolwiek zabrzmią.

A gdy wśród nas odchodzi wódz, inny wódz powstaje,
Twórca słów szlachetnych, twórca czynów.

Nigdy nie gasiliśmy ognia przed gościem naszym,
Nigdy nie ganił nas nikt, gościnnie przyjęty.

Nasze miecze znane są na wschodzie i na zachodzie,
Karby na nich są od walki z misiurami stalowemi.

Przyzwyczajone do tego, że nigdy nie wyszły z pochwy i nie wróciły,
Nienapojone krwią szlachetną wroga.

Spytaj tylko krzaku balsamu, tam gdzie rośnie na nasypie piaszczystym,
Spytaj go tylko, jak często witałem twego mieszkania zwaliska.

Spytaj go tylko, czy w jego cieniu stałem w wietrzyku wieczornym,
Jak żebrak, a stać tak było mi miło.

Spytaj go tylko, czy na widok twej siedziby oczy mi nie zachodziły
Zasłoną łez spływających, jak pereł rozwiązany sznur.

Wszyscy ludzie, widzę, czekają paszy wiosennej, radości wiosennej,
Ale moja nadzieja wiosny jest tam, gdzie ty namiot rozbijasz.

Wszyscy ludzie, widzę, nieurodzaju się boją, głodu.
Mój strach jest tylko, gdy twój odjazd grozi.

Jak mnie boli, żeś mnie tak słowami zraniła!
Jak mnie jednak raduje, żeś o mnie pamiętała.

Niech cię cieszy, że ręką podtrzymuję zbolale serce,
Że lzy wykwitają w oku ze strachu, że cię stracę.

Hej, Szabana potomkowie,
Powstrzymajcie groźne dłonie:
U Lafawa studni jutro
Napotkacie moje konie!
To rumaki krwi szlachetnej,
Co do walk się rwą w pogonie,
Aż się w bliskim starciu zetrą:
Czyto góry, czyto błonie,
Idą dzieci rodu Mazen —
Lwy, co ogień żywią w łonie.
Rozpoznajcie ich w ataku,
Rozpoznajcie ich w obronie:

Jak wytrwali są na trudy,
Gdy los ogniem na nich żonie.
Jako wichry idą naprzód,
Gdy im w sercu krew zapłonie.
Obosiecznym swym jemeńskim
Mieczem — krwi wytoczą tonie —
Nic ich w drodze nie powstrzyma:
Miecz ich wrogów skroś pochłonie!
Chcesz pomocy? Nie pytają,
O co walka, w której stronie:
Ale wnet polecą konno,
W wojowników dzielnym gronie.

Tłum. Antoni Lange.

TAABBATA SZARRAN

Nie zaślubiaj go — mówię — on żyje dla burzy,
 Ciało jego śród walki za cel wrogom służy.
 I ona, bezrozumna, drży od lęku cała,
 Żeby się po tym rychło wdową nie została,
 Który nawet śród nocy bojów nie unika
 I, nie śpiąc, zemstą krwawą godzi w przeciwnika.
 Inni walczą dla sławy — on ma jej za wiele,
 A jednak wokół czaszki potrzaskane ściele.
 Natura jego wszelkim wygodom nierada,
 Więc na kościach skóra w fałdy się układa,
 Śpi w lesie pośród zwierząt; nigdy ich nie straszy,
 Ani też o poranku nie spędza od paszy,
 Nad nimi czuwa jego i piecza, i siła,
 Tylko go walka z ludźmi chudym uczyniła.
 A kto zemstę na wroga za cel życia bierze,
 Ten się wcześniej czy później śmierci nie ustrzeże.

Tłum. Julian Adolf Świącicki.

* * *

Pod skalną grotą legł zamordowany,
 Lecz krew się jego nie oblekła w rosę:
 Mam podnieść ciężar tej śmiertelnej rany,
 Chętnie ten ciężar podniosę.
 Jam jest syn jego siostry — wypełniłem t s a r
 Za wielkiego rycerza zgasłe czarne oczy;
 Który, gdy się zasępił — krwawym mieczem parł,
 Jak żmija, co w pustyni trucizny swe toczy.
 Jakże nas przeraziła ta straszliwa wieść,
 Od której skala na proch się rozpadał
 Zginął mąż, dla którego każdy z nas miał cześć.
 Zginął ten, co był obrońcą sąsiada.
 W zimie ogrzewał nas jak dobre słońce,
 Latem, gdy świeci gwiazda Psia —
 Cienie rozlewał dokoła chłodzące.
 Żyłaste miał ramiona dwa,
 Lecz nie z chudzinny. Ręce miał wilgotne,
 Oko miał przenikliwe, serce do czynu ohotne.
 W wykonaniu zamysłów — jak miecz nieugięty.
 Darzył nas swemi łaski jak obłok rozpięty
 Nad polem, co zrasza siew.
 Lecz w gniewie straszny był jak lew.
 Włosy miał czarne. W długich szatach i zawoju —
 Dumnie przechadzał się pośród namiotów —
 Powolny w ruchu — i pełny spokoju,
 Lecz zawsze lekko jak wilk na bój lecieć gotów.
 Karmił ludzi piołunu czarą jak i miodu:
 Toć każdy z jego czy obcego rodu
 I tę, i tamtą otrzymywał rzecz.
 Samotny — na najgorsze puszczał się hazardy,
 A nikt nie bywał przy nim, jeno twardy —
 Jemeński, poszczerbiony w bitwach jego miecz.
 W samo południe my, młodzieńce hoże,

Zebraliśmy się w wielką moc:
 I szliśmy całą noc —
 I dotarliśmy pod obóz wraży,
 Zanim błysnęły zorze.
 Każdy — jakgdyby na straży —
 Miał z sobą — jako błyskawica lśniący —
 Miecz, przy wyjęciu z pochwy — krwi pożądający.
 Oni spali głębokim snem, bezwładni zgoła —
 Naraz wpadamy na nich — rzeź czynimy krwawą —
 Budzą się przerażeni, pierzchają dokoła.
 T s a r wykonaliśmy ze sławą.
 Nieliczni jeno uszli tej zemsty Gozale.
 Nieraz szczerbili miecze swoje o surowy
 Miecz Taabaty. Nieraz i on w chwale
 Szczerbił swój miecz o ich głowy!
 Od jego ciosów upadały wrogi,
 Jako wielbłądy, gdy śród twardej drogi
 Trafiają na gładów szorstkie płyty,
 Z nadłamanemi waląc się kopyty.
 Nieraz na wraże wpadał koczowiska —
 Straże zabijał zdala, obóz raził zbliska —
 A gdy rozpędził i gdy wielu zabił,
 Jako przystało — skarb im wszystek grabił.
 Dzisiaj więc ja te Gozale
 Ogniem wojennym palę —
 Mieczem ich zemsty rażę:
 Płonęli długo; wkońcu zginęli w pożarze!
 Pierwszy ja raz na te krwawe napoje —
 Młodzieńce rześkie prowadziłem swoje.
 A gdy się dość napiłem, powtórnie ich wiodę.
 Dotąd piłem jeno wodę.
 Teraz mogę pić wino, gdyż czynów mych sławą
 Zdobyłem sobie to prawo.
 Pijcież wino, me szable! Pijcież, moje włócznie!
 Pijcież wino, me konie! Możem teraz hucznie
 Weselić się, bo wszystko teraz dozwolone:
 Obowiązki wypełnione!
 Sawadzie, Amra synu, podaj mi wino w puharze:
 Jam znużon po tym krwawym mego wuja t s a r z e.
 Napoiliśmy śmierci kielichem Gozali:
 Niechajże ich pogarda i niech hańba pali!
 Zaśmiały się hieny, czując wrogów trupy,
 Wilki ostrzyły zęby, ujrzawszy te łupy.
 Zewszzechstron lecą już sępy, aby jeść dosyła,
 Aż im utrudnia loty uczła zbyt obfita.

Tłum. Antoni Lange.

SZANFARA

KASYDA

Bracia moi, postawcie wielbłądy na nogi!
 Dzisiaj Szanfara od was jedzie między wrogi.
 Gotowe juki rzemień do garbów przycisnął:
 Dalej w drogę! Noc ciepła, i księżyc zabłysnął.

Dalej! — Jeśli przed skwarem na ziemi są cienie,
Dla męznego przed hańbą znajdzie się schronienie
I nie będzie mu ciasno, jeśli przy rozumie
Gonić rozkosz a zgubie wymykać się umie.

Znajdę ja druhów, których przyjaźń więcej warta:
Znajdę płowego wilka i pstrego lamparta;
Hieny, zdobycz kroki pędzące chromemi,
To moi przyjaciele! Niemasz między niemi
Półgłówka, co mu tajnia w ustach nie doleży,
Co brata bładzającego z szyderstwem odbieży.
U nich na krzywdę zemsta, na gwałt moc gwałtowna.
Waleczni, ale w męstwie żaden mi nie zrówna.
Nieprzyjaciółom pierwszy ja skoczę do oczu,
A gdy przyjdzie łup dzielić, stoję na uboczu.

W dziale łupów łakomstwo chyżością zwycięża.
Ja czynię obyczajem dostatniego męża.
Nikt wielkością umysłu nie zdoła mi sprostać,
A kto czuje swą wyższość, godzien przy niej zostać.

Porzucam was i tęsknić nie będę za wami,
Których nie przyciągnąłem dobrodziejstw więzami,
I do których nie Ignęło nigdy serce moje.
Dosyć mam towarzystwa, gdy zostało twoje:
Serce waleczne, szabla, z której ognie biją,
I łuk złoty, wielbłądzią krzywiący się szyją,
Przy którym pas bogaty, suta frendzla spływa,
Majdan gładko ciosany i tęga cięciwa,
Co tak żałośnie jęczy, gdy z niej grot wyleci,
Jako matka wydarte ścigająca dzieci:
Jam nie sługa pragnienia, co się w noc zaczaja,
I, odstraszywszy żrebce, sam klacze wydaja;
Jam nie tchórz, ni za dziewic ogonem włóczęga,
Co w każdej drobnej sprawie rady ich zasięga;
Nie strusie serce moje: choć strach zakolata,
Nierównym pędem w piersiach jak wróbel nie lata.
Kto mię widział od rana do nocy śród gachów,
Brew malować, włos trefić w kąpielu zapachów?
Czy mię kiedy noc zbłąka; choć piaszczysta fala
Tumanami okręci i żwirem zawala,
Lecę na mej wielbłądce — wrą u nóg ukropy,
Krzemienie, iskry sypiąc, pryskają z pod stopy.
O głodzie, choć najdłuższym, w wielkomysłnej dumie
Nigdy wspomnieć nie raczę, i tak go załamię:
Karmię się prochem ziemi, a głód, nadaremnie
Pasując się, wyznaje, że słabszy ode mnie.
Gdybym został w obozie, gdzież więcej napitków?
Więcej jadła niż u mnie do potrzeb i zbytków?
Ale mam duszę gorzką, co się z hańbą kłóci,
I jeśli was nie rzucę, dusza mię porzuci.
Teraz pragnienie skręca wnętrzności w mem łonie,
Jak nić różnie targaną na prządki wrzecionie.

Z rana wybiegam naczczo, podobny wilkowi,
Co wygłodniały hasa i wiatr paszczą łowi,

I z pustyni w pustynie, w wąwozów rękawy,
 Przeciska się włóczęga, czatujący strawy;
 A gdy na długich czatach darmo się utrudzi,
 Wyje — wtórują wyciem towarzysze chudzi.
 Jako z łonem niepełnem wschodni księżyc cienki,
 Tak zapadłe ich boki, wychudłe paszczęki,
 Zęby dzwonią, jak strzały we wróżka prawicy,
 Albo jak roje pszczelne, gdy wkoło rodzicy
 Szumiącą polatuje na pagórek rzeszą,
 Gdzie drabinki bartnika gronami obwieszą.
 Paszcza ich wychudzona, ponura i gniewna,
 Gardziel rozdarta nakształt rozkłutego drewna.
 Zawył; i oni wyją, biegnąc na pagórki,
 Jak płaczące farysa małżonki lub córki.
 Umilkł; i oni milczą. Wycie mu ulżyło,
 I dla nich słyszeć równie wyjącego miło;
 Zda się, że spólność głodu wnętrzości uciszy:
 Znowu skarżył się, znowu skarżących się słyszy;
 Umilkł w końcu, umilkła wrzaskliwa gromada.
 Lepiej w milczeniu cierpieć, gdy wrzask nic nie nada.

Jeśli do studni jadę, lecący pułk strusi
 Daremnie grzmi skrzydłami — męty spijać musi.
 Nie zgonił mej wielbłądki bystry ich wódz stada:
 Ja odjeżdżam — spragniona zostaje gromada.
 Jużem odjechał — plectwo runęło na męty,
 Wole ich rozciągnione, dziób, ku studni zgięty,
 Jest posłem dobrych wieści; wre ciżba halasem,
 Jak obóz karawany, siedzącej popasem.
 Znowu śmignęły wgórze, znowu w studnię wpadły.
 Ścisnęły się nakoniec i zręby obsiadły,
 I, ryczałem wypiwszy, rozwinęły loty,
 Jak runące z oazy Beduinów roty.

Ziemia twarda mnie družka. Nieraz do jej łona
 Tulilem kark mój suchy i chude ramiona,
 Których sławy sterczące tak policzyć snadno,
 Jak kostki, co z rąk gracza na ławę wypadną.

Jeżeli wojna tęskni za Szanfarym sługą,
 Toć Szanfara jej służył i wiernie, i długo,
 Dziś nieszczęście w mą duszę jak w piłkę zagrało,
 Boleści podzieliły losem moje ciało,
 Każda bieda najpierw na mój kark się wsuwa;
 Kiedy zasypiam, bieda u głów moich czuwa
 I, wytrzeszczywszy oczy, patrzy skąd ugodzić.
 Troski koleją febry zwykły do mnie chodzić;
 Ale od febry gorzej nie dają pokoju,
 Lecą do mnie jak ptaki, spragnione do źródłu:
 Sto razy je odpędzisz, i setnemi chmury
 Znowu uderzą zboku i zdołu, i zgóry.
 Wiecie, jak w upał boso lecę przez pustynię,
 Podobny córce piasku, błyszczącej gadzinie.
 Choć miękko wychowany i z przodków bogaty,
 Alem syn cierpliwości — włożyłem jej szaty
 Na pierś, w której hieny przemieszkiwa śmiałość.
 Za obuwie na nogi włożyłem wytrwałość.

Na stepach bez namiotu, w skwary bez pokrycia,
 Jam wesół i bogaty, bo nie szczędzę życia.
 W dniach szczęścia dostatkami nie byłem oduły,
 Głupie lenistwo dla mnie nie miało ponęty.
 Czyliż z nadstawnym uchem za płotkami latał?
 Czyliż za cudzą sławą potwarze wymiatał?
 Pamiętacie noc kłęski? Tę noc niepogodną,
 Noc tak straszliwie ciemną, tak okropnie chłodną,
 Że Arab grzał się, paląc własny łuk i groty?
 Ja wybiegłem na boje śród mroku i słoty;
 Przewodniczką mi była błyskawic pożoga,
 Towarzyszami piorun, okropność i trwoga.
 Osierociłem dzieci, owdowiłem żony,
 Wróciłem, jakim wyszedł, nocą ołoczony.
 Nazajutrz, gdym spokojnie w Gumaiza leżał,
 Mówiono o mnie w stepach, którym w noc przebieżał.
 Zeszła się nieprzyjaciół dwoista gromada:
 Jedna z nich zapytuje — druga odpowiada:
 Słyszano, mówią, wczora nocne psów warczenie,
 Zdało się, że wilk przebiegł, lub hieny szczenie,
 Albo ptak przebudzony skrzydłami gdzie musnął,
 Bo pies zawarczał tylko i po chwili usnął.
 Może to Diw, przechodząc, tyle szkody zrobił?
 Może człowiek?... Nie, człowiek tyluby nie pobił!

Ja w dzień, gdy niebo wrzało ogniami letniemi,
 Tak, że żmije od skwaru skakały po ziemi,
 W dziurawym płaszczu padłem na żwiry kipiące
 I, zdjawszy turban, głową wyzywałem słońce,
 A włos mój, brudu pełny, nieznający woni,
 Kołtunami przylegał do niemytej skroni.
 Łono pustyni, co się bez końca rozszerza,
 Tak twarde i tak nagie, jako grzbiet puklerza,
 Nieraz całe bosemi przemierzyłem stopy,
 Gdy ujrzałem nad głową skał podniebne stropy.
 Na klęczkach, pnąc się jak pies, wlażłem im na czoło.
 Tam dzikie antylopy biegały wokóło,
 Białonogie i wełną odziane bogatą,
 Jak nadobne dziewice wlekącą się szatą;
 I w oczy mi bez trwogi patrzyła gromada,
 Bo myślały, że jestem kozieł, wódz ich stada,
 Co mu rogi w tak długie piętrzą się ramiona,
 Że, wznosząc łeb, rogami dostaje ogona,
 Albo niemi do skały przyczepia się szczytu
 I wisi, jako ptaszek w otchłani błękitu.

Tłum. Adam Mickiewicz.

ANTARA

* * *

Spokój uchodzi od mojej powieki.
 Łzy gorzkie palą mojej twarzy bladość:
 Abła uniosła z sobą w kraj daleki
 Sen mój, rumieniec i radość!
 Ból mój tem bardziej w swojej mocy rośnie,

Że jeno krótka była to godzina,
 Gdy mogłem widzieć, jak, płonąć radośnie,
 Ku moim oczom serce jej się wspina.
 Niestety, jakże dziwnie jest dręcząca
 Ta chwila smutna, co mi pierś zakrwawia:
 Żałość pożegnań, co się wciąż odnawia —
 Oraz rozłączeń bez końca!
 O plemię Beni-Abbes, wojownicy!
 Jakże mi tęskno po waszych namiotach,
 Gdziem widział uśmiech jej — blask jej źrenicy —
 Co zgasł mi rychło w tęsknotach.
 O lzy wylane próżno, próżne smutki!
 Kochanka moja gdzieś na cudzej niwie:
 Dajcie mi jeno czas mały a krótki,
 Bym żył i umarł szczęśliwie!
 Krótkiego czasu jeno mi potrzeba:
 Skąpiechby przyznał go cudzemu oku,
 By mogło wielbić swe błękitne nieba
 I skarb swój pełen uroku!

Tłum. Antoni Lange.

SKARGI ABLI

Wojownicy mego ludu,
 Złamcie pęta mej niedoli:
 Powiadomcież wy Antara
 O żalostnej mej niewoli.
 Odkąd wdał od swej gazeli
 Odszedł lew niepokonany,
 Wszystkie naraz pęta grożą
 Jego biednej ukochanej.
 Ból wyczerpał moje serce —
 Wszystkich sił wysączył soki:
 Ileż cierpień teraz znoszę,
 Mając wokół jeno mrok!
 Za najmniejszym wiatru wianiem
 Na samotne padam łożę:

Jak więdnący kwiat w ogrodzie,
 Co bez światła żyć nie może.
 Toć im większa moja klęska,
 Tem szczęśliwsze moje wrogi,
 Odkąd przed tym moim panem
 Moich drzwi zamknęli progi.
 Ileż obelg i poniżeń
 Znoszę tu przez czas ten cały:
 Toż na widok mej rozpaczy
 Nawet głązyby płakały.
 Wojownicy, błagam, byście
 Antarowi powiedzieli,
 Że jedynie lew potrafi
 Bronić życia swej gazeli.

Tłum. Antoni Lange.

Umie ona ząbkami czarować białemi,
 Co słodsze w pocałunku niż wszystko na ziemi!...
 Skoro ku niej przybliżysz rozognione skronie,
 Oddech jej wonią moschu zmysty twe owionie,
 Niby łąka kwiatkami wonnemi okryta,
 Której jeszcze nie tknęły biegunów kopyta;
 Gdzie o zmroku wieczornym brzęczące komary
 Monotonnym brzmiał śpiewem — niby pijak stary!...
 Abla rano i wieczór na puchu spoczywa:
 Mnie wezglowiem wśród nocy konia mego grzywa!...
 Wiatronogi a silny przyjaciel mój stary
 Grzbiet wygodny na łożę daje dla Antary!...

Tłum. Julian Adolf Świącicki.

Powiadają mi, że Amur mi odplaca czarną niewdzięcznością,
 A niewdzięczność jest złem, co hojnego martwi.

Tak, wierny byłem mojemu stryjowi
Już dawno, w chwili, gdy ząb dzwonił o ząb w wielu ludzi ustach,

W zgiełku i wirze walki, w której ani jednego jęku
Nie słyhać z ust bohaterów, tylko groźne okrzyki,

Gdzie, gdy mnie wysunięto, jako tarczę przed dzid uderzeniem,
Nie cofałem się, choć nikt nie szedł za mną.

Ale gdy widziałem, jak ludzie wszyscy idą naprzód zwartym szeregiem,
Pobudzając się głośnemi okrzykami, jak płomień pomknąłem naprzód.

CHÂTIM Z PLEMIENIA TAJ

Syn Abdalli i Mâleka i potomek owego męża
Nosił dwie szaty i dosiadał burego rumaka.

Przygotowałeś posilek, więc wprowadź gościa,
Niech je z tobą, lecz nie sam.

Niech to będzie wędrowiec nocny, albo sąsiad domu,
Najbardziej zaiste boję się złych języków po mojej śmierci.

Sługą jestem gościa, dopóki u mnie przebywa,
Nic poza tem niema we mnie z niewolnika.

ZUHAJR (w. VI—VII)

Przesytu już doświadczam w tej ziemskiej podróży;
Kto przeżył lat ośmdziesiąt, nie pragnie żyć dłużej!...
Przeszłość i terażniejszość widzę jak na dłoni,
Lecz co jutro przyniesie?... i któż mi odłoni?
Śmierć, jak wielbłąd półciemny, błąka się spragniona:
Kogo minie — ten żyje; kogo dotknie — skona.
Mniemacież, że przed Bogiem myśl wasza ukryta?
On najgłębsze tajniki z sere ludzkich wyczytał!...
Księgi mówią, że kara albo się odwleka
Do dnia sądu, lub nagle spada na człowieka.
Czyniąc dobrze, z cnót własnych dosięgniesz korony:
Kto się hańby nie strzeże, ten będzie zhańbiony!...
Skoro ludzkich słabości mieć nie chcesz na względzie,
Jeden cię gryźć zębami, drugi kopać będzie!
Kto w skrzyniach złoto dzierży, a żyje jak sknera,
Niczego nie użyje i wzgardę odbiera.
Kto jest słowny i duszę nakłania do cnoty,
Tego nigdy nie dotkną potępienia grotty!
Kogo strachem przejmuje wciąż śmierci potęga,
Ten wstąpił na drabinę, co ku niebu sięga.
Kto studni swej nie strzeże, naprowadza zgraje,
Kto ludziom krzywd nie czyni, sam ich nie doznaje.
Obcy często i wrogów uznaje za braci;
Kto siebie nie szanuje, u wszystkich część traci.
Ten, kto ludziom się poddał, jako juczne zwierzę
Od zniewag i udręczeń głowy nie ustrzeże.

Podziwieniem przejmuję, kto głosu się zrzeka,
 Tylko mowa jest skalą wartości człowieka.
 Wszakże język sam jeden z pod serca wypływa,
 Reszta jest wizerunkiem ze krwi i mięsiwa.
 Kto niemądry w starości, bezrozumny skona;
 Młodzieńcom do oświaty droga zostawiona.
 Kto raz prosił, żądanie winien wstrzymać nowe;
 Gdy zbyt jesteś natrętny, napotkasz odmowę.

Tłum. Julian Adolf Święcicki.

Na dom, który z modlitewnym szmerem pielgrzymim okrażają
 Mężowie, którzy go zbudowali, z Dżurham i Kurajsza,

Przysięgam, że wy oba jesteście stworzeni na wodzów,
 Do ładu doprowadzać, cokolwiek jest proste i poplątane.

Z Gaith Ben Morra dwaj szlachetni mężowie powetowali
 Tak długo przelewaną krew współplemieńców,

Dzięki wam pogodziły się rody Abs i Dhubjan,
 Które tępiły się wzajemnie maścią Manszama.

Mówiliście: «Jeżeli możemy tutaj przeprowadzić pokój
 Dobrym czynem i dobrym słowem, zbawienie będzie naszym udziałem».

Doprowadziliście szczęśliwie pokój do dobrego końca,
 Nikt nie jest pokrzywdzony, nikt nie jest zrażony.

IMRUU-L-KAJS

(um. około 530 r.)

Rankiem wyjeżdżam na lowy, gdy jeszcze w gniazdach są ptaki.
 Koń mnie unosi skrzydlaty, co niby łańcuch żelazny
 W locie swym niewstrzymanym zwierza dzikiego zakuwa.
 Koń jako wieża wysoki — to skacze wprzód, to się cofa,
 To się oddala, to zbliża — jakoby skała ogromna,
 Z gór strącona potokiem. Gniadą ma sierść jako jedwab.
 Czaprak w galopie od grzbietu tak odskakuje, jak deszczu
 Krople, które odrzuca gładz polerowany. — Wychudle
 Nogi ma, życiem kipi, w zapałach pościgu i pędu
 Z piersi wydaje szum, niby wrzątek w kotle miedzianym.
 Gdy inne konie omdlały — on niezmożony wciąż pędzi
 I pozostawia na piasku ślady głębokie swych kopyt.
 Stracił on z grzbietu raptownie młodzieńca, jak pióro lekkiego,
 Jeździec siwego płaszcz — w poskoku jak obłok wyraca —
 I tak się szczególnie wykręca, jak kragła zabawka dziecinna,
 Wydrążona pośrodku i wirująca na nitce.
 Boki ma on jak gazela; nogi ma strusia; bieg — wilka,
 Skok ma lisa młodego; biodra — do miary szerokie,
 A gdy nań patrzysz od zadu, kończą się prostym, puszystym,
 Ciemno-gniadym ogonem, który się wlecze po ziemi.
 — Gdy przywiązany spoczywa u mnie w namiocie, naówczas
 Grzbiet mu się lśni z obu stron, jak te kamienie, na których
 Rozcierają pachnidła dla narzeczonej w dzień ślubu,
 Albo na którym zostały wyciski od kolokwinty.
 Upolowanych krew zwierząt strumieniem mu spływa po szyi,

Niby chena, co starcom ubarwia włos posiwiwały.
 Dziś napotkaliśmy osłów dzikich stadninę. — Samice
 Ich wystąpiły tak dumnie, jako te panny wybrane,
 Co obleczone zawojem krążą dokoła Duwara.
 Koń mój jął biegać naprzemian jużto wśród samców, już samice,
 Wody nie pijąc dzień cały ani się w wodzie nie kąpiąc.
 A kiedy wieczór zapadał, my powrócili z wyprawy:
 Oczy moje nie mogły nacieszyć się konia widokiem.
 Siodło i czaprak, i uzda nocują na koniu mym drogim —
 Stojąc, spoczywa koło mnie — i nie porusza się z miejsca.

Tłum. Antoni Lange.

* * *

Szybkim krokiem ku śmierci idziem tajemniczej,
 Lecz opętani, jądła oddani słodocy.
 Słabiśmy, jako muchy, robaki, motylki,
 Ale na zło zuchwalsi niżli głodne wilki.
 Duch mój zawsze ku żądzom podążał szlachetnym:
 Chciałem go mieć i dumnym — i czystym — i świetnym.
 A ty, niewiasto, która czynisz mi wyrzuty —
 Przestań. Ja z doświadczenia mam zamiysł wysnuty. :
 Pamięć o mych pradziadach już mię uczy sama —
 Oraz pamięć, że jestem z plemienia Adama.
 Idzie śmierć. Młodość swoją o dni życia kruszę.
 Porwała ją. Toż ciało me porwie i duszę.
 I rychło mię pod ziemią przygwoździć pożąda.
 Czyliżem nie zamęczył swojego wielbłąda,
 Pędząc go po szerokiej pustyni, gdzie głody
 Budzą ci jeden straszny majak, majak wody?
 Czym nie jeździł z rycerzy dzielnych społeczeństwem
 Po zdobycze, związane z walk niebezpieczeństwem?
 Dość błądziłem po ziemi za wojennym łupem.
 Dziś wystarcza mi radość, że nie wracam trupem.
 Mogę liczyć, że dla mnie los będzie łagodny,
 Gdy zmarł Hares-ibn-Amru, gdy umarł czcigodny
 Rodzic mój Chodźr, namiotów sławny posiadzieliel?
 Los — toć jest skal najtwardszych okrutny niszczyciel.
 Śmierć — wiem o tem — niedługo — śmierć, nasz wróg ponury,
 Puści we mnie swe krwawe zęby i pazury —
 Jak w innych: jak mój ojciec Chodźr padł znamienity,
 I mój dziad — i ten, co był pod Kelab zabity.

Tłum. Antoni Lange.

* * *

Pozwólcie, niech tu dla niej lza z oczu mych płynie,
 Między Chaumal i Dakhol na piasków lawinie,
 Między Tudich i Makrat, gdzie nie starły jeszcze
 Śladów mieszkań piaskowe uraganów deszczel!..
 Tu, podtrzymując cugle, towarzysze moi
 Mówili: O! bądź mężem, co trosk się nie boi.
 Jedyną mą pociechą dziś lza, co wytryska...
 Lecz pocóż, skrapiać łzami przeszłości zwałiska!

Tłum. Julian Adolf Święcicki.

Wszystkie dziewcząt namioty, których oddech męża
 Nie skalat — serce moje piorunem zwycięża.
 Przez tłumy i przez śmiercią grożące mi strażę
 Do mej lubej zwycięsko kroczyć się odważę,
 Gdy na niebie się jasna plejada promieni,
 Jako wstęga ze złota i drogich kamieni!...
 Przybyłem do niej w chwili, gdy z wonnego ciała
 Żywo szaty dziewicze do snu zdejmowała,
 Widząc mnie, rzekła: — «Przebóg!... gdzie się skryć przed tobą...
 Szaleństwo wiecznie twoją zostanie chorobą?!...»
 Wybiegliśmy z namiotu, milcząc, a za nami
 Ślad nóg starła jej suknia materij falami,
 I gdyśmy, zostawiwszy jej namiot woddali,
 Dó piaszczystej się groty szczęśliwie dostali,
 Jam tulił ją do piersi, a dziewica skromnie,
 Wysmukła, gibka... kształtna... garnęła się do mnie,
 Niby jasna siostrzyca perły złoto-białej,
 Co w łonie swem zasklepia czyste wód kryształy.
 Odwracając swe lica, spojrziała w świat boży
 Jak lania, co o jagnię małeńkie się trwoży.
 Żaden bezkształt jej szyi toczonej nie plami,
 Gdy ją wznosi jak sarna, strojną klejnotami.
 Kibić jej kruczych splotów pętają okowy,
 Jako palmy lodygę warkocz daktylowy.
 W stroju nocnym o późnej spoczywa godzinie,
 Woń moschu ponad rankiem z jej namiotu płynie.
 Błask jej oczu tak nocne ciemności przenika
 Jako Bogu płonąca lampka pustelnika!...
 Innym łatwo miłosnej uniknąć ślepoty,
 Ja wiecznie w sercu krwawe noszę uczuć groty!

Tłum. Juljan Adolf Świącicki.

* * *
 Błysk ten czyś widział, druhu?... ów gzygzak czerwony,
 Jak ruch dłoni wyskoczył z chimur gęstej korony!...
 Lub jak w celi klasztornej lampka, co już kona,
 Rozsypie blask — olejem świeżym podsycona.
 Między Odaib i Darycz, wśród mężów ogniska
 Zasiadłem, by ulewie przypatrzeć się zbliśka.
 Jeden prąd nawalnicy wprost na Katem pędzi,
 Drugi lewej Jadhbulu zagraża krawędzi.
 Toczy się na Kuteifę słup piany i błota,
 Z Kamakhol dęby stare na przechodniów miotał!...
 Dalej żywiół Kananu obejmuje stronę
 I z urwiska gór spędza gienzy przelęknionel!...
 W Teima nie ocalał żaden pień palmowy,
 Żaden dom, niemający skał wiecznych budowy.
 Rankiem tak świergotało ptactwo na dolinie,
 Jakby śpiewne gardziołki wykapało w winie,
 Tu i ówdzie zwierzątka zatopione leżą,
 Jak cebule, z pod ziemi wydarte grabieżą.

Tłum. Juljan Adolf Świącicki.

NÂBIGHA

(w drugiej połowie VI w.)

Wbrew woli spadła nagle z jej twarzy zasłona.
 Chwyta ją i oblicze swe kryje spłoniona,
 Różowemi paluszków pieściwych końcami,
 Które mógłbym jedynie porównać z kwiatkami,
 Co leciuchno spoczęły na swojej lodydze.
 I te fale jej włosów kędzierzawych widzę,
 W których tak giną całkiem jej lica i szyja,
 Jak filar, gdy go winna latorośl obwija.
 Z jej wzroku biła jakaś żądza nieukryta,
 Patrzyła tak jak chory, gdy doń gość zawita.

Tłum. Julian Adolf Święcicki.

Suada mnie opuściła. Związek z nią zerwany.
 Zatrzymała się w Szira w dolinie Idany —
 Jedyna z rodu Jali. — Jeśli serce moje
 Dotychczas po jej czarach dręczą niepokoje,
 Jestże to niedorzeczność, czy marzenie senne —
 Czyli obłąd? — Wspomnienie pieści mnie niezmiennie!
 Gdy odwróci się, pięty ma inne niż pięty
 Murzynek lub przekupek, które różne sprzęty
 Trzciniowe czy gliniane w Nachli przedawają.
 Najlepsza z wszystkich, które na ziemi mieszkają —
 Rozmowę tak czarownie jak nikt ze mną wiodła.
 — «Ach, ty stałeś się bratem wielbłądziego siodła.
 Niebezpieczeństwo czyha na cię i zatrata —
 Starości nie dożyjesz — krótkie twoje lata».
 — Niechaj ci Bóg poszczęści! Niezawsze przystoi
 Rycerzowi spoczywać przy kobiecie swojej.
 Toć obowiązek twardej od nas służby żąda.
 Więc w imię Boże szybko skaczem na wielbłąda —
 Wykonywamy czyny, które myśl pobożna
 Prowadzi — i do życia gromadzim, co można.
 W plemienu Beni Dhobjan pytaj o me imię —
 O mą cześć — kiedy cały pogrążony w dymie
 Kuchni mej, tłumem gości jestem otoczony,
 Gdy, pędząc bure pyły od Zurulskiej strony
 Hen aż pod Tin — wiatr szumi — a w powietrzu susza
 Straszna, że kropli deszczu nie wymodli dusza.
 Każdy tu, kto rozumny i rzeczy znajomy
 (A nigdy się nie zrówna z takim nieświadomy),
 Powie ci, że najlepszym jestem graczem w kości —
 Oddaję, co przegrywam — przytem karmię gości.
 Więc przez wielkie pustynie pędzę na szalonej
 Wielbłądźcy — choć duch jej bardzo jest znużony,
 Choć płacze na znużenie i na późną chwilę —
 Ja przecież ją do skoków nieustannie pilę.
 Z jej gniewu w Zu-el-Medżaz omal żem na piaski
 Nie runął wraz z jukami, choć wielbłądów wrzaski
 Nie dochodziły znikąd wielbłądźcy ucha.
 Kobieta jakaś z Mekki mówi: (ona słucha)

«Czy kto z waszych rycerzy nie kupiłby skóry?»
 «Hej — mówię jej — precz nabok, bo ten zwierz ponury
 Zadepcze cię — i tak się skończy targowica!»
 Przy noce i noc jedną moja wielbłądzica
 Przebyła w Zu-el-Medżaz, aby koczowiska
 Obejrzeć — i dopiero kiedy zorza błyska,
 Popędziła galopem, jak oślica dzika,
 Ścigana przez łowieckich igrzysk miłośnika —
 Pędziła przerażona, ujrzawszy dokoła
 Pnie drzew podruzgotanych — i posępne czoła
 Samotnych skał — — —

Tłum. Antoni Lange.

Z UTWORÓW TARAFY

(VII w.)

Widoczne jeszcze ślady koczowisk Chaumuly
 Na kamiennej równinie Tachmed się rozsnuły,
 Podobne do tych resztek deseni, wyklutych
 Na rąk powierzchni mężów, w żelazo zakutych.
 Tutaj się towarzysze moi zatrzymali
 I, podjechawszy do mnie, tak mnie pocieszali:
 «Pokrzep swojego ducha, a przepędź tęsknicę!»
 Ale ja wciąż pamiętam dziewczę me w lektyce
 Wielbłądziej — ukochaną mą jasną Małękę —
 Której namioty dzisiaj od nas tak dalekie!
 Lektyka jej się zdała jako łódź, co świtem
 Płynie szerokiej Dady zielonem korytem —
 Jak wielka adawjańska łódź, albo jak owa,
 Którą zmyślnie buduje dłoń Ibn-Jaminowa.
 Sztuczny sternik prowadzi łódź, co się kolebie —
 Jużto wbok ją kierując — jużto wprost przed siebie.
 Zasię przód jej rozcina pieniające się fale,
 Niby gracz, co zgadując, rozrzuca fijale.
 Z ludem tym ma gazela znikła ciemnousta,
 Co, piękną wyciągając szyję, chyli usta,
 Gdy jagody Eraku zrywa — a zarazem
 Szyja błyska jej pereł sznurem i topazem.
 Ciemną wargą uśmiecha się moja kochanka:
 Uśmiech jej do dzikiego podobny rumianka,
 Co rozkwita na wzgórzach z wilgotnego piasku. —
 Samo słońce ją w złotym wykapało blasku,
 Jej dziąseł nie dotknawszy, co zostały ciemne,
 Choć zdała od niej kohlu są proszki tajemne.
 Samo słońce jej lica swą jasną zasłoną
 Pokryło — czysto barwiąc twarz niepomarszczoną.
 Zniknęła, lecz ja umiem zwalczać swą tęsknicę —
 Siadam wtedy na wierną swoją wielbłądzicę
 I lecę na pustynię...

Tłum. Antoni Lange.

* * *

Silny, jak boki trumny, więc ze mną wdał bieży
 Drogą, do pręgowanej podobną odzieży;
 Członki ma niestrudzone, a tak lekko kroczy,
 Jak samica, gdy strusia na pustyni zoczy.

Na wiosnę wygłodzony chodzi z wielbładami
 Po łąkach, majowymi skrapianych deszczami.
 Idzie za głosem stróża i napad ogiera
 Z zaciętością ogonem krzaczastym odpiera.
 Uda jego tak pełne, żeś wziąć je gotowy
 Za olbrzymie zamkowych wrót bratnie połowy.
 Żebra lukom podobne, grzbiet pięknej budowy,
 Szyja dzielnie się trzyma kości pacierzowej.
 Przegubry, jak dwie próżnie w lotosu drzewinie;
 Pod łędźwiami silnemi łuk żebrowy ginie.
 Udo tak od bratniego uda wdał ucieka,
 Jako dwa wiadra wody w dwu rękach człowieka.
 Most grecki przypomina swych mięśni budową,
 Którego siłę stwierdza architekta słowo.
 Grzbiet ma silny, w podbródku włosy czerwonawe,
 Ręczy kroki silnemi podnosi kurzawę.
 Kiedy nogi wyrzuca w tę lub ową stronę,
 Łopatki jak pod dachem stoją niewzruszone.
 Baty na grzbiecie jego tak znać doskonale,
 Jako pręgi deszczowe na urwistej skale.
 Tu jedno, owdzie mnóstwo pręg na grzbiecie leży,
 Niby łąty białawe na zdartej odzieży.
 Szyja, gdy nią poruszy, żywo przypomina
 Tył okrętu, co fale Tygrysu rozcina.
 Czaszka mała, z kowadłem może chodzić w parze.
 Pilnik od zębów jego nie więcej dokáže.
 Policzki jako papier syryjski, a warga
 Z jemeńskiej skóry, której zmarszczka nie potarga.
 Ma uszy, które w nocnej wędrówce pustynią
 Pewien rodzaj muzyki osobliwej czynią;
 A to są krwi szlachetnej niemyłne dowody:
 Ma je każdy byk leśny z Chaumułu zagrody.
 Z obawy przed harapem, splecionym z rzemienia,
 Woli mojej posłuszny, szybkość biegu zmienia.
 Gdy zechce, tuż przy siodle trzyma swoją głowę,
 A nogi wraz ze strusiem popłynąć gotowe.

Tłum. Julian Adolf Święcicki.

Jam nie z tych, co siedziby obierają niskie,
 By goście nie widzieli mię i ludzie bliskie.
 A kto pomocy mojej żąda i oparcia —
 Natychmiast z każdym wrogiem pośpieszam do starcia;
 Chcesz mię szukać na sejmie — znajdziesz mię wśród rady;
 Chcesz mię szukać w szynkowni — znajdziesz. Winogrody
 Sączę. A przyjdiesz do mnie — wino dam ci stare —
 Pij je — pij sobie jedną — pij i drugą czarę.
 Gdy się swym rodowodem chępią Beduiny,
 Wiedz, że z najdostojniejszych namiotów rodziny.
 A ci, co raczą do mnie przybyć na wieczerzę,
 Są to — by jasne gwiazdy — najczystszy rycerze.
 Śpiewaczka uczyły moje pieśnią rozwesela —
 Suknię ma szafranową, zdobną w barwne ziela,
 A stanik tak rozwarty, że dziwnej piękności
 Przegląda pierś jej kragła, co czaruje gości.

Gdy żądamy jej śpiewu, ku ziemi wzrok chyli;
 Śpiewa głębokim głosem, a dźwięki jej tryli
 Są jak jęk wielbłądźcy przeciągły, żaloszny,
 Gdy straci pierwsze dziecko, zrodzone tej wiosny...

Tłum. Antoni Lange.

Żyłem w ciągłym weselu. Wino-m pił bez troski.
 Marnowałem dobytek własny i ojcowski,
 Aż wkońcu ród mój wyklnie mię i wydziedziczy,
 Żem został jak wygnany wielbłąd suchotniczy.
 Ale nie porzucili mię przeto nędzarze,
 Ani wielkich namiotów zacni gospodarze.
 Ty, coś mnie kłął, że, pragnąc wyżyć swoją dzielność —
 Walczę i spijam rozkosz — czy ty nieśmiertelność
 Możesz mi dać? Tyś śmierci usunąć niezdolny.
 Pozwól więc — niech swe mienie stracić będę wolny.
 Gdyby nie radowały mię te trzy przedmioty,
 Co są treścią młodzieńczych marzeń i ochoty:
 Klnę się, nigdy w mej myśli żal się nie obudzi,
 Że przyjdą nad mym grobem płakać tłumy ludzi.
 A właśnie chcę uprzedzić krewnych moich skargi,
 W czerwonym zatem winie kąpię swoje wargi,
 A gdy pomocy wzywa kto — miecz mój nie pyta —
 Szybko tętnią rumaka mojego kopyta!
 Lubię zaś w dni wiosenne siedzieć pod namiotem
 Pięknych kobiet, co suknie mają srebrem-złotem
 Ozdobne, a na rękach i nogach manele.
 Takie są me igrzyska, drodzy przyjaciele.
 Człowiek szczodry za życia winem serce krzepi:
 Gdy umrzem — poznasz — życie kto rozumiał lepiej.
 Patrz: tu spoczywa skąpiec; jego kres żalobny
 Mogile marnotrawcy czyliż niepodobny?

Tłum. Antoni Lange.

II. KORAN

URYWKI Z KORANU

SURA 1-SZA

W imię Boga litościwego i miłosiernego.

1. Niech będzie chwala Bogu, władcy światów.
2. On jest miłosierny i dobrotliwy.
3. On jest Królem dnia sądnego.
4. Ciebie, Panie, czcimy i Twej opieki wzywamy.
5. Prowadź nas drogą zbawienia,
6. Drogą tych, których obsypałeś swemi dobrodziejstwami;
7. A nie tych, którzy na Twój gniew zasłużyli i w błąd popadli.

Tłum. Jan Murza Tarak Buczacki.

SURA 2-GA

«K r o w a»

7. Są lacy, którzy mówią: my wierzymy w Boga i w dzień ostateczny, a jednak nie mają wiary.

8. Chcą tem zwiéść Boga i wiernych, lecz tylko siebie oszukuj, a tego nie rozumiej.
9. Serce ich jest zepsute, Bóg w niem powiékszy ranę, boleść pozerajca będzie ich niewiary nagrod.
10. Gdy im kto powie: nie róbcie zgorszenia na ziemi, oni odpowiedz, że ich życie jest przykadem.
11. Oni s występnymi, lecz tego nie pojmuj.
28. Gdy Bóg powiedzia anioom: «Poślę na ziemię mojego Namiestnika». — «Czyż po-slesz — odpowiedzieli duchowie niebiescy — czowieka, któren się odda nieprawoci i krew rozlewa będzie wtenczas, gdy my gosimy Twoj chwaę; kiedy ciebie wiel-bimy?». «Wszystko to wiem — odpowiedzia Pan — czego wy nie rozumiecie».
32. Rozkazalimy anioom pokoni się Adamowi, wszyscy byli posuszni, prócz py-szncego się Iblisa, który nie usucha i za to zosta policzony między niewiernych.

Tum. Jan Murza Tarak Buczacki.

SURA 4-TA

Niewiasty

W imię Boga litociwego i miosiernego.

1. Śmiertelni! Bójcie się Pana, który was wszystkich z jednego wyprowadzi czowieka, dla którego utworzy niewiastę i okry ich potomstwem ziemie. Bójcie się Pana, w imię którego prosicie, a szanujcie wnętrznci, które was nosiy. Bóg postrzega sprawy wasze.
2. Oddawaj sierotom to, co im należy, nie odplacaj zem za dobre, lecz przeciwnie; nie obracaj ich dziedzictwa dla powiékszenia swego: takie czyny s występne.
11. Kto niesprawiedliwie zagarnia dziedzictwo będzie karmiony ogniem, który pożre jego wnętrznci.
33. Wierni! nie marnujcie waszych bogactw na zbytki, niech waszym ugodom prze-wodzi wzajemne zezwolenie. Sam sobie śmierci nie zadawaj, Bóg jest miosierny dla was.
38. Mężczyni maj pierwszeństwo nad kobietami, poniew Bóg da im wyższ nad niemi i wyposaży je przez mężczyzn. Żony powinny by posuszne, zachowywc tajemnicę mężów swoich, gdyż pod ich straż niebo je oddao; mężowie, doznajcy ich nieposuszeństwa, mog je kara, zostawi w osobnych ozach, a nawet bi je; ulego niewiast powinna dla nich by ochron od złego obchodzenia się. Bóg jest wielki i przenikajcy.

Tum. Jan Murza Tarak Buczacki.

SURA 81-SZA

«Gdy się niebo rozpadnie, gdy gwiazdy będa rozproszone, gdy morza zmieszaj swe wody, gdy groby ulegn rozsypaniu, dusza ujrzy swe czyny dawne i świeże. Śmiertelniku! kto cię zaślepi przeciw swemu panu szlachetnemu, przeciw panu, który cię stworzy, który da ci doskonao i ściso kształtów, który cię urobi wedle życzienia swego?... Strażnicy czuwaj nad wami, stróże czcigodni, którzy zapisuj czyny wasze. Oni wiedz, co wy zycznicie. Sprawiedliwi osign pobyt rozkoszny, ale przewrotni — pieko. W dniu sadu będa paleni w ogniu i nigdy stamtd nie wyjd. Kto ci da poją, co to dzie sadu? Jeszcze raz pytam, kto ci da zrozumie, co to dzie sadu? Jest to dzie, w którym dusza będzie niczem dla innej duszy. W dniu owym cae państwo będzie w Bogu».

Tum. Julian Adolf Święcicki.

* * *

Miosierny nauczył Koranu.

Stworzył czowieka.

Nauczył go wymowy.

Sonice i księżyc przebiegaj drogę okrealon.

Roliny i drzewa korz się przed Bogiem.

On wzniosł niebiosy i ustalił wagę.
 Abyście się w ciężarach nie mylili.
 Ważcie sprawiedliwość, a nie zmniejszajcie wagi!
 On rozdzielił ziemię pomiędzy ludy rozliczne.
 On przynosi owoce i palmy, których kwiaty pokryte łupinką,
 I zboża, które dają słomę, i ziola.
 I któż tym dobrodziejstwom Boga zaprzeczy?
 On stworzył genjuszów z ognia czystego bez dymu.
 Któż tym dobrodziejstwom Boga zaprzeczy?
 On jest panem dwu wschodów.
 On jest panem dwu zachodów.
 Któż tym dobrodziejstwom Boga zaprzeczy?
 On rozłączył dwa morza, które się stykają.
 On wzniosł zagrodę pomiędzy niemi,
 Z obawy, żeby się nie złączyły.
 Jedno i drugie zaopatrzył w perły i korale.
 Któż tym dobrodziejstwom Boga zaprzeczy?
 Do niego należą okręty, które przebiegają morza jak góry.
 Wszystko, co jest na ziemi, przejdzie.
 Tylko oblicze Boga pozostanie otoczone majestatem i chwałą.

Tłum. Julian Adolf Świącicki.

* * *

«Miłość rozkoszy zaślepia śmiertelnych; niewiasty, dzieci, bogactwa, konie przepyszne, trzody, wioski — są przedmiotami ich żądy. To są rozkosze ziemskiego życia. O ileż rozkoszniejsze siedziby gotuje Stwórca!» (S. III, 12).

* * *

«Nie sądźcie, żeby ci, którzy zginęli w obronie wiary, umarli; przeciwnie, oni żyją i przyjmują pokarm z rąk Wszechmocnego». (S. III, 163).

* * *

«Kto wypełnia przykazania Boga miłosiernego i posłuszny będzie Prorokowi, wstąpi do ogrodów pełnych rozkoszy, gdzie szczęścia wiekuistego używać będzie». (S. IV. 17).

* * *

Prawdziwi słudzy Boga będą mieli pokarm wybrany.
 Owoce najlepsze — usługę pełną poszanowania.
 Życzliwością wzajemną przejęci spoczywać będą na łożach jedwabnych.
 Podawać im będą czasie, napelniane wodą kryniczną,
 Przejrzystą i rozkosznego smaku.

* * *

Niechaj dwie ręce Abu-Lahaba przepadną i niechaj on sam przepadnie.
 Bogactwa jego i prace jego pójdą na marnel
 Będzie spalony w ogniu płomienistym.
 Podobnie jak i żona jego, nosząca drzewo.
 Do jej szyi będzie przywiązany powróż z tyka palmowego. (S. CXI).

* * *

Biada potwarcom i oszczercom.
 Którzy gromadzą bogactwa, strzegąc ich na przyszłość.

On myśli, że skarby jego dadzą mu życie wieczne.
 Zaiste będzie on wrzucony do El-Hotama,
 Kto ci powie, co to jest El-Hotama?
 Jest to ogień Boga, ogień rozpalony,
 Który ogarnia serca potępionych.
 I otoczy je niby sklepieniem, opartem na słupach. (S. CIV).

Ona nie zaćmi ich rozumu, nie upoi...
 Przy nich będą dziewice o spojrzaniu skromnem, o wielkich źrenicach czarnych,
 o cerze barwy jaj strusich. (S. XXXVII, 39—47).

«Koniec grzeszników będzie straszliwy!...
 Piekło ich mieszkaniem; jęczeć tam będą na łożu boleści!...
 Życie w męczarniach — powiedzą im — polykajcie wodę wrzącą i zgniliznę,
 powstałą z ciał zepsutych.
 Nikt im nie powie — bądźcie pozdrowieni — bo w ogniach gorzeć będą.
 Niewierni mówić będą do swych przywódców: niewarci jesteście pobłażania;
 wyście nam przewodniczyli w błędach i dlatego mieszkanie nasze jest okropne.
 Panie! Pomnóż męczarnie tych, którzy nas przywiedli do niedowiarstwa, spotęguj
 dla nich siłę ognia!...» (S. XXXVIII, 55—61).
Tłum. Julian Adolf Świącicki.

III. NOWA POEZJA

KAAB IBN ZUHAJR

Oszczercy mi przynieśli słowa jako zgrzyty.
 «Hej, wnuku Abu Solma — ty padniesz zabity».
 Druhy zaś, gdym ich prosił o pomocne wnioski,
 Mówią: «Nic nam po tobie — mamy własne troski».
 Dajcież mi drogę — ojca nie macie! Więc chwała
 Ci, Allachu! Niech będzie, jak rozkazał Allā!
 Kto zrodzony z niewiasty, choć długo nietknięty,
 Kiedyś na krzywych marach pójdzie w grobu męty.
 Wiadomem mi się stało, że poseł Allacha
 Straszy mię swemi groźby; lecz duch się nie waha:
 Czekam łaski! O przebacz — prostą jest twa droga,
 Bo w darze otrzymałeś Alkoran od Boga.
 Znasz linję, która dobro od zła wiecznie dzieli.
 Nie żądaj krwi mej podług słów donosicieli.
 Jam nie przestępca, choć mnie szkalują oszczercze.
 Otom stanął przed tobą — i drży moje serce.
 Widzę — slysze, co, gdyby słoń ujrzał, usłyszał,
 To na całym swem ciełe dreszczemby zadyszał.
 Chyba przez dopust Boży — prorok mi przebaczy.
 Włożę dłoń swą w dłoń jego, gdy pozwolić raczy, —
 Dłoń mściciela, którego słowo iście słowem.
 O, jak mi straszno, stojąc na miejscu takowem,
 Gdzie mówię z posłannikiem! A synowie zdrady
 Mówili: zapytają o twój ród — twe dziady.

Straszniejsze to, niż gdybym lwa spotkał w Assarze,
 W niedostępnej trzcin gąszczy, w niezglębionym jarze,
 Lwa, który mięsem ludzkim karmi swoje lwiąta,
 Na jego widok milkną drapieżne zwierzęta.
 Nie przejdzie człowiek koło jego pieczar ściany,
 A kto nazbyt zuchwały — zginie rozszarpany.
 Prorok — jest to indyjski miecz jasnopromienny,
 Obnażony miecz Boży — wśród wici plemiennej
 Korejszytów! Z tych jeden rzekł, gdy światła wiary
 Prawdziwej przyjął sercem — jako niebios dary:
 «Idźcie z Mekki! Niezlomne jesteście farysy,
 Którym w dzień walki miasto szat — służą kirysy —
 Kirysy z Dawidowej kuźni — płomieniste.
 Ogniwa ich się toczą w szeregi dwoiste,
 Zaplatając się niby w lesie dżew gałązki.
 To męże — co surowe pełnią obowiązki.
 Nie wykrzykną z radości, gdy ich wróg napada —
 Ni słabną, gdy ich wrogów przemoże gromada.
 Arabcy rodowite — kroczą pełni dumy,
 Niby wielbłądy białe — na odporne tłumy.
 Nie cofną się — a mieczem przebiją swe drogi,
 Gdy tchórz nędznie uchodzi przed swojemi wrogami.
 Włócznie ich wprost na wraźą idą pierś — lecz oni
 Stoją mężnie — gdy ku nim śmierć ręce swe kłoni».

Tłum. Antoni Lange.

Z LEBĪDA

(ur. około r. 560 po Chr.)

Nieprawym się rządźmy powszechnie zwyczajem.
 Próżne są uwielbienia, które ludziom dajem.
 W największym myśli, dzieła i słów natężeniu
 Stwórcy one należą, nie jego stworzeniu.
 Zyski, które świat daje — zwykłym idąc torem,
 Czczemi blaski zdradzają, są tylko pozorem.
 Ten, co dał istność rzeczom, postać i zamiary,
 Ten tylko uszczęśliwić może swemi dary.

Tłum. Ignacy Krasicki.

Skądże ci znów, nieszczęsny, przychodzi myśl śmiała
 O Nawarze, co związki nasze potargała?...
 Czy warto o niewiernej wspominać? Wszak ona
 Tuła się... niestałością w świat wielki pędzona...
 Precz z Nawarą! zacnego niegodzien wspomnienia,
 Kto miłość jako odzież starganą odmienia!..

Tłum. Julian Adolf Święcicki.

*
*
*

Dziś w Mina widzę ziemię po nich spustoszałą,
 Na Rydżam i na Gaul nic nie pozostało!..
 Rajan pusty i nagi, wszystko się tak zmienia
 I ginie, jak litery odwieczne — — — z kamienia.
 Od czasu, jak mieszkałem tu wesół, spokojny,
 Ileż lat upłynęło spoczynku i wojny!
 Osty dzikie dawnego pilnują siedliska...
 Tutaj stado gazeli, tam struś piórem błyska:

W gromadce antylopy jasnookie leżą,
 Rozkosznie z łatwo-plenną igrając młodzieżą.
 Tak się deszczem ożywia ta wydma ponura,
 Jak pismo wytarte pod naciskiem pióra!
 Niby deseń, co kiedyś w indygo bogaty,
 Ustępuje wciąż... błednie i ściera się złaty,
 A później pod silniejszą koloru zaprawą,
 Znów, jak przedtem, na rękę wystąpi jaskrawo.
 Już mi się to pustkowie teraz nie uśmiecha,
 Słowa moje: Gdzie drodzy?... skonały bez echa!...
 Tu kiedyś w zgodzie bratniej pokolenia żyły,
 A dziś same na pustkach wrzosa i mogiły!
 Serce z bólu się kraje, lecz dobrze pamięta
 Dawne miejsc tych królowe... przedudne dziewczęta!...
 Oczy jasne, promienne miały jako łanie;
 Kształt gazeli wysmukłych: rozkosz patrzeć na nie.

Tłum. Julian Adolf Święcicki.

ABDARRACHMĀN IBN ISMAIL AL-WADDĀCH

Ach! z jednej teraz ściga mię strony
 Krytyków zgraja;
 A z drugiej obraz, we śnie zrodzony,
 Co mię upaja...
 Łudził mię wczoraj sen tak zuchwały,
 Że moja miła,
 Przebywszy piasku morza i skały,
 Mnie nawiedziła!...
 Spałem, gdy ona, wchodząc, wyrzuty
 Robić zaczyna.

Jakże mi słodką zdała się wtedy
 Moja jedyna!...
 Jam wolał do niej: «Maro najmiłsza,
 Bądź pozdrowiona!...
 O! dziękil... dzięki, że cię już mogę
 Tulić do łona!...»
 Uczucia ziemskie stygną powoli
 W każdej godzinie,
 Lecz miłość moja wielka dla Raudy
 Nigdy nie zginie!...

Tłum. Julian Adolf Święcicki.

O Raudo, twój kochanek czatuje od rana:
 Serce jego żalosne, cierpliwość stargana!
 Ona rzecze: Nie wstępuj w domu mego progi;
 Ojciec strzeże swej córki, bo honor mu drogi.
 Ja rzekłem: Toć potrafię wejść w przyjaznej porze;
 Miecz mój ostry w tej sprawie łatwo mi pomoże.
 Ona rzecze: Te mury któż przebyć jest w stanie?
 Ja rzekłem: Znaleźć drogę — to moje zadanie.
 Ona rzecze: Mam braci aż siedmiu na straży.
 Ja rzekłem: Nikt się ze mną porać nie odważy.
 Ona rzekła: Lew srogi obległ me podwoje.
 — Jam lew także, gdym wścickły — więc lwa się nie boję.
 Ona rzecze: Waż kroki! toć Bóg patrzy na nie.
 Ja rzekłem: O! Bóg zawsze przebaczy kochanie!
 Ona rzekła: Daremne więc moje przestrogi?
 Ja na to: Straż zasnęła — uciekaj! czas drogi!...

Tłum. Julian Adolf Święcicki.

Kiedyż się w lutni twojej, Waddachu,
 Inna pieśń zbudzi?
 Czyż cię nie trwoży śmierć, przeznaczona
 Dla wszystkich ludzi?

W modlitwach swoich czcij Najwyższego,
Miej cel jedyny:
By się ocalić, gdy Pan już będzie
Sądził twe czyny.

Tłum. Julian Adolf Świącicki.

MUTI IBN AJĀS

O! przestań serce moje tym płaczem
Krwawić, dziewczyno!
Toć już za długo z twych czarnych oczu
Łzy gorzkie płyną.
O! niech mi serca dłużej nie palą
Twych łez strumienieli...
Krzykiem rozpaczy zatruwasz jeszcze
To rozłączenie!...
Może też Pan Bóg opieką swoją wesprzeć mnie raczej,
I znów piorunem wrócę do ciebie
Z doli tułaczey.
Co tylko zechce Bóg, Pan Wszechmocny,
Wszystko się stanie.
Więc zamiast płakać, do niego raczej
Zwróć swe błaganie...
Bo czy nas droga rozdzieli bliska,
Czy też daleka:
Wszędzie mnie dłonią swoją otoczy
Boska opiekali...

Tłum. Julian Adolf Świącicki.

ABŪ NUWĀS

(ok. 750—810)

Wstrzymaj swoje potępienia!
Wściekłym wobec twej nagany!
Co trucizną jest dla ciebie,
Dla mnie — lek wypróbowany.

Wino złote — troski, bóle
Szybko precz wypędza z głowy,
Choć się po niem każdy chwieje,
Nawet olbrzym granitowy...

Chłoń je z rączek szynkareczki,
Pełnej słodkich min dziewczyny,
O! bo pijak i kochanek,
To dla dziewcząt skarb jedyny!

Stoi piękna z dzbankiem w dłoni,
Noc aż czarna tam, na dworze,
Lecz od lic jej dookoła
Jaśniuteńkie biją zorze!

Leje zwolna, bardzo długo,
Nicz mieszane wino z dzbana;
Jakby myślą het błędziła,
Roztargniona... zadumana...

Widać jasno z jej oblicza,
Że dolewa wody mało;
W trwodze słusznej, by przekleństwo
W piersi gościa nie zabrzmiało.

Więc do wody ogień leje,
I dwa żary palą ducha,
A z tych żarów zespolonych
Jeden wielki płomień bucha.

Otoczyli ją druhowie,
Którym czas przyjemnie służy;
Bo los temu tylko sprzyja,
Kto pokpiwa z jego burzy.

Nie za Hindą, ani Asmą,
Lub namiotów ich śladami,
Lecz za druhów swoich gronem
Gorącemi płacząc łzami.

Powiedz temu, co się chelpi
Filozofją i loiką,
Że rzekoma wiedza jego
Jest obłudą jeno dziką.

Nie zakazuj wina, jeśli
Głowa twa rozumem tęga:
Bóstwem gardzi ten złośliwie,
Kto się wina wyprzysięga!

Tłum. Juljan Adolf Święcicki.

Ratuj mnie, Mohamedzie, synu Zoheira,
Który tak srodze ganisz lotrów i złodziejów!
Rabusie tylko kradną wstydliwie wśród nocy,
A ty mi wiersz bezczelnie ukradłeś w dzień jasny.
Tak doszedł do poezyj ów złodziej Chaijar.
I czemu skradł on wiersz mój? Bo własnego nie ma!

Tłum. Juljan Adolf Święcicki.

Chasib — oszust; wszyscy wiedzą.
Same kłamstwa tylko głosi;

Toż się suknie jego wstydzą,
Że je taki pies zły nosi.

Tłum. Juljan Adolf Święcicki.

O ty, coś mi od Dżynan słodkie przyniósł wieści!
Zwiastuj mi jeszcze jaką wiadomość wesół!...
Posel rzecz: «Twa luba tak do mnie mówiła:
Dlaczego on mojemi ciągle chodzi śladami?
Gdzie ja śpieszę — on za mną, a tak wzrokiem ściga,
Że ja się w głębi serca wciąż sromać muszę.
Skoro zaś wstrzymam kroki, by przemówił do mnie,
Wówczas każde mu słowo na ustach zamiera».

Tłum. Juljan Adolf Święcicki.

ABŪ-L-ATÁHIJA

(um. w r. 826)

Cieszcie się z powszedniego chleba, bracia moi,
Wystarczy!... Wszak dla wszystkich grób otworem stoi!...
I drobnostka nas boli, jeśli dokuczliwa,
Noc wiekiem się wydaje, gdy sen nie przybywał...
Myśl ciągle o tej życia mądrości jedynej,
Że najmilszym dobytkiem są szlachetne czyny.
W każdej rzeczy istnieje krom treści i forma:
Pośrednią i największą, choć małą jest norma.
Tak Bóg rzucił — więc trzeba ten sąd uznać zdrowy:
Milczenie wymowniejsze jest nad wszystkie mowy.
Zginiesz, jeśliś w oszczercach złożył zaufanie.
Kto raz zdradził — już nigdy zdradzać nie przestanie.
Ciężarem jeden długie zwie życia koleje,
Drugi nad tem, że krótkie, płacze i boleje.
Skąpstwo — nie wiesz, mój bracie, jaką woń wydziela!
Zapach wstrętny ma w nosie mym nieprzyjaciela!

Tłum. Juljan Adolf Święcicki.

IBN AL-MU'TAZZ

(861—908)

Nie płacz, że znikła już karawana
I żółto-białe wielbłądy;
Nie płacz, że dawne siedlisko twoje
Opustoszało na wieki!...
Ale ochoczko pij wino stare,
Co się latami całami
Wychowywało w głębiach amfory
Napisem zaopatrzonej!
Kiedy z niej stare zdjęto pieczęcie,

Tak się płyn złoty wylania,
Jak wschodzi księżyc w postaci łuku,
Skoro plejady już znikły;
Jako wdzięk dzwonu, który czuwając
Poranek ludziom obwieszcza!
Jeśli więc skarbów pożądasz, bracie,
W beczce są perły i złoto.
Bo kiedyś wesół — jesteś bogaczem,
A gdy obliczasz — nędzarzem.

Thum. Julian Adolf Świącicki.

AL-MUTANABBÍ

(um. w r. 965)

Pókiż przez głuche piaski i przez dzikie łądy
Mam lecieć, za gwiazdami wypuściwszy wodze?
Gwiazdy, nóg niemające, nie ustaną w drodze,
Jak ustają znużeni ludzie i wielbłądy.

Gwiazdy patrzą się wiecznie, bo nie mają powiek
Znużonych bezsennością, jak podróźny człowiek.

Słońce nam poczerńiło oblicza i czoła:
Siwym włosom czarności przywrócić nie zdoła.

Czyliż sędzia niebieski sroższym dla nas będzie
Niżli ziemscy, litości niemający sędzie?

Wody mam dość na drogę; kiedy z deszczem plynie,
Zbieram ją i w skórzane zamykam naczynie.

Pędzę z gniewem wielbłądy: nie gniewam się na nie,
Lecz niech czują, że z panem idą na wygnanie.

Wyjeżdżając z Egiptu, do wielbłądów rzekłem:
«Bierzcie i przednie nogi popędźcie tylnymi».
I, opuściwszy Egipt, jak strzała uciekłem
Przez sąsiedzkie krainy Dżars i Alelemi.

Darmo rumak arabski wyprzedzić mię żąda,
Kark jego leci w poręcz z garbami wielbłąda.

Młody mój orszak zna się dobrze ze strzałami,
Jak guślarz, co je miesza, gdy lud wróżbą mani.

Ilekróć turban zdejmą, włos czarny i długi
Wije się na ich głowach jakby turban drugi.

Choć puchem młodocianym okryte ich skronie,
Ręka ich wali jeźdźca i zabiera konie.

Więcej zdobyli łupów, niż mieli nadzieję,
Jednak łup ich głębokiej żądry nie zaleje.

Ich bitwa, jak u pogan, wieczna i zacięta,
A bezpieczni pod bronią, jakoby w dzień święta.

Nieme dzidy, z ich ręki wypuszczone w pole,
Nauczyły się świstać, jak skrzydła sokole.

Nie ustana wielbłądy, chociaż się zapienia
I, depcąc Kegl i Ganem, nogi uzienią,

Bicz mój od cudzej łaki wielbłąda odstraszy,
Bo tylko na gościnnej odpoczniemy paszy.

Dziś Pers i Arab będzie pastwiska nam skapił,
Bo Abu Szodża Fatik do mogiły zstąpił.

Lud egipski drugiego Fatika nie liczy,
Jego miejsca na świecie nikt nie odziedziczy.

Abu Talib za życia nie miał równych sobie:
Dzisiaj wszyscy umarli równi jemu w grobie.

Jegom szukał mem okiem, wołał memi usta.
Cóż znalazłem dokoła? — Świat głuchy i pusty.

Tam wróciłem, skąd niegdyś byłem wędrownikiem,
I znowu chcę z piórami odnowić zabawę;
Ale mię pióro czarnym ostrzegło językiem:
«Nie piórem, ale mieczem zarabiaj na sławę.

Weźmiesz pióro, gdy rękę zmordujesz żelazem;
Pióro pracuje tylko za miecza rozkazem».

Tak mię pióra uczyły w przyjaznej rozmowie,
Trzeba było posłuchać, z głupstwa się uleczyć;
Nie słuchałem i teraz nie mogę zaprzeczyć,
Żem sam sobie zaszkodził, że mi braknie w głowie.

Mieczem można się tylko celu życzeń dobić;
Spytaj: czy kto na życie mógł piórem zarobić?

Gdy podróżujesz, obcy lud patrzy na ciebie,
Jak gdybyś żyć przychodził o zebrany chlebie.

Niesprawiedliwość ludzkie rozdziela plemiona,
Chociaż wyszliśmy wszyscy z jednej matki łona.

Ha! dziś inaczej będę gościnności szukać:
Wprawny do miecza, mieczem będę do drzwi stukać.

Niechaj oręż rozstrzygnie, kto karku uchyli:
Czy owi, co cierpieli, lub ci, co gnębili?

Oręża z ręką naszych wydrzeć im nie damy;
Dłoń moja nie ma drżączki, a miecz nie ma plamy.

Niechaj wzrok do bolesnych widoków przywyknie;
To, co widzisz na jawie, jak sen prędko zniknie.

Nie skarż się, bo źli ludzie z twojej skargi dźwięku
Cieszą się, jako sępy z konających jęku.

Dobra wiara uciekła i osiadła w księgach,
Darmo szukać jej w ludzkich marach i przysięgach.

Chwała Bogu wielkiemu! stwórcy mojej duszy!
Z jego łaski i trudy, i nieszczęście znoszę,

I na długim wygnaniu znajduję rozkosze,
Kiedy inni w najsroźszej dręczą się katuszy.

Nad cierpliwością moją dziwiły się losy,
Bo twardsze ciało moje, niżeli ich ciosy.

Śród terazniejszych ludzi smutnie płyną chwile;
Wolałbym żyć przed wieki, a dziś być w mogile;

Czas ojciec, będąc młodszym, naszych przodków stwarzał,
A nas nikiemnych splodził, gdy się już zestarzał.

Tłum. Adam Mickiewicz.

ABŪ FIRÂS AL-HAMDÂNÎ

(um. w r. 968)

Gdyby nie ta matka droga,
O los której drzę,
Jużby mię dziś zgonu trwoga
Nie dręczyła... nie!...
Gdyby nawet mi za złoto
Chcieli zwrócić miecz;
Ja tę łaskę, ach!... z ochotą
Odepchnąłbym precz!...
Ale byt mój — to wiekowej
Matki mojej byt;
A jam dla niej znieść gotowy
Nawet hańby wstydl...
Trzeba dług ten, święty, hojny,
Splacić matce swej,
Żeby krwawa srogość wojny
Nie dotknęła jej!...
W Mambig tęskne dni przebywa,
Pierś jej gryzie strach;
Pewnie tam gołąbka siwa
W gorzkich tonie łzach.
Gdyby można siłą woli
Odbić każdy cios,

I to wszystko, co nas boli,
W błogi zmienić los!...
O, przysięgam... jużby wtedy
Za mej matki próg
Nie zajrzało widmo biedy,
Nie wszedł szczęścia wróg!...
Ale w korbach świat ten trzyma
Wszechpotężna dłoń;
Karbem człowiek — choć olbrzyma
Wznosi dumną skroń!...
Gdyby obłok ten, co bieży
Przez Mambig gdzieś w świat,
Chciał od syna nieść macierzy
Echo wdzięcznych rad,
Wciążbym wołał: «Matko miła,
Nie trać serca... nie!...
Niespodzianie dary zsyła
Bóg na dzieci swe!...
Wytrwaj, matko... taką-c radę
Z głębi serca ślę:
Minie widmo smutku blade
I znów ujrzysz mnie!...»

Tłum. Julian Adolf Świącicki.

Ból mój ciężki, lecz cięższe wytrwanie w niedoli.
Ufam Bogu, że on mię od cierpień wyzwoli.
Rany moje głębokie — a cierpię oddawna,
Choroba to podwójna: ukryta i jawna.
Niewola — to noc długa, posępna, gnębiąca,
Widzisz gwiazdy — nie możesz doczekać się słońca.

Chwile dłużą się, wloką, gdy człek bez obrony,
 O, jakże czas w niewoli zda się nieskończony!
 A w tych długich godzinach, w tym udręczeń stanie,
 Brzmi w mych uszach bez przerwy matki mej wołanie.
 O, matko! Bóg mię swoją nagrodzi przystanią,
 Znosząc męki cierpliwie, jam zasłużył na nią.

Tłum. Julian Adolf Świącicki.

AL-HAMADHĀNI

(um. w r. 1007)

Daleki od wszelkiej pychy, / w sąsiedztwie, w siedzibie lichej / osiadłem, żeby
 domu jego progi / obejrzeć i zejść mu z drogi. / Wysłałem liścik bardzo rano / na-
 tchniony swadą wyszukaną: / lecz on mię, tak jak nędzarzy, / drożdżami z beczki swej
 darzy. / Choć zawiedziony tak srodze, / hamuję rozsądku wodze / i przeciwnika —
 w poklonie, / gdy on unika — ja gonię, / gdy on rozdziela — ja łączę. / Rad nierad
 z puhara sącę / napitek nieprzyjaciela, choć, niechaj losy ustrzegą! — / lura to była
 prawdziwa! / Nadziewam także płaszcz jego, / choć członki skąpo okrywa, / i zwałam
 też winę całą / na wygląd swój oplakany / i na to, że me łachmany / są przyzwoite
 za mało. / — A potem, żeby przyjaźni / zdobyć dla siebie oznaki, / otwarcie i najwy-
 raźniej / piszę do niego list taki: / W imię Boga Miłosiernego, Wszechlaskawego! Abu
 Bekr, pan wielce godny, oby kwitł najdłużej, / gościowi swemu nie po bożemu dziś
 służy. / W lekceważeniu głębokiem patrzy nań półokiem / i, jak ci, co stronią, / wita
 go półdonią. / Trzeba wyznać święcie, / że takie przyjęcie / obudza w gościu trwogę. /
 Właśnie wchodzę, / onieśmielon srodze, / słowa wykrztusić nie mogę, / bo kolkiem
 ci w gardle / stanie takie powitanie. / Lecz co do mnie, wszystko to przyjąłem
 skromnie, / gdyż w świecie zasada jest taka, / że się czleka, / gdy przybył zdaleka, /
 podług monety / i, niestety, / podług świetności kubraka zazwyczaj ceni. / U mnie zaś
 pustka w kieszeni / i wzamian świetnej odzieży — / na ciele — / blichtru niewiele — /
 ot garniturek w strzępach leży! / O! gdyby pan Abu Bekr spróbował raz przecie wę-
 drować po świecie, chętnieby obcym posłuch dawał / i chleba kawał, / i z wielbłąda
 zdejmowałby siodło, / boby cię nie bodło / tak, panie, / liche ubranie. / Zresztą w tej
 naganie / o zgorzkniałej treści / nie mój wyrok, panie, / lecz przyjaźń się mieści». — /
 Taka gorycz z miodem — / odtrąca, więc trzeba powiedzieć mimochodem, / że odpo-
 wiedź była niemila, bo i zimna, i gryząca. / Ja też od dalszych zaczepek daleki / chciałem,
 żeby pamięć tego pana, / zszargana, / zatarła się we mnie na wieki. / Tak chwile
 upływały. / Godzina za godziną — / dnie płyną, / aż się skończył miesiąc cały. — /
 W tym czasie pan dumnie / napaści ku mnie / zwracał wciąż śmiało, / nawala. / Więc
 chwyciwszy za pisarską trzcinę, / bo przecież nie z gapiostwa słyne, / silną mu dałem
 odprawę.

Tłum. Julian Adolf Świącicki.

AL-MU'TAMID

(XI w.)

O! dawniej byłeś wesół, w rozkoszach kapany,
 Gdy dziś, w Agmat, sromotne powłóczysz kajdany!
 Gdy innym dłonią hojną los wesele mierzy,
 Ty nędzny i zgłodniały, w podartej odzieży,
 Musisz patrzeć, jak córki twe w kraszy rozkwicie
 Pracą ciężką żebracze okupują życie.
 Jak cię co dnia krwawymi śpieszą witać łzami,
 Jak po błocie nagiemi stąpają nóżkami,
 Które dawniej po moschu i ambrze kroczyły.
 Lic bladeś świadkiem strasznej cierpienia ich siły!

Gdy szczęście, które było twym sługą, zanika,
 Wnet się z władcy w nędznego zmienisz niewolnika.
 Kto po tobie na wielkość i potęgę liczy,
 Ten nie chce wierzyć w prawdę, jeno w sen zwodniczy.

* * *

Uwięzionego na magrebskiej ziemi,
 Tron mię dziś łzami oplakuje swemi.
 Nad tą męczarnią, co żywot mi bierze,
 Placzą w Hiszpanji meczetów kanclerze.
 Miecz mój i lanca w żalobie rdzewieją,
 Placząc nad mego żywota kolejają.
 Rozpaczne będą dni moje do zgonu:
 Nie mam już władzy, ni państwa, ni tronu!
 Tylko dziś moim udziałem zgryzota,
 Która na wielkość szlachetnych się miota.
 Toż niebo nawet płacze łez potokiem
 Nad życia mego cierpieniem głębokiem.
 O! gdybym jeszcze mógł zrzucić kajdany,
 I w twarz ojczyzny spojrzeć ukochanej!
 O! gdybym jeszcze mógł swej duszy żale
 W Gwadalkiwiriu bystre rzucać fale!...
 W gąszczu oliwnym spoczywać nad wodą,
 Gdzie w krzu gołąbki, gruchając, spór wiodą.
 Gdzie noc swem teńnieniem słodką lejąc ciszę,
 Zlekka gałązką mirtową kołysze.

Zdala od ciebie, ukochana,
 Oddycham smutkiem i żalobą;
 Pijany jestem — lecz nie wino —
 Tęsknota mroczy mię za tobą!
 Jakżebym pragnął w swe ramiona
 Porwać przepiękne twoje ciało
 I wargi spiekle w pocałunku
 Topić w twych ustach z duszą całą!..

* * *

Powieki moje poprzysięgły,
 Że się dopóty snu ustrzegą,
 Póki ich znów nie olśni błogo
 Promienna jasność lica twego.
 O powróć do mnie, ukochana,
 Stracone szczęście wróc mi z sobą;
 I wierz, że dla mnie tyś na zawsze
 I szczęściem życia, i ozdobą.

Tłum. Julian Adolf Święcicki.

AT-TARTŪSZI

Uteśkniony i zboląły,
 Po niebiosach błędzę okiem:
 Czy nie znajdę gwiazdki małej,
 Którą ty pochłaniasz wzrokiem!...
 Gdy zawiodą nieba córy,
 Chwytam ludzi, co w świat gonią,
 By zapytać, czy z nich który
 Twoją nie oddychał wonią.
 Wchodzę w drogę wietrzykowi,
 Gdy mi szeptem ucho pieści,

Czekam z drzeniem, co opowie,
 Jakie ma o tobie wieści?!...
 Błądząc tu i tam dzień cały,
 Twój kochanek w słuch się zmienia,
 Czy gdzie czasem nie rozbrzmiały
 Słodkie dźwięki jej imienia!...
 Goniać mary wciąż zwodnicze,
 Wzrokiem tonę w każdej twarzy:
 Czy też ujrzeć się nie zdarzy
 Choć podobne jej oblicze!...

* * *

Przyrzekła mi odwiedzić po zachodzie słońca,
 Gdy księżycą twarz światu zablęśnie marząca.

Przybyła... jak blask świtu, gdy niebo zapali,
 Cichutko... niby wietrzyk, błędzący wśród fali.
 Jak bliskość róży zdradza zapachu jej siła,
 Tak i ona powietrze wonią napelniła!...
 Koranu nikt z tak wielkim nie chłonie zapalem,
 Jak gorąco ja ślady stóp jej całowałem!...
 Przybyciem swem rozwiała tęsknoty mej brzemię...
 Śpi wszystko... ale miłość serc naszych nie drzemie!...
 Nikt jej teraz nie wydrze z mych ramion pierścienia,
 Aż jutrzienka obwieści chwilę rozłączenia!...

Tłum. Julian Adolf Świącicki.

Wszak klejnoty książę wiernych tej piękności przyniósł w darze,
 Wobec której posepnieją słońca i księżycyca twarze.
 O! Bóg, zanim gdzieś w przestrzeni śród chaosu «stań się» brzmiało,
 Jako dzieł swych arcydzieło stworzył piękność tę wspaniałą.
 Ślij swe dary... wszakże blaskiem jej dorównać nie jest w stanie
 Ani klejnot w łonie ziemi, ani perła w oceanie

Tłum. Julian Adolf Świącicki.

ABŪ-L-ALĀ AL-MA'ARRĪ

(um. w r. 1057)

Jak być winno, co jest lepsze,
 Jeden tylko Bóg stanowi.
 Gdzież z nim porać się nędznemu
 Wszystkich istot rozumowi!
 Wszystko marą, czas nikogo
 W świecie nie oszczędza;
 Ani królów — ni biedaków,
 Których dolą — nędza!...
 Widzę w ruchu wiekuistym
 Nieba widnokręgi,
 Lecz któż kiedy treść odgadnie
 Tajemnic tej księgi?!
 Nasze losy — to jak w wojnie
 Los niepewny męża:
 Raz uciekniesz, innym razem
 Wrogów przewycięża.

Czas wam dźwignąć już — obłędem
 Przywarte powieki:
 Bo dogmaty wasze baśnią,
 Sklejoną przed wiekil...
 Chcieli ziemskie zdobyć mienie,
 Więc też i zdobyli,
 Ogłaszając, że świat bliskim
 Jest skonania chwili,
 Że czas zginie, pochłaniając
 Dolę świata łzawą.
 I pomarli — a wraz z niemi
 Bezmyślne ich prawol...
 Kłamstwem żyli, bo któż kiedy
 Kres odgadnie świata!...
 Niech z takimi oszustwami
 Duch wasz się nie brata!

Tłum. Julian Adolf Świącicki.

OMAR IBN FĀRID

(um. w r. 1235)

Pijem wino kochance na cześć. Nim zasiany
 Był winograd, tem winem duch nasz był pijany.
 Czarą księżyc — a trunkiem jest nam tarcza słońca,
 Którą otacza opar milego miesiąca.
 Sto gwiazd ujrzysz, gdy wino pieni się w szklanicy.
 Gdyby nie jego zapach, nigdybym piwnicy
 Nie znalazł, gdzie ukryte. I gdyby nie złoty
 Jego blask, niktby jego nie wyśnił istoty.

Toż długi przeciąg czasu nic w nim nie zostawił,
 Prócz cząstek jego ducha. Gdy się ten objawił
 W piersi mędrców na ziemi — zewnętrzne świtanie
 Jego zjaw tyłeż znaczy, co tajne działanie.
 Gdy wspomnisz o tem winie w koczowników gronie,
 Najwyższy upojenia stan poczują w łonie.
 Upojenia zaś tego nikt nie liczy do grzechów.
 Wino to się podnosi wolno z głębi miechów —
 A w istocie przetrwało zeń imię jedynie.
 Lecz gdy znowu przypomnisz sobie o tem winie —
 Wskrześnie radość twa, smutek ginie w niepamięci.
 Biesiadnik, coby jeno przyjrzał się pieczęci
 Miecha, gdzie się to wino mieści jako w zdroju,
 Pieczęcią się upije, nie piwszy napoju.
 Gdyby tem winem zrosić proch w głębi mogiły,
 Zmarły — duchem i ciałem wstanie pełny siły.
 Rzuć w chorego cień z winnic, gdzie się sok ten zbiera,
 A choroba opuści tego, co umiera.
 Paralityk, gdy stanie u brzegu sklepiska
 Tego wina — zatańczy. Niemy zaś odzyska
 Mowę. Gdy jego zapach po zachodzie wionie,
 Na wschodzie węch odzyska, kto przestał czuć wonie.
 A gdybyś dłoń ubarwił w wina tego sokach,
 To w drodze nie zbłądzisz, choćby w nocy mrokach:
 Jakby promienna gwiazda świeciła ci w rękę.
 Głuchy znów słyszeć będzie, za sprawą podzwięku,
 Jakim, wino przez sito sącząc się, podzwania.
 Ślepy przejrzy, gdy wzrok mu czarą się przesłania.
 Gdy wędrowcy przechodzą tędy, gdzie jest wino,
 Gdyby którego źmija zatrąła swą śliną,
 Jad jej będzie bezsilny i zatruc nie zdoła.
 A gdyby egzorcysta napisał śród czoła
 Opętanemu winem tem znaki tajemne:
 Opętanieby znikło w otchłanie podziemne.
 Gdyby znak tego wina wyryć na sztandarach,
 Upojona nim armja w ognjach i pożarach
 W niebywałych zmienilaby się wojowników.
 Wino to obyczaje czyści biesiadników.
 A kto ma duszę chwiejną, podniecon tem winem,
 Czerpie moc, że nad każdym zapanuje czynem.
 Skąpiec, gdy pił to wino — będzie szczodroblivy,
 A ten, co był gwałtowny — stanie się cierpliwy.
 Prostak, co korek wina tego ucałował,
 Zbogaciliby się duchem, mądrość wymiarkował.
 «Opisz — mówią — to wino. Ty znasz jego cnoty!»
 Znam je. Czyste jest. Czystsze niżli woda. Złoty
 Ma blask. Światło, co złociej od płomienia świeci.
 Rozkoszne jak powietrze. Lżej niż eter leci.
 To duch — wyższy od ducha, niż duch nasz wcielesny,
 Nad wszelki byt — dawniejszy, przedwieczny, przedczesny.
 Bo gdy w prawieku żadnych jeszcze form nie było,
 Z woli Boga świat powstał wina tego siłą.
 Lecz dotąd mądrość Boska przesłania obłokiem
 Tajnie owego wina przed niemądrych okiem.
 Umilował je duch mój na takowy stopień,
 Że duch mój się z nim wiąże w moc niezłomnych stopień:

Aż wino to z mym duchem jednością się stało,
Lecz nie jak ciało, co przenika drugie ciało.
Wino to było, nie zaś winograd z Ogrojca,
Kiedy jeszcze Adama tu miałem za ojca.
Wino to, nie winograd był z gałązką świeżą,
Gdy matka tego wina była mą macierzą.
Rozkosz wina z rozkoszy meani wypływa,
Lecz meani w rozkoszy wina rośnie żywa.
Choć między niemi przedział, tworzą jedność całą:
Dusza nasza to wino; winograd — to ciało.
Przed tem winem nie było nic poprzedniczego,
Po tem winie nie będzie nic następniczego.
Poprzedzanie wszystkiego, co się potem spaja,
Bezwzględnie tego wina cnotom się przyswaja.
Wino to przed wiekami wieków wyciśnięto —
Tak, iż po niem nadeszło Adamowe święto:
Później dla wina wieki nastaly sieroce.
Takie cudowne wina owego są mocel
Godną pieśni, zaiste, winna ta prałozą:
Pięknie też o niej dźwięczą i wiersze — i proza.
Samo wspomnienie o niem już dziwnie zachwyca
Tego, któremu obcą wina tajemnica:
Jak ten, który w Noanie jest rozmiłowany —
I upaja się samem wspomnieniem Noany.
Mówią mi: pijesz... wino; pić wino jest grzechem!
Nie, to trunek, którego nie pijać jest grzechem.
Trunek ten daje zdrowie mieszkańcom klasztoru.
Ileż to razy, nawet nie pijąc likworu,
Jeno chcąc pić — już krocym pijani weselem!
A jam jest odurzony tego trunku chmielem,
Zanim jeszcze dobiegłem lat mojej młodości —
I chmiel ten we mnie przetrwa, gdy spróchnieją kości.
Wino takie pij tylko w jego formie czystej,
A kto mu chce przymieszki dodać uroczystej —
Toć byłoby niesłuszne, gdybyś do swej szklanki
Nie dodał płomiennego uśmiechu kochanki.
W sklepisku pij! Tam blasku jego i słodyczy
Szukaj! Z pieśnią to wino licz do swych zdobyczy.
Nigdy go tam nie znajdziesz, kędy smutek gości,
Jak nie może pieśń szczęścia żyć obok żalości.
Upojony niem, ujrzysz, że los ci się stanie
Niewolnikiem posłusznym na twe zawołanie.
Za wołą twą ten żywot pójdzie dwugodzinny,
Wypełniając twój wyrok nad sobą powinny.
Wesela nie ma w życiu, kto trzeźwości synem;
Głupiec ten, co umiera niepijany winem.
Niech płacze nad swym losem, komu żywot minie,
Nigdy ust nie zmaczawszy w tem rozkosznem winiel

Tłum. Antoni Lange.

IBN AL-'ABBÂR

(um. w r. 1260)

Naprzód! drogę masz przebitą... prowadź wojska swoje tam!...
Wojowników dzielnych prowadź!... Andaluzję wybaw nam!...

O ty, któryś przygnębionych nigdy nie odepchnął precz,
 Patrz!... Hiszpanja wielkomyślna śpieszy o twój błagać miecz.
 W udrczeniu klęski strasznej wije się ten piękny kraj.
 Los mu wiecznie radość w troski, a na piekło zmienia raj.
 Nieszczęśliwa ty kraino, życie tve zatruwa świat,
 Na ofiarę los wybiera zawsze dzieci twoich kwiat!
 Każdy wietrzyk z brzaskiem świtu jest zwiastunem krwawych dróg,
 Co dnia w pysze swej nad tobą triumfuje podły wróg!...
 O zachodzie słońca zawsze wita cię oręza zgrzył,
 Ustawiczną dyszeć trwogą — to męczarnia taki był!...
 I co tobie dziś nie grozi?... Chrześcijanin przysiągł już
 Najstraszniejszy dzisiaj chyba w piersiach twych zalopić nóż!
 Pragnie z kwiatu twoich dziewic, których każdy strzeże dom,
 Łup uczynić dla zwycięzców i zbezczęścić!... Hańby grom!...
 Dla herezji się roztwiera tyle nowych ciągle wrót,
 Jawnych wrogów naszej wiary ma dziś prawie każdy gród!...
 Na ulicach miast arabskich sroży się niewierny rój;
 Ha!... na widok ten łez krwawych z oczu nam wytryska zdrój!...
 Na meczetów naszych szczycie krzyże błyszczą zewszec stron.
 Tam, gdzie czciliśmy Ałłacha — chrześcijański jęczy dzwon!...
 Czy hiszpański kraj odzyska, co szczęśliwy dotąd miał?...
 Pustką szkoły, w których niegdyś głos Koranu święty brzmiał!...
 A ogrody naszych willi, co pieściły każdy wzrok,
 Pomarniały i dziś od nich stroni już przechodnia krok!...
 Tłumy chrześcijan to szarańcza, a po przejściu takich fal
 Wszędzie tylko spustoszenie, zgliszczce, smutek, rozpacz, żal!...
 Gdzie jest życie, którem dotąd nieustannie wrzał nasz ród?
 Gdzie piękności, co rozkoszą każdy nam słodziły trud!...
 Druzgoczący wszystko w drodze, niezbłagany wróg nasz ten,
 Który, żeby szerzyć zgrozę, swój poświęca spokój, sen.
 Wtargnął z ogniem i żelazem, a potęgą wszystkich sił
 Kraj w pustynię nam zamienia, dzieła sztuki w proch i pył!
 Podaj dłoń nam, dzielny książę, lituj się cierpiących rzesz,
 Do Hiszpanji — zdruzgotany okręt jej ratować śpiesz!...
 W walkach świętych na twój widok wszak przejmował wrogów dreszcz.
 Byłeś mieczem, albo dumą, co spragnionym niesie deszcz.
 Jak przed słońca promieniami ciemność nocy pierzcha wnet,
 Tak przed tobą Murabici dumny zgiąć musieli grzbiet.
 Z wiarą do przystani twojej przybył biedny okręt nasz,
 A nie wątpi, że mu pomoc i opiekę dzielną dasz.
 Orkanami wciąż miotany, pośród groźnych raf i skal,
 Na bezbrzeżnym oceanie już kres nędzy znaleźć miał.
 Jako rumak, gdy spieniony sił ostatek w pomoc zwie
 I, aby osiągnąć celu — miota się... wyciąga... rwie:
 Tak rozbity — biegł kotwicę o Zekkerji oprzeć tron,
 Wiedząc, że u stopni jego albo triumf nasz, lub zgon.
 Tobie, królu, najpokorniej liczne państwa niosą cześć,
 Bo pod łaski twojej płaszczem już ich wróg nie może zgnieść!
 Tobie każdy z podróżników z czcią całować śpieszy dłoń
 I odwiecznych trosk się zbywa, gdy przemówić raczysz doń.
 Firmamentu wnet dosięgnie każda z twoich celnych strzał,
 Gdybyś luk swój napinając, aż ku gwiazdom sięgnąć chciał!...
 Każdy opór wnet zdruzgocze jeden twej potęgi cios,
 Bo chorągiew twego państwa dźwierży w rękach swoich los.
 Twoja gwiazda, gdy chcesz błysnąć, daje dniowi jasność, blask,
 Od policzków twych rumieńce i jutrenka ma swój brzask.

Jako księżyc błyszczysz świetny pośród ciemnych walki chmur,
 A gdzie rządysz, tam jaśnieje wiekopomny sławy wzór.
 Góry korzą się przed tobą, boś jest całej ziemi pan,
 Z wyniosłością twą można tylko plejad zrównać stan!...
 Jako gwiazda nad Hiszpanją w majestacie błyszni nam
 I piorunem swej potęgi nieprzyjaciół wiary złam!
 Do Hiszpanji śpiesz, o królu, i pociechę biednym nies,
 Niechaj krwią nam kraj użyźni chrześcijańskich królów rzeź!
 A za hańbę naszą, panie, tłumy Franków szarp i rwij,
 Zmyjesz plamę i wygodzisz ziemi, dawno żądnej krwi.
 Rzuć nam wojsko na wybrzeża i daj chrześcijan im na łup;
 Niech wódz dumny psów niewiernych legnie w prochu u twych stóp.
 Tam Hiszpanji syny martwe oczekują na głos twój,
 Lecz ożyją, skoro ty ich poprowadzisz w krwawy bój.
 Powiedz, kiedy Andaluzję zbudzi mieczów twoich brzęk,
 A odczuwać będziem naprzód już ostatni wrogów jęk.

Tłum. Juljan Adolf Święcicki.

ZE ZBIORU MARDŹ AN-NÂDHIR

I

Noc tę pamiętam zawsze, gdy ma ukochana,
 Z której ustek miód wionie i woda różana —
 Weszła do izby mojej — i zapromieniła
 Nagle jak księżyc w pełni — świetlana i biała.
 «Ujmij — rzecze — mię w ramion swych silnych kolisko:
 Wszystko mów, czego żadasz. Mów — otrzymasz wszystko.
 Strażnik mój dziś odjechał gdzieś na kraniec świata!»
 Objąłem ją i mówię: «Łście twoja szata
 Zastoną jest niemilą! Zrzuć ją, o władczyni
 Mego serca!» I zaraz moja ręka czyni,
 Że opadać zaczęły rąbki jej sukienki.
 Z uśmiechem spoglądała na ruchy mej ręki —
 I dziwnie tem zrywaniem stała się radosną,
 A ja dalej tę pracę czyniłem miłosną.
 «Luba! Czyli kwiat w pączku obudzi zachwyty?
 Ach, nie nęci mię owoc liśćmi okryty.
 Nie Kocham miecza, który w pochwie jest zamknięty.
 Z żalem patrzę na księżyc chmurą osłonięty».

II

Mów mi, twe ząbki czy to sznurek pereł białych —
 Czy rumianków rząd? czyli hiacyntów pączki,
 Lub kwiaty, co na palmach kwitną wybujałych,
 Które dziewczę roztwiera bielą swojej rączki?
 Albo zorza wiśniana, w której krople rosy
 Drżą mieniącym się światłem na listków zieleni. —
 Albo szronu kawalki, co dziwnymi losy
 Przetrwały w twoich ustach — choć w nich żar się pieni.
 Lub może to powietrza srebrne, krągłe pianki
 Nad czarą, którą winem napełniono złotem —
 Lub drobne kulki wody, co gazonów wianki
 Diamentują — błyskając przejrzystym migotem?

Tłum. Antoni Lange.

Z POEZJI HISZPAŃSKO-ARABSKIEJ

O! Andaluzję tylko można
 Krainą szczęścia nazwać śmiało:
 Tam tylko człowiek nieustannie
 Odczuwa rozkosz piersią całą.
 O! klóż ten kraj, zielenią strojny,
 Na inny w całym świecie zmieni!...
 Tu cię do wina gwałtem prosi
 Chłód w cieniu drzew i szmer strumieni!...
 O! spojrzij tylko, a zdumiony,
 Ledwie rzut oka zrobisz jeden,
 W ogrodach świetnych tej krainy
 Poznasz Jemenu, Sany Eden!...
 Każdy się potok srebrem iskrzy,
 Liść ma jedwabiu połysk złoty;
 Womnością ziemia, a kamienie
 To istne perły i klejnoty!...

Łagodne niebo Andaluzji
 Zabija srogość w piersiach ludzi.
 Chociażbyś nigdy nie nie kochał,
 Tam się twe serce wnet rozbudził!...
 Nie krople deszczu są te perły,
 Które Bóg spuszcza dla tej ziemi;
 To nie są wiatry, co o świecie
 Rzeźwią kraj prądy łagodnemi.
 O! czyżbym zdołał odzwierciedlić
 Najśodsze ziemi tej rozkosze!
 O! czyż wyrazić zdołam w pieśni
 Jej obraz, który w sercu noszę.
 Śród czarów ziemi tej żyć wiecznie!...
 Ach! one tak szczęśliwym czynią!...
 Ten kraj — to jeden ogród wielki,
 A cały za nim świat pustyniał!...

Tłum. Juljan Adolf Świącicki.

MAKRÎZÎ

(1365—1442)

Z DZIEŁA «PRZEWODNIK DO POZNANIA DYNASTYJ KRÓLÓW»

(Dzieje Egiptu od 1181 do 1440)

Powiada Makrizi:

W początku r. 796, w czwartek, trzeciego dnia miesiąca Rabi I przyszło pismo od Timurlanga, które zawierało gromy i błyskawice i uskarżało się na zamordowanie jego posłów. Treść jego była następująca:

«Powiedz: O Boże, Twórcu nieba i ziemi, Ty, który znasz rzeczy jawne i ukryte, kiedyś będziesz rozstrzygał między Twymi sługami we wszystkich sprawach, w których się rozeszli (Koran, Sura 39, wiersz 45).

Wiedźcie tedy, że jesteśmy hufcem Bożym, stworzeni Jego gniewem. Nam oddał moc nad tymi, nad którymi zawisł Jego gniew.

Nie wzrusza nas głos skargi, nie budzi naszej litości głos płaczu.

Bóg wyrwał z naszego serca wszelką litość. Biada i jeszcze raz biada temu, który nie należy do naszego zastępu i nie jest po naszej stronie.

Spustoszyliśmy ziemię, osierociliśmy dzieci, uczyniliśmy z ziemi perzynę.

Najpotężniejsi upokorzyli się przed nami, najbardziej krzepkich siłą naszego oręża uczyniliśmy niewolnikami.

A gdyby to było dla słyszącego niezrozumiałe i trudne, gdyby twierdził, że jest to dla niego niepojęte,

Powiedz mu: Patrz, gdy królowie wtargną do miasta, pustoszą je i z najsilniejszego człowieka robią niedołężnego (Koran, Sura 27, wiersz 35).

Wszystko to dlatego, że jesteśmy liczni, dzielni i odważni.

Nasze konie — szybkie rumaki, nasze dzidy — szarpacze ciał, nasze oszczepy — błyskawice, nasze miecze — nosiciele śmierci.

Nasze serca są jak skały, nasze wojska — jak ziarna piasku, my sami — wszyseśmy bohaterzy i ludzie odwagi.

Na nasze państwo nikt nie śmie napadać, kto się pod naszą podda opiekę, nigdy nie zazna szkody, nasza potęga na zawsze najwyższą władzę nam zapewnia.

Kto z nami pokój zawiera, jest bezpieczny, kto na nas napada, żałuje, kto o nas mówi, czego nie wie, jest szaleńcem.

Wy jednak, jeśli usłuchacie naszego rozkazu i przyjmiecie nasze warunki, zdobędziecie tę samą przewagę, co my, będziecie mieli te same obowiązki, co my.

Jeżeli jednak postąpiacie wiarolomnie, oporni w swej niewierności, będziecie ganili tylko siebie samych.

Wasze twierdze nie będą was broniły, pomimo całej swej warowności. Wasze miasta nie odeprą naszego napadu i na nic się wam nie przydadzą, przy całej swej potędze. Wasze modły i skargi przeciw nam nie będą wysłuchane.

Jak może Bóg was wysłuchać? Przecież jedliście to, co jest zakazane, doprowadziliście całą ludność do zniszczenia, zawładnęliście mieniem sierot, a wasi sędziowie byli przekupni.

Przygotowaliście sobie zawczasu gehennę ognistą, a zaprawdę, jaki straszny w niej przeżył! Ci bowiem, którzy niesprawiedliwie zjadają mienie sierot, zaprawdę wchłaniają ogień do wnętrza i niechybnie wejdą do ognia piekielnego! (Koran, Sura 4, wiersz 9).

Żeście jednak to czynili, sami siebie wtrąciliście w przepaść śmierci: mordowaliście sieroty, powstawaliście przeciw Panu ziemi i nieba.

Przelewaliście krew szlachejnych. Na Boga! To jest niewierność, to jest marnotrawstwo!

Za to na zawsze wejdziecie do ognia. Jutro ogłoszę wyrok nad wami: owego dnia będziecie ukarani haniebną klęską za to, żeście dumnie i grzesznie chodzili po ziemi, za to, żeście się niecnotliwemu życiu oddawali.

Radujcie się więc w swojej hańbie i ohydzie, ludzie niewierności i gwałtu!

Jesteście niewzruszenie przekonani, że my jesteśmy niewierni. Dla nas jednak jest rzeczą pewną, że wy, na Boga, jesteście zaprzańcy i złoczyńcy.

Uczył nas panami nad wami Bóg, który panuje nad wszystkim, który kieruje losami.

Najmocniejsi z was są dla nas niedołączkami, najliczniejsi są dla nas nieliczni.

Myśmy bowiem ujarzmili ziemię, na wschód i na zachód, siłą przywłaszczyliśmy sobie wszystko, co na niej (Koran, Sura 18, wiersz 78).

Powiedzieliśmy wam jasne słowa. Śpieszcie tedy z przysłaniem odpowiedzi.

Nim będzie uchylona zasłona (Koran, Sura 50, wiersz 21) i wojna wznieci swój płomień.

Nim wszystkich oczy zaczną przelewać nad wami łzy, nim Woźny Rozłąki (Anioł Śmierci) ogłosi: czy widzisz jakieś ich ślady?

Nim Sprawca Zniszczenia da wam usłyszeć, wstrząsnąwszy wami gwałtownie: czy dostrzeżasz jeszcze kogoś z nich, czy słyszysz jeszcze ich najłżejszy dźwięk? (Koran, Sura 19, wiersz 97).

Postąpiliśmy z wami sprawiedliwie, śląc do was gońców.

Nie mordujcie tedy tych posłów, jak to uczyniliście z pierwszymi, nie odstępujcie według waszego zwyczaju od obyczajów pokoleń minionych, nie powstawajcie przeciw Panu światów. A przecież poseł nie ma więcej obowiązku, niż jasno wyłożyć polecenie (Koran, Sura 16, wiersz 35).

Posyłamy wam jasne słowa. Śpieszcie więc z przesłaniem przeznaczonej nam odpowiedzi. I żegnajcie!

IV. PROZA LITERACKA

LITERATURA MAKAM, POWIEŚCI RYCERSKIE, BUDUJĄCE, POWIEŚCI 1001 NOCY, LEGENDY

CHARĪRĪ

(um. w r. 1122)

Gdy Abu-Seid pomyka / do dziewiątego krzyżyka, / gdy już przerzadła siwa / staro-
rego lwa grzywa, / nuż w ducha słabości / myśleć o wieczności, / zawodzić lament; /
nuż pisać testament. / Woła więc syna / i tak zaczyna: / «Chłopcze, niedługo przyjdzie

mi nogami / podążyć za jaskółkami, / a ty, co byłeś mi w niejednej dobie / laską
 starości, / musisz pomimo żalości / stać się niebawem kwiatem na mym grobie. / Muszę
 więc mimo bole / ogłosić ci ostatnią moją wołę, / muszę ci na głowę / zlać błogosła-
 wieństwo Jakóbowe. / Jeżeli w wiernej pamięci / twój umysł moje nauki uświęci, /
 pień twój zostanie zielonym, / gardło zwilżonem, / skóra przykryta, / szata sowita. / Je-
 żeli nie — fłaszka pustą stanie, / kieszeń zionąc będzie jak otchłanie, / ognia na kuchni
 braknie, / żołądek jadła zalaknie».

* * *

Kobieta oszustwem żyje,
 Jam z jej objąć wyzwolony,
 Bo pasem dla niej są żmije
 A ozdobami skorpjony.

*

Z uśmiechem swoim piękneby były kobiety,
 Ale ten uśmiech trwa bardzo krótko, niestety.
 Wszakże ryba, jak wiecie, tylko w wodzie pływa,
 Bez wody płynąć umie — kobieta zdradliwa.

*

Targ niewiast — to złodziejów istne targowisko,
 Gdy tam wszedłeś — nad sobą czuwaj nieskończenie;
 Skoroś z nimi — pamiętaj, że przepaść jest blisko,
 W interesie najlepszym całe stracisz mienie.

*

Chętnie z dziewczyną porozmawiaj hożą,
 Podstępny niewiast badaj, pókiś młody,
 Toż one z wiatru naszyjnik ci stworzą,
 A i ogolą bez wody!

*

Niechaj za żonę nikt wdowy nie bierze,
 Chociażby wygląd miała piękny, hoży,
 Będziesz we wszystkim dogadzał jej szczerze,
 Ona tamtego przeloży!

*

Przyjacielu, bądź wytrwały,
 Umiej czekać twego myła,
 Śpij na cierniach nago cały,
 Póki dzień twój nie zaświta!

*

Milczenie jest zawsze złotem,
 Słowo — nieszczęścia zarzewiem;
 Gdy wiedziałeś — nie mów o tem,
 Gdy pytają — powiedz: nie wiem!

*

Przed zapłatą — lekarstwa nie dawaj, broń Boże,
 Radzę ci na słodziutkiem nie poprzestać słowie,
 Bo gdy chory, wyleczon, opuści swe łożo,
 Wnet zapomni, że ty mu powróciłeś zdrowie.

* * *

O Maroko, ty krajów potworze,
 Mieszkańcom twoim do piekieł iść na dno;
 Niedosć, że gościom każą spać na dworze,
 Jeszcze i żywność im kradną!

Tłum. Julian Adolf Święcicki.

Z «PROCESU ZWIERZĄT Z LUDŹMI PRZED KRÓLEM DUCHÓW»

(Bajka arabska z «Pism Czystych Braci» w Basorze, X w.)

W imię Boga litościwego, miłosiernego.

Wiedźcie, że gdy się potomkowie Adama rozplodzili i rozmnożyli, rozeszli się po całej ziemi, po lądzie i morzu, po równinie i górach, i zaczęli swobodnie chodzić po świecie.

Przez pewien czas byli nieliczni, żyli w ciągłym strachu z powodu dzikich zwierząt i drapieżników, i czuli się na świecie wystraszeni i osamotnieni. Rozbijali zwykle namioty na szczytach gór i wzgórz, i chronili się w pieczarach i szczelinach skalnych. Żywili się owocami drzew, ziołami i ziarnami zbóż, okrywali się liśćmi drzew od upałów i zimna. Podczas zimy przebywali w ciepłych okolicach, a na lato wędrowali do krajów chłodnych.

Później zaczęli budować na równinach miasta i wsie, oswoili zwierzęta dwukopytowe, wolu, owcę i wielbłąda, a z jednokopytowych konia, muła i osła. Uczynili z tych zwierząt istoty służebne, nałożyli na nie cugle i zaczęli posługiwać się nimi dla różnych celów: konnej jazdy, przenoszenia ciężarów, uprawy ziemi i mlócenia zboża. Nałożyli na te zwierzęta ciężką pracę, zmuszając je do czynności i prac ponad siły, i ograniczyli ich wolność ruchów i działania według własnej potrzeby. Aż do tego czasu zwierzęta mogły swobodnie biegać po stepie i w gąszczu leśnym, chodzić wszędzie w poszukiwaniu pastwisk i wodopojów lub też dla zaspokojenia innych potrzeb.

Wówczas zaczęły uciekać od ludzi niektóre zwierzęta, jak dzikie osły, gazy, drapieżniki, zwierzęta polne i ptaki, żyjące dotychczas w przyjaznej wspólnocie i zgodnem sąsiedztwie w siedzibach i legowiskach, do których się chroniły. Zwierzęta zaczęły stronić od siedzib potomków Adama, uciekać do rozległych stepów i gąszczy leśnych i chronić się w dolach ziemnych i jaskiniach.

Ale potomkowie Adama zaczęli się imać różnych wybiegów, sposobów myśliwskich, sieci i pułapek, żeby owładnąć zwierzyną.

Z biegiem czasu potomkowie Adama doszli do niewzruszonego przekonania, że zwierzęta są dawnymi niewolnikami człowieka, którzy powstałi przeciw swym prawowitym panom i uciekli od nich.

Tak upłynęły dni i lata nad temi sprawami, aż Bóg zesłał Mahometa, niech go Bóg ma w swej opiece i jego ród. Prorok zaczął wzywać ludzi i duchy do powrotu do Boga Najwyższego i wiary w islam. Za wezwaniem jego poszły zastępy duchów i umocniły się w nowej wierze. Tak upłynął pewien czas.

W owym czasie królem duchów został jeden z nich, nazwiskiem Mędrzec Biwarasp czyli Właściciel Dziesięciu Tysięcy Koni, z przydomkiem Szah-i-Mardan, Król Ludzi. Jego stolica znajdowała się na wyspie Balasaghun na środku morza Zielonego (Indyjskiego), w pobliżu równika. Klimat miała doskonały i urodzajną glebę. W pobliżu stolicy płynęły rzeki o słodkiej wodzie, tryskały chłodne źródła. Wyspa miała płodną glebę, była pokryta wszelkimi drzewami i owocami, łąkami i kwietnikami. Z ziemi wyrastały pachnące zioła i trawy, drzewa były pokryte barwnym kwieciami.

Pewnego dnia silne wiatry przygnały do brzegów tej wyspy statek morski. Na pokładzie byli kupcy, rzemieślnicy, uczeni i inni ludzie. Rozbitkowie wylądowali na wyspie, zaczęli chodzić po niej i przekonali się, że obfituje w drzewa i owoce, ma słodkie wody, doskonałą pogodę i bogatą glebę i wydaje różne rodzaje jarzyn i pachnących ziół, oraz wszelkie nasienie i ziarno, wyrastające pod życiodajnym dżdżem niebieskim. Znaleźli na niej różne zwierzęta, bydło jednokopytowe i drobne. Wszystkie te zwierzęta żyły we wzajemnej przyjaźni, zgodnem sąsiedztwie, nie uciekając jedno od drugiego.

Ludzie ci umiłowali sobie wyspę, osiedli na niej i pobudowali domy. Następnie zaczęli napadać na wielkie i drobne bydło, które się tam znajdowało, chwytając je w niewolę, posługiwać się niem do konnej jazdy, objucząc je wszelkimi ciężarami i postępować z niem tak, jak przywykli w swych dotychczasowych siedzibach.

Wielkie i drobne bydło, które żyło na wyspie, zaczęło od nich uciekać. Ale ludzie zaczęli na nie polować, chwytając je różnemi wybiegami, w przekonaniu, że zwie-

rzęta te są ich niewolniczem bydłem, które odmówiło im posłuszeństwa, powstało przeciw swym panom i uciekło od nich.

Gdy się o takim przekonaniu ludzkim dowiedziało wielkie i drobne bydło, zebrał się jego przedstawiciele i rzecznicy i udali do Biwaraspa Mądrego, króla duchów. Król posłał gońców do ludzi i kazał im stanąć przed swem obliczem. Na to wezwanie zjawiała się przed nim rzesza ludzi z owego statku, około siedmdziesięciu osób z różnych krajów. Gdy do króla doszła wieść o ich przybyciu, kazał ich przyjąć i ugościć, a po upływie trzydziestu dni przyprowadzić do sali posłuchań.

Biwarasp był królem mądrym, sprawiedliwym, wielkodusznym, bezstronnym i wspaniałomyślnym. Chętnie i przyjaźnie przyjmował gości, dawał schronienie wędrowcom, litował się nad nawiedzonymi nieszczęściem, nie dopuszczał przemocy, zalecał dobre i powściągał od złego. W ten sposób pozyskał sobie łaskę Bożą.

Gdy ludzie ze statku przybyli i ujrzeli króla na tronie, złożyli mu hołd i życzenia długiego żywota i szczęśliwości. Król rzekł do nich za pośrednictwem tłumacza:

«Co was sprowadziło do naszych okolic i co skłoniło was do wylądowania na wyspie bez poprzedniego powiadomienia».

«Sprowadziły nas tutaj» — odrzekł jeden z mówców — «wieści, które doszły do nas o zaletach króla, jego doskonałych właściwościach, jego wielkodusznem usposobieniu i sprawiedliwych sądach. Przyszliśmy więc w nadziei, że wysłucha naszą przemowę, zbada naszą podstawę prawną, wyda sprawiedliwy wyrok, dopomoże nam do uzyskania naszych praw i rozstrzygnie w sposób słuszny spór między nami a naszymi zbiegłymi niewolnikami i opornymi sługami».

«Powiedźcie więc, czego chcecie» — rzekł król — «i wyłóżcie, co macie do powiedzenia».

Rzecznik ludzi rozpoczął swoją przemowę:

«Tak, królu! Zaiste, to wielkie i drobne bydło, te drapieżniki i dzikie zwierzęta, i inne żyjące stworzenia są to wszystko nasze slugi, a my jesteśmy ich panami. Niektóre z nich zbiegły od nas i stawiają opór. Inne są nam wprawdzie posłuszne, czynią to jednak niechętnie i zaprzeczają swego obowiązku niewolników».

«A jaki macie dowód» — spytał król potomka człowieka — «jaką podstawę prawną waszych twierdzeń i roszczeń?»

«Tak, królu» — odrzekł syn człowieczy. — «Mamy dla swoich twierdzeń podstawy prawne, oparte na Księdze Praw Wiary i na podstawie ustnej tradycji, oraz dowody, uzasadnione rozumem».

«Podajcie je tutaj!» — zawołał król.

Rzecznik rzeszy ludzkiej wstał — a był to potomek Abbasa, niech miłosierdzie Boże na nim spoczywa — wstąpił na trybunę i zawołał:

«Chwała Bogu, Panu światów! Niech nagroda będzie pobożnym, niech nielaska Boża padnie na grzeszników, niech Bóg otoczy swoją opieką Mahometa, Pieczęć Proroków i Wzór Posłańców, Rzecznika naszego w Dzień Sądu! Niech błogostawieństwo Boże spoczywa na jego aniołach, jemu bliskich, i na jego sługach, pobożnych mieszkańcach niebios i światów, wiernych wyznawcach Boga! Niech Bóg zaliczy ciebie, królu, w swem miłosierdziu w ich poczet! Bóg jest przecieź miłosierny z miłosiernych! Chwała Temu, który z wody stworzył człowieka, a z człowieka — kobietę, pozwoił im się rozmnożyć i splodzić wielu mężczyzn i kobiet, otoczył swą łaską ich potomstwo, dał im się rozprzestrzenić po lądach i morzach i obdarzył ich wszelkiem dobrem! Bóg Najwyższy i Wielki rzekł: «A bydło stworzyłem dla was; możecie ciągnąć z niego wszelki pożytek, z jego sierści wyrabiać sobie ciepłe okrycia i żywić się jego mięsem». Rzekł również Bóg Najwyższy i Wielki: «A konie, muły i osły stworzyłem, żebyście na nich jeździli». Bóg powiedział również: «Abyście na ich grzbiecie siedzieli prosto i używali łaski Bożej, dosiadając grzbietu bydła». Na to mamy liczne dowody w Koranie, Torze i Ewangelji, świadczące o tem, że bydło zostało stworzone dla nas, że zwierzęta są naszymi niewolnikami, a my jesteśmy ich panami. Zresztą, błagam o przebaczenie Boże dla siebie i dla was».

Na to zawołał król:

«Słyszeliście, rzeszo wielkiego i drobnego bydła, jakie syn człowieczy wspominał

ustępy z Koranu, jakie dowody przytoczył dla swych roszczeń. Cóż więc macie do powiedzenia o tem, co mówił?»

Na to wstał mówca bydła — był to muł — i rzekł:

«Chwała Bogu, Jedynemu, Niepodzielnemu, Niezmiennemu, Odwiecznemu, Wiecznemu, Temu, który był przed wszelkiem istnieniem, bez czasu i kresu, Temu, który rzekł: «Niech się staniel», i stało się daleko promieniejące światło, któremu Bóg kazał wytrysnąć z głębi Tajnika Tajników. Następnie z światła stworzył płomienny ogień, a z wody stworzył morze, wiecznie ruchome, potężnie falujące. A z wody i ognia stworzył sfery niebieskie, twierdze firmamentu, gwiazdy, jasno płonące światła niebieskie. Zbudował niebiosą, rozłożył ziemię, umocnił góry. Sklepienie niebios uczynił siedzibą Górnych, przestrzenie twierdz niebieskich — siedzibą aniołów, Bliskich, a ziemię rozpostarł dla tworów, roślin i istot żyjących. Następnie stworzył duchów z płomienia i palącego wiatru, i człowieka z gliny, jego potomków zaś z nasienia męskiego, ohydneho płynu. Rodzaj ludzki utrwalił na ziemi, aby ją opanował i zaludnił, nie pustosząc jej, aby bronił istot żyjących i ciągnął z nich pożytek, nie krzywdząc ich i nie gwałcąc. Zresztą, błagam o przebaczenie Boże dla siebie i dla was».

Następnie ciągnął dalej:

«W żadnym wersecie, o królu, który przytoczył syn człowieczy, niema dowodu dla jego twierdzenia, jakoby oni byli panami, my zaś niewolnikami. Jest tylko jeden ustęp, świadczący o łasce Bożej i Jego miłosierdziu dla nich. Ustęp ten brzmi: «Uczył je (zwierzęta) na użytek wasz, tak samo jak na użytek wam stworzył słońce, księżyc, wiatr i chmury». Czy zechcesz więc twierdzić, o królu, że te są sługami i niewolnikami ludzi, a ludzie ich panami?! Wiedz więc, o królu, że Bóg, niech Jego chwala będzie wielka, powołał wszystkie twory na niebiosach i światach do istnienia i wzajemnej służby, czyto dla osiągnięcia pożytku, czy też dla odwrócenia szkody. Co zaś dotyczy poddania zwierząt człowiekowi przez Boga Najwyższego i Wielkiego, to stało się to, aby sobie byli użyteczni i szkodę od siebie odwracali, jak to obszernie wyłożymy później — nie zaś, jak oni sobie wyobrażają i mniemają, i kłamliwie a oszczerczo twierdzą, jakoby oni byli naszymi panami, my zaś ich sługami».

Rzecznik jednokopytowych mówił dalej:

«My i nasi przodkowie byliśmy jeszcze przed stworzeniem Adama, ojca rodzaju ludzkiego, mieszkańcami ziemi, osiedleńcami jej krain, wędrując po jej szerokich dolinach. Nasze rzesze wędrowały po ziemiach Bożych, w poszukiwaniu utrzymania, i używały wszelkiej swobody w załatwianiu swych spraw. Każdy na swoim miejscu zaprzętał się własnymi sprawami i zabiegał o zaspokajanie swych potrzeb w stepie lub gąszczy leśnej, na równinie i w górach. Każdy rodzaj obcował z potomkami swojej odmiany, troszcząc się o płodzenie młodych i wychowanie potomków w dobrem odżywianiu, w miarę tego, co Bóg nam udzielił z potraw i napojów. Byliśmy dobrze ukryci w naszych legowiskach, bezpieczni i spokojni na ciele i duszy. Chwaliliśmy Boga w dzień i w nocy, nie sprzeciwiając się jego woli i nie czcząc nikogo prócz Niego. Tak płynęły pokolenia i wieki. Następnie Bóg Najwyższy stworzył Adama, ojca ludzkości, i uczynił go namiestnikiem Boga na ziemi. Jego potomstwo rozmnożyło się przez płodzenie, stało się liczne i rozprzestrzeniło się na powierzchni ziemi, na lądzie i morzu, na równinie i w górach. Uczynili nam ziemię i dom ciasnemi, wzięli z nas niewolników z wielkiego i drobnego bydła, koni, mułów i osłów, zaczęli się niemi posługiwać, nałożyli na nie pańszczyznę, dręczyli je ciężką i żmudną pracą dźwigania ciężarów i ludzi, ciągnięcia pługa, koła wodnego, i pracą w młynie, zatruli im życie przemocą i krzywdą, biciem, upokarzaniem i wszelkimi karami. Wówczas, kto z nas mógł, uciekał w step, pustynię i na szczyty gór. Ale synowie Adama zaczęli gorliwie, wszelkimi sposobami, prześladować nas. A gdy się udało im kogoś schwytać, krępowali go obrożami, łańcuchami, kajdanami, zarzynali go, ściągali z niego skórę, rozcinali brzuch, obcinali członki, łamali kości, wyrzynali oczy, oskubywali pierze, strzygli włosie, gotowali w ogniu i piekli na różnie — słowem, wystawiali na tortury, które opisać niepodobna. Ale potomkowie Adama nie zadowalają się tem wszystkim, lecz śmiały jeszcze zgłaszać roszczenia do nas i twierdzić, że to wszystko jest słuszne, że mają do tego prawo, że oni są naszymi panami, my zaś ich sługami, że ten z nas, który się ratował ucieczką, jest

zbiegłym niewolnikiem, buntownikiem, który się sprzeniewierzył obowiązkowi posłuszeństwa. A wszystko to czynią, nie posiadając żadnej podstawy prawnej, żadnego zwyciężonego dowodu, ani jasnego faktu przeciwko nam, prócz przemocy i gwałtu».

Gdy król usłyszał tę przemowę i zrozumiał jej treść, wydał rozkaz woźnemu, żeby ogłosił w całym kraju, iż król każe zwołać z wszystkich plemion duchów oddziały wojska i policji, sędziów, ławników i prawników, aby zasiać do sądu i rozstrzygnięcia sporu między rzecznikami zwierząt a przedstawicielami rodzaju ludzkiego...

Gdy przybyli gońcy do króla ptaków — był to ptak Simurgh — ten polecił woźnemu wydać ogłoszenie publiczne. Na to wezwanie zebrały się doń zewsząd ptaki różnego gatunku, z łądów i mórz, równin i gór, w wielkim mnóstwie, tak liczne, że tylko Bóg Najwyższy i Wielki zliczyć je potrafi. Król opowiedział im, co mu gońcy donieśli o zebraniu zwierząt u Króla Duchów dla rozstrzygnięcia sporu z rodzajem ludzkim o roszczeniach tegoż do służby niewolniczej i pańszczyźnianej zwierząt. Następnie Simurgh rzekł do swego wezyra Pawia:

«Kto jest tutaj z krasomówców ptasich i mistrzów w dyspacie? Kto z nich nadaje się do tego, abyśmy go posłali na obrońcę naszej wspólnoty w sporze z rodzajem ludzkim?»

«Jest ich tu mnóstwo».

«Nazwij mi ich więc, abym ich poznał».

Paw zaczął wyliczać:

«Są: Dudek-Wywiadowca, Kogut-Woźny, Kuropatwa-Wywoływacz, Gołąb-Przywódcą, Bażant-Śpiewak, Skowronek-Kaznodzieja, Słowik-Naśladowca, Jaskółka-Budowniczy, Kruk-Prorok, Bocian-Strażnik, Papuga Szczęśliwa...»

Rzekł Simurgh do Pawia:

«Daj mi ich zobaczyć osobno, abym się mógł im przyjrzeć, poznać każdego właściwości, czy się do tej sprawy nadaje, czy nie».

«Tak jest» — odrzekł Paw. — «Co dotyczy Dudka-Wywiadowcy, towarzysza Salomona, syna Dawida, to jest nim tamta osoba, która tam oto stoi, odziana w połataną pstrą szatę, cuchnącą, ze spuszczonego turbanem na głowie, skulona, jakgdyby na klęczkach modły odprawiała. On jest tym, który zaleca dobre i powstrzymuje od złego. On jest tym, który w przemowie, zwróconej do Salomona, syna Dawida, rzekł: «Wiem, czego ty nie poznałeś, i przynoszę ci z kraju Saba wieść niezaprzeczoną...»

«Co zaś dotyczy Koguta-Woźnego, to jest nim tamta osoba, która stoi tam oto na murze, z czerwoną brodą, z wieńcem i grzebieniem, czerwonymi oczyma, z rozczapierzonymi skrzydłami i z podniesionym prosto ogonem, jakgdyby to był sztandar. Jest to zazdrośnik, hojny, czujny, bystro patrzący obrońca swego haremu, zwiastun jutrenki rannej, ten, który budzi sąsiadów, ten, który dobroduszenie nawołuje. Jest to ten, który w swym wołaniu modlitewnym w szarą godzinę świtu woła: «Pomnijcie o Bogu, o sąsiedzi! Jak długo jeszcze będziecie drzemali w śmierci i gniciu, nie bacząc, co czynicie, nie bojąc się płomieni piekielnych, nie tęskniąc do ogrodu rajskiego, niewdzięczni za łaskę Bożą! Bodajby żyjące stworzenia nie zostały wcale stworzone! A jeżeli zostały stworzone, bodajby widziały jasno, do czego zostały stworzone! Pamiętajcie o Tym, który niszczy wszelkie rozkosze, i zaopatrzyć się w zapasy! A zaiste najdoskonalszym zapasem jest bojaźń Boża!»

«Co zaś dotyczy Kuropatwy-Wywoływacza, to jest nim tamta oto osoba, stojąca na pagórku, z białymi policzkami, czarno-białymi skrzydłami, grzbietem zgarbionym od długich klęczeń i pokłonów modlitewnych, błogosławiona licznym potomstwem, która w swoim wołaniu przypomina i zwiastuje, i w dni wiosenne mówi: «Przez wdzięczność trwa hojność, przez zdradę zaś przychodzi kara». Następnie mówi: «Bądźcie wdzięczni za łaskę Bożą, a użyć wam więcej. Nie myślcie nigdy nic złego o Bogu». Również śpiewa ona na wiosnę następujący hymn:

Z TYSIĄCA I JEDNEJ NOCY

HISTORJA TRAGARZA SINDBADA

Za czasów kalifa, władcy wiernych, Hārūna ar-Raszīda w mieście Bagdadzie żył człowiek, którego zwano tragarzem Sindbadem. Był to człowiek biednego stanu, który za zapłatę dźwigał ciężary na głowie.

Pewnego dnia zdarzyło mu się nieść ciężki tłumok. Dzień był upalny. Sindbad był zmęczony od dźwigania, spocił się cały i osłabł zupełnie od skwaru.

W drodze przechodził mimo bramy domu jakiegoś kupca. Przed bramą stał szeroki stół kamienny. Tragarz zdjął tłumok z głowy i położył go na stole, żeby odpocząć i zaczerpnąć powietrza. Z wnętrza domu wychodziło wonne powietrze i zapachy różnych perfum i kwiatów. Tragarz zaczął się rozkoszować tym zapachem i na chwilę przysiadł na brzegu stołu. Wtem usłyszał grę lutni i harf, dźwięki muzyki i śpiewu, które wzbudziły w nim głębokie wzruszenie, recytację poezji, wywołującą dziwne myśli. A podczas tego dochodziły go głosy rozświetlanego ptactwa, które śpiewało chwałę Bogu Najwyższemu przeróżnymi sposobami i wszelkimi językami świata.

Tragarz zdumiał się wielce w duszy, i głębokie wzruszenie opanowało go. Wstał, podniósł się z miejsca i wszedł do bramy. Stąd ujrzał między murami domu wielki ogród, a w ogrodzie stała liczna służba, aż się roilo od niewolników i sług, jakich można widzieć tylko na dworach królów i władców. Uderzyły go w twarz zapachy doskonałych potraw i wszelkich rodzajów przeróżnych pańskich napojów.

Tragarz wzniosł oczy do nieba i zawołał:

«Chwała ci, Panie i Stwórco, Żywicielu, który hojnie szafujesz dobra tego świata tym, którym chcesz. O Boże! błagam cię o przebaczenie za wszystkie moje grzechy i przychodzę do ciebie ze skrucą za wszystkie moje występki. O Panie! Niema sprzeciwu twoim wyrokom, nikt nie może się przeciwstawić twojej potędze, nikt nie może pytać o twoje czyny, masz władzę nad wszystkimi jestestwami. Chwała tobie, który wzbogacasz, kogo chcesz, i zubożasz, kogo chcesz, wzmacniasz, kogo chcesz, osłabiasz, kogo chcesz. Niema Boga prócz ciebie. Jak potężny jest twój byt, jak niezmierna jest twoja władza, jak dobroczynne jest twoje kierownictwo! Zsyłasz dobrodziejstwa tym, którym chcesz z twoich sług. Władca tego miejsca żyje w najwyższej rozkoszy, zachwyca się łagodnymi zapachami, smaczными potrawami i przeróżnymi rozweselającymi napojami. Wydajesz na twe stworzenia wyroki według twej woli: jedni z nich są znużeni, inni wypoczęci, jedni szczęśliwi, inni jak ja w ostatecznym znużeniu i osłabieniu».

Gdy tragarz Sindbad skończył te słowa, chciał wziąć swój tłumok i iść w dalszą drogę, gdy wtem z bramy wyszedł chłopiec młody wiekiem, o pięknej powierzchowności, dobrze zbudowany i pięknie odziany. Wziął tragarza za rękę i rzekł doń:

«Wejdz do domu i pomów z moim panem. Kazał cię zawołać».

Tragarz ociągał się, nie chciało mu się wchodzić z chłopcem. Ale chłopiec przewyciężył jego upór. Tragarz zostawił tłumok u odźwiernego w poczekalni domu i wszedł za chłopcem do wnętrza. Sala, do której wszedł, była piękna, ozdobiona ze smakiem i wytwornością. Na niej tłoczyło się mnóstwo ludzi. Pełno było wytwornych panów i znakomitych ludzi. Wszędzie było dużo kwiatów, które wydawały wszelkiego rodzaju zapachy. Na stołach stały naczynia pełne słodczy i owoców, doskonałych potraw i przeróżnych napojów. Wzdłuż ścian poustawiano różne instrumenta muzyczne.

Na naczelnem miejscu wśród zebranych siedział człowiek wysokiego wzrostu, do którego wszyscy zwracali się z wielkiem poważaniem. Twarz, okolona siwym zarostem, miała piękne rysy, spojrzenie miał łagodne, a cała postać nosiła wyraz powagi, łagodności i siły.

Tragarz Sindbad stał przerażony i osłupiały, myśląc w duszy:

«Na Boga! to miejsce jest chyba rajem albo pałacem króla, lub władcy!»

Następnie przypomniał sobie obowiązek dobrze wychowanego człowieka. Złożył ukłon powitalny, powiedział obecnym życzenia, pocałował ziemię przed zebranymi i wstał, wciąż silnie zmieszany i wzruszony.

Gospodarz kazał mu usiąść, przemówił doń laskawie, mile się uśmiechając. Następnie kazał mu podać różne rodzaje potraw: smacznych, łagodnych i wykwintnych. Tragarz Sindbad przysunął się do stołu, odmówił modlitwę, zaczął jeść, najadł się do syta i zawołał:

«Chwała Bogu za wszystko, co czynił!»

Następnie unył ręce i podziękował obecnym. Wówczas rzekł gospodarz:

«Czuj się jak u siebie w domu, i niech twój dzień będzie błogosławiony. Powiedz mi, jak się nazywasz i jakim zawodem się trudnisz?»

Sindbad odrzekł:

«Nazywam się tragarz Sindbad i za zapłatę noszę ludziom rzeczy na głowie».

Gospodarz uśmiechnął się i rzekł:

«Wiedz, o tragarzu, że moje imię jest takie same jak twoje. Jestem marynarz Sindbad. Pragnieniem zaś mojem, żebyś mi dał posłuchać te same słowa modlitwy, które recytowałeś, siedząc przed moją bramą».

Tragarz zawstydził się.

«Na Boga» — rzekł — «zaklinam cię, nie miej do mnie urazy. Zmęczenie, ciężka praca i bieda były tego przyczyną».

«Nie wstydz się» — rzekł gospodarz — «jesteś mi bratem. Ale powtórz te słowa, które słyszałem. Wprawily mnie w zdumienie».

Tragarz powtórzył. Gospodarz, słysząc je, był znowu wielce zdumiony i wzruszony.

«O tragarzu» — rzekł — «wiedz, że dzieje mojego życia są bardzo dziwne. Opowiem ci wszystko, co mi się zdarzyło i stało, nim doszedłem do tego dobrobytu i osiadłem w tej pańskiej siedzibie, w której mnie widzisz. Do tego bogactwa i tej wspaniałej siedziby doszedłem tylko po ciężkiej pracy, wielkich nieszczęściach i wielu strasznych przeżyciach. Ile z początku musiałem znosić ciężkich trudów i przeciwności losu! Odbylem siedem podróży. A o każdej podróży mam dziwną opowieść, która każdego człowieka wprawilaby w najwyższe zdumienie».

Wiedziecie, o szlachetni panowie, że miałem ojca kupca. Należał do najbogatszych mieszkańców miasta. Miał bogate mienie i wielkie dobra. Gdy byłem jeszcze małym chłopcem, umarł, zostawiając mi wielki majątek, grunta i dobra ziemskie. Gdy dorosłem, zacząłem używać mienia. Jadłem doskonale potrawy, obracałem się w towarzystwie młodzieży, stroiłem się w najpiękniejsze suknie, miałem wiernych przyjaciół i towarzyszywo i byłem przeświadczony, że to wszystko będzie wiecznie trwało.

W tym stanie żyłem przez długi czas, trwając w lekkomyślności. Wkońcu jednak oprzytomniałem, i wrócił mi zdrowy rozsądek. Zrozumiałem, że moje mienie poszło, moje bogactwo znikło, a wszystko, co miałem, ulotniło się.

Ocknąłem się z długiego snu, zdumiony i osłupiały. I rozumiałem słowa, które słyszałem dawniej od mego ojca, mianowicie słowa naszego pana Salomona, syna Dawida, pokój im obojgu, o tem, że trzy rzeczy są lepsze od trzech rzeczy: dzień śmierci lepszy niż dzień urodzenia, żywy pies lepszy niż martwy lew, grób lepszy niż ubóstwo.

Wstałem więc, zebrałem resztki mojego majątku i drogocenne szaty i sprzedałem je. Następnie sprzedałem grunta, które do mnie należały, i wszystko, na co mogłem nałożyć rękę. W ten sposób zebrałem trzy tysiące drachm.

W głowie powstała mi myśl o podróży do krajów różnych narodów...

* * *

Zatęskniła dusza moja do podróżowania i handlu. Postanowiłem ruszyć w drogę. Nakupiłem cennych towarów, nadających się do przewozu statkiem, spakowałem moje rzeczy i pojechałem z miasta Bagdadu do miasta Basory. Tu ujrzałem potężny okręt, którym miało jechać wielu kupców i możliwych ludzi, wiozących cenne ładunki. Złożyłem rzeczy razem z nimi na okręt i przy pomyślnym wietrze wypłynęliśmy z portu.

Tak płynęliśmy z portu do portu, sprzedając i kupując, i rozkoszując się widokiem krajów i ludzi. Szczęście nam sprzyjało, i zebrałiśmy obfite zyski. Aż pewnego dnia, gdy tak płynęliśmy po morzu, nagle kapitan okrętu krzyknął wielkim głosem, zrzucił z głowy zawój, zaczął uderzać rękami w twarz i wyrwać sobie włosy z brody,

i z wielkiego przerażenia i rozpaczy padł jak długi na pokład okrętu. Kupcy i inni podróżni zbrali się dokoła niego i zawołali:

«Co się stało, kapitanie?»

Kapitan odrzekł:

«Wiedźcie wszyscy, że okręt nasz zgubił drogę. Wydostaliśmy się z morza, którem płynęliśmy dotychczas, i wjechaliśmy do innego, którego dróg nie znamy. Jeżeli Bóg nie ześle nam czegoś, co nas wyprowadzi z tej trudności, wszyscy niechybnie zginiemy. Módlcie się do Boga Najwyższego, żeby nas wybawił z tego położenia».

Po tych słowach kapitan podniósł się z pokładu, wdrapał na maszt i chciał zwinąć żagle. Ale wtem zawiął silny wicher i uniósł wgórę tylną część okrętu. W jednej chwili ster został rozbity. W tej chwili kapitan spuścił się z masztu i zawołał:

«Niema zbawienia ani obrony, jeno w Bogu Najwyższym, Wszechmocnym! Nikt nie może cofnąć przeznaczenia. Na Boga! Wpadliśmy w wielkie nieszczęście. Nie pozostaje nam żadnego wyjścia ani ratunku».

Podróżni wybuchnęli wielkim płaczem i stracili wszelką nadzieję ocalenia życia. Okręt został rzucony o wielką skałę. Natychmiast rozpadły się boki statku. Podróżni wpadli do morza. Niektórzy natychmiast utonęli, inni dopłynęli do stóp góry i zaczęli się wdrapywać na jej szczyt.

Do tych należałem również i ja. Gdy byłem na wierchołku, zacząłem rozglądać się dokoła. Była to wyniosła, szeroka skała, wznosząca się jak wyspa na powierzchni morza. Dokoła widać było dużo statków, potrzaskanych przez burze i skałę. Na wyspie, na samym brzegu morza leżało dużo wszelkich rzeczy, które morze wyrzuciło z zatopionych i rozbitych okrętów. Były tam takie bogactwa, aż mi się na widok tylu cennych rzeczy rozbiegły oczy i pomieszał rozum.

Wdrapałem się na najwyższy szczyt skały i zacząłem chodzić po niej. W środku wyspy dostrzegłem źródło słodkiej wody bieżącej, która wypływała z ziemi z jednej strony skały i ginęła po przeciwnej. W tym samym czasie wszyscy inni podróżni, którzy ocalili z rozbitego okrętu, wdrapali się również na szczyt góry i rozeszli na różne strony. Na widok tylu cennych rzeczy, rozrzuconych na brzegu morza, stracili głowy i chodzili jak obłąkani.

W pośrodku źródła zobaczyłem mnóstwo różnobarwnych drogocennych kamieni, hiacyntów, drogich pereł królewskich, rozrzuconych jak ziarenka piasku na brzegu rzeki. Dno źródła połyskiwało całe od tych bogactw. Widziałem również na wyspie mnóstwo najcenniejszego drzewa aloesu.

Tak żyliśmy na tej wyspie, zachwycając się tem, co Bóg Najwyższy na niej stworzył, ale jednocześnie żyjąc w najwyższej trosce i opanowani wielkim strachem. Zbraliśmy na brzegu nieco żywności, ale oszczędzaliśmy ją i jedliśmy raz dziennie, albo raz w ciągu dwu dni jeden posiłek, w obawie, że wyczerpią się zapasy i umrzemy z głodu. Za każdym razem, gdy umierał ktoś z nas, umywaliliśmy jego ciało i chowaliśmy owiniętego w całuny z płótna i materji, które morze wyrzucało na brzeg wyspy. Tak wymarło wielu z nas i została tylko szczupła garstka. Byliśmy osłabieni ciągłym głodem i niedługo trwało, aż wszyscy moi towarzysze poumierali jeden po drugim. A każdego zmarłego grzebaliśmy w ziemi. Aż wkońcu zostałem samotny na tej wyspie, i z wszystkich zapasów zostało mi się niewiele żywności. Zapłakałem nad sobą i zawołałem: «O, bodajbym umarł przed moimi towarzyszami! Przynajmniej umyliby moje ciało i pochowali je. Niema zbawienia, niema obrony, jeno w Bogu Najwyższym, Wszechmocnym!». Następnie spędziłem na wyspie pewien czas, poczem zacząłem kopać sobie na brzegu wielki dół i pomyślałem w duchu: kiedy osłabnę i poznam, że moja śmierć się zbliża, położę się do tego grobu i umrę w nim, a wiatr zasypie moje ciało piaskiem, pokryje je i pochowa pod ziemią. Przez cały czas rozmyślałem ze zgryzotą nad moją lekkomyślnością, nad wyruszeniem w podróż z kraju i miasta po tylu przygodach, doznanych w pierwszej podróży, w drugiej, trzeciej, czwartej i piątej. Nie było ani jednej, w której nie doznałbym cierpień i nie przeżyłbym klęsk bardziej srogich i cięższych niż w wyprawie poprzedniej. A przecież nie potrzebowałem majątku! Byłem bogaty, miałem tak dużo, że nie mogłem wydać na siebie przez całe życie nawet połowy tego.

Po tych rozmyślaniach zacząłem się zastanawiać nad znalezieniem wyjścia z obecnego położenia i pomyślałem sobie: Na Boga, nie ulega żadnej wątpliwości, że rzeka na wyspie musi mieć ujście. Najlepiej będzie, jeżeli zbuduję sobie małą łódkę, w której będę mógł się pomieścić. Wsiądę do niej i popłynę biegiem tej wody. Jeżeli znajdę ratunek, ocaleję i wyjdę z tej rozpaczliwej sytuacji z pomocą Boga Najwyższego, a jeżeli nie znajdę ratunku, lepiej mi zginąć w nurtach rzeki, aniżeli w tem miejscu. Przez pewien czas jeszcze biadałem nad sobą. Potem wstałem pośpiesznie i zacząłem zbierać na wyspie drzewo aloesowe i inne i znosić je na brzeg morza, gdzie wiązałem je powrozami z rozbitych okrętów. Naznosiłem też desek z tych samych okrętów i przymocowałem je do łódki. Łódka była nieco węższa niż szerokość rzeczki i mocno spojona w szwach. Następnie zabrałem z sobą trochę tych drogocennych kamieni, kruszców i pereł, rozrzuconych po wyspie jak piasek, i umieściłem to wszystko w łódce.

Popłynąłem biegiem rzeczki, rozmyślając nad tem, jaki będzie mój koniec. Tak nie przestałem wiosłować, aż dopłynąłem do miejsca, w którym rzeka wchodziła do wielkiej pieczary we wnętrzu góry. Gdy się łódka zagłębiła w tej jaskini, znalazłem się nagle w głębokiej ciemności. A łódka tymczasem wciąż płynęła w pieczarze, której ściany coraz bardziej się zwężały. Aż wkońcu zacząłem żałować tego, co uczyniłem, i pomyślałem sobie: jeżeli przejście będzie wkońcu zbyt ciasne dla łódki, nie będę mógł płynąć dalej ku wyjściu, ani też wrócić. I niewątpliwie zginę z głodu. Pieczara coraz bardziej się zwężała. Już nie mogłem siedzieć wyprostowany, tylko musiałem się wyciągnąć jak długi, twarzą nadół. Tak płynąłem, nie wiedząc ani dnia, ani nocy, pod sklepieniem góry, w czarnej ciemności, pogrążony w głębokim strachu, spodziewając się śmierci w każdej chwili. Łódka nie przestawała posuwać się dalej, unoszona prądem rzeczki, która już to się rozszerzała, już znów zwężała. Najbardziej przygnębiała mnie ciągła ciemność, aż wkońcu spadł na mnie głęboki sen, i zasnąłem, leżąc w łódce twarzą nadół. Tak płynąłem, wciąż pogrążony w głębokim śnie, nie wiedząc, na jakim jestem świecie.

Wreszcie w pewnej chwili przebudziłem się i nagle znalazłem się w świetle dziennem. Otworzyłem szeroko oczy i ujrzałem przed sobą wielką przestrzeń. Łódź była przywiązana do brzegu, a dokoła stał tłum ludzi, Hindusów i Abisyńczyków. Gdy zobaczyli, że się przebudziłem, przybiegli do mnie i zaczęli mówić swym językiem. Nie rozumiałem nic, co mówili. Wciąż zdawało mi się, że to sen, że wszystko to widzę w uśpieniu, w które mnie pogrążyło znużenie i zmartwienie. Gdy tak długo mówili do mnie, a ja nie rozumiałem treści i nie odpowiadałem ani jednym słowem, zbliżył się do mnie jeden z nich i przemówił w języku arabskim:

«Pokój ci, nasz bracie, skąd przybywasz, jaki jest cel twego przybycia do tego miejsca, skąd się dostałeś do tej rzeki, jakie kraje znajdując się za tą górą? Nie słyszeliśmy nigdy, żeby ktoś stamtąd przybył do nas».

Rzekłem doń:

«A kto wy jesteście, i co tu jest za kraj?»

«Bracie mój» — rzekł — «jesteśmy rolnikami. Przyszliśmy tu orać nasze pola i znaleźliśmy cię śpiącego w łódce. Przywiązaliśmy ją do brzegu i czekaliśmy, aż się sam przebudzisz. Powiedz nam więc, jaki powód twego przybycia do tego miejsca».

«Na Boga» — odrzekłem — «panie, daj mi coś do jedzenia, jestem bowiem bardzo głodny, a później będziesz mnie pytał, o co zechcesz».

Człowiek pobiegł i przyniósł mi strawę. Pokrzepiłem się, podziękowałem Bogu za wszystkie jego dary i zacząłem się radować, że wy dostałem się z pieczary i dopłynąłem do tego miejsca. Następnie powiedziałem im wszystko, co mi się wydarzyło, od początku do końca. Ludzie ci pomówili między sobą i rzekli:

«Musimy go zabrać i przedstawić naszemu królowi, żeby mu opowiedział o swoich przygodach».

Sindbad opowiadał dalej:

Ludzie ci wzięli mnie z sobą, a razem ze mną wzięli łódkę i wszystkie klejnoty i kruszce, jakie się w niej znajdowały, zaprowadzili mnie do swego króla i opowiedzieli mu o wydarzeniu. Król przywitał mnie miłościwie i zaczął rozpytywać o moje sprawy i przygody.

Opowiedziałem mu wszystko, co mi się stało, i wszystko, co napotkałem w drodze, od początku do końca. Przy słuchaniu mego opowiadania króla opanowało najwyższe zdumienie. Następnie wstałem, przyniosłem z łodzi wielką ilość kruszców, klejnotów, cennego drzewa i ambry i złożyłem je w darze królowi. Zamieszkałem w tej miejscowości i często przebywałem w towarzystwie króla i jego dostojników.

Pewnego dnia król zaczął mnie rozpytywać o mój kraj, o rządy kalifa w Bagdadzie.

Opowiedziałem mu o sprawiedliwych rządach kalifa. Król wiele się dziwił i rzekł do mnie:

«Zaiste ten kalif posiada wielką mądrość. Wolą moją jest, żebym przygotował dla niego dary i przesłał mu je przez ciebie».

Odrzekłem:

«Jestem posłuszny twoim rozkazom, o Panie nasz. Zawiozę mu je i opowiem, jaki jesteś miłujący ludzi i doskonały».

Tak żyłem u tego króla w najwyższej łasce i doskonałym byciu. Aż pewnego dnia, siedząc u króla, usłyszałem, że kupcy tego miasta gotują się w podróż okrętem do Basory. Poszedłem do króla i powiedziałem, że się stęskniłem do mojego kraju. Król ofiarował mi wieczystą gościnność w swoim pałacu, ale na moje nalegania pozwolił mi odjechać. Zaopatrzył mnie we wszystko, co mi było potrzebne na drogę, i dał mi bogate dary dla kalifa Hārūna ar-Raszīda w mieście Bagdadzie.

Wsiadłem na okręt. Wiatr sprzyjał nam, i nie przestawaliśmy płynąć, pokładając ufność w Bogu Najwyższym, pochwalony niech będzie, od morza do morza, od wyspy do wyspy, aż wkońcu z pomocą Boga Najwyższego dopłynęliśmy szczęśliwie do miasta Basory. Stąd zwróciłem się w dalszą drogę do miasta Bagdadu. Tu udałem się do kalifa Hārūna ar-Raszīda i złożyłem mu owe dary. Następnie poszedłem do domu. Na wieść o mojem przybyciu zebrali się u mnie krewni i przyjaciele. Rozdałem im dary. Następnie rozdałem w mieście hojnie jałmużny.

A po pewnym czasie przysłał po mnie kalif i zapytał mnie o powód tych darów i skąd pochodzą. Odrzekłem:

«O Władco wiernych, na Boga, nie znam owego miasta, ani jego nazwy, ani drogi do niego. Tylko gdy okręt, którym płynąłem, zatonął, dostałem się na wyspę, zbudowałem sobie łódkę i popłynąłem biegiem rzeki, która przecinała wyspę».

Opowiedziałem królowi, co mi się wydarzyło w drodze, jak mi się udało dopłynąć do owego miasta, co mi się w niem zdarzyło i jaki był powód przysłania darów. Król był w najwyższym zdumieniu z powodu moich słów i rozkazał dziejopisom nadwornym, żeby zapisano moją opowieść i przechowano w księżnicy na pożytek każdemu, który ją odczyta.

THALABI

(um. w r. 1036)

Z KSIĘGI OPOWIEŚCI O PROROKACH

Opowiadają znawcy spraw dawnych ludzi, że gdy Salomon, syn Dawida, pokój ich pamięci, skończył budowę świątyni, postanowił odbyć pielgrzymkę do świętych miejsc (Mekki). Zaczął się więc gotować do drogi, a towarzyszyli mu ludzie, duchy, djabły, ptaki i zwierzęta, tak, że orszak jego miał długość stu parasangów. Król dał rozkaz łagodnym wiatrom, które poniosły wszystkich.

A gdy dotarli do miejsc świętych, król Salomon spędził tam tyle czasu, ile było w woli Boga, złożył ofiary, spełnił przepisane obrzędy, zwiastował swemu ludowi przyjście naszego proroka Mahometa, niech go Bóg ma w swej opiece, i opowiedział im, że Mahomet jest Panem i Pieczęcią Proroków, i że wszystko to zostało już stwierdzone w Piśmie Świętym. Następnie postanowił udać się do ziemi Jemeńskiej.

Wyszedł więc z Mekki nad ranem, skierował się w stronę Jemenu i znalazł się

w południe w Sanaa. A była to droga całego miesiąca. Tu ujrzał ziemię piękną, błyszczącą zielonym kobiercem traw. Postanowił więc zejść na nią, pomodlić się i posilić. Zaczęło szukać wody, i nie można było jej znaleźć.

A przewodnikiem królewskim w poszukiwaniu wody był zawsze ptak dudek. Widział on wodę pod ziemią, jak człowiek widzi przez szkło, i poznawał miejsce wody i jej głębokość, poczem przychodziły duchy i wydobywały ją nazewnątrż.

Gdy się Salomon spuścił na ziemię, dudek pomyślał, że król jest zajęty lądowaniem. Uniósł się więc pod niebiosa, potoczył wzrokiem jak świat długi i szeroki, spojrział na lewo i na prawo i ujrzał ogród Bilkisy. Zwrócił się w stronę Jemenu i spadł na ziemię. Wtem zobaczył przed sobą dudka jemeńskiego i pomknął w jego stronę. A było na imię dudkowi Salomona Ja'afur, dudek zaś jemeński nazywał się Ufair.

«Skąd przybywasz i dokąd dążysz?» — zapytał Ufair Ja'afura.

«Przybywam z Syrii» — odrzekł tamten — «z moim panem Salomonem, synem Dawida, niech ich Bóg ma w swej opiece».

«A kto jest Salomon, syn Dawida?»

«Jest to król duchów, ludzi, djabłów, zwierząt i wiatrów. A ty skąd jesteś?»

«Ja jestem z tych okolic».

«A kto jest królem tego kraju?»

«Kobieta».

«A jak się nazywa?»

«Nazywa się Bilkisa» — odparł dudek jemeński. — «A jeżeli twój pan ma potężne królestwo, to królestwo Bilkisy nie jest mniejsze od niego. Jest ona królową całego Jemenu; pod jej władzą znajduje się dwanaście tysięcy naczelników rodów, a każdy naczelnik ma sto tysięcy wojowników. Chcesz polecieć ze mną i przyjrzeć się jej królestwu?»

«Obawiam się, że król Salomon będzie mnie szukał w porze modlitwy, kiedy będzie potrzebna woda do umywania rąk».

«Twój pan» — rzekł dudek jemeński — «ucieszy się, kiedy do niego przylecisz z wiadomościami o tem królestwie».

Dudek poleciał z nim, aż przybyli do Bilkisy. Zaczął oglądać jej królestwo i wrócił do Salomona dopiero na modlitwę przedwieczorną.

Tymczasem Salomon spuścił się był na ziemię, i nastąpiła godzina modlitwy przedwieczornej. Kazał więc przywołać do siebie dudka. A było to dlatego, że się opuścił na miejscowość, w której nie było wody. Zaczął pytać ludzi o wodę. Odpowiedziano mu: «Nie znamy tu żadnej wody». Zaczął zapytywać duchów i djabłów. Odpowiedzieli: «Nie wiemy». Zauważono więc nieobecność dudka. Zaczęto go szukać, ale nie można go było znaleźć. Rozgniewany Salomon zaczął mu się wygrażać.

Jak opowiadają, przyczyną tego, że spostrzeżono nieobecność dudka i zaczęto o niego wypytywać, było, iż był nieobecny w szeregu. Mianowicie za każdym razem, gdy Salomon spuszczał się na ziemię, ptaki zasłaniały jego orszak od słońca. Tego dnia król zauważył, że miejsce dudka było puste. Kazał więc przywołać naczelnika ptaków — a był nim sęp — i zapytał go o dudka.

«Niech Bóg ześle szczęście królowi» — zawołał sęp. — «Nie wiem, gdzie się znajduje, i nigdzie go nie posłałem».

Salomon rozgniewał się srodze i wykrzyknął:

«Zaprawdę, ukarzę go surową karą i potnę go w kawalki, chyba że przyniesie mi jasne usprawiedliwienie i oczywiste wytłumaczenie (Koran, Sura 27, wiersz 21).

Następnie zawołał orła, Pana Ptaków, i zawołał doń:

«Natychmiast sprowadź mi tu dudka!»

Orzeł wzbił się wysoko, aż dosięgnął niebiosa, spojrział na świat, który leżał przed nim, jak misa przed człowiekiem, rzucił okiem na prawo i lewo. Nagle ujrzał dudka, nadlatującego od strony Jemenu. Orzeł spadł na niego, żeby go pochwycić. Zobaczył to dudek i rozumiał, że orzeł ma złe zamiary. Zaczął go więc zaklinać imieniem Bożem:

«Błagam cię imieniem Tego, który ci dał moc i władzę nade mną, ulituj się i nie czyni mi nic złego!»

Orzeł pohamował się.

«Biada ci!» — zawołał. — «Bodajby cię matka straciła! Patrz! Prorok Boży Salomon przysiągł, że cię ukarze i potnie w kawałki».

Oba ptaki poleciały w kierunku Salomona. A gdy się zbliżyły do obozu, wyleciał na ich spotkanie sęp, i wszystkie ptaki zawołały:

«Gdzie się podziewałeś dziś cały dzień? Prorok Boży Salomon zagroził ci wielką karą». I opowiedziały mu wszystko, co mówił król.

«A jakie zastrzeżenie uczynił Prorok Boży?» — zawołał dudek.

«Król rzekł: «Chyba gdy przyniesie mi jasne usprawiedliwienie».

«W takim razie» — zawołał dudek — «jestem ocalony!»

Następnie orzeł i dudek polecili w dalszą drogę, aż przylecieli do Salomona. Król siedział na tronie. Sęp rzekł:

«Sprowadziłem ci go, o Proroku Boży!»

Dudek zaczął się zbliżać do króla, schyliwszy głowę na znak pokory przed Salomonem i spuściwszy ogon i skrzydła, aż, powłócząc po ziemi, zamiatały proch przed stopami króla. Salomon wyciągnął rękę, wziął go za głowę i zawołał:

«Gdzie byłeś? Ukarzę cię surową karą».

Dudek rzekł:

«O Proroku Boży! Pamiętaj, że jesteś w mocy Boga Potężnego, Wspaniałego!»

Gdy usłyszał to Salomon, zadrżał, i gniew nad ptakiem ucichł. Następnie zaczął go rozpytywać:

«Co cię zatrzymało, że byłeś tak długo nieobecny?»

Dudek odrzekł:

«Zwiedziłem kraje, których nigdy nie zwiedzałeś, i przyniosłem ci prawdziwe wiadomości o kraju Saba. Dowiedziałem się, że panuje w tym kraju królowa, obdarzona wszelkimi cnotami, zasiadająca na potężnym tronie. Dowiedziałem się, że ona i jej lud czczą słońce miast Boga. Szatan daje im widzieć swe występki w pięknych barwach i sprowadza ich z prawej drogi, i idą manowcami (Koran, Sura 27, wiersz 22—24).

Gdy dudek opowiedział królowi wiadomość o Bilkisie, zawołał Salomon:

«Przekonamy się, czy powiedziałaś prawdę, czy też należysz do tych, co nieprawdę powiadają».

Następnie dudek zaprowadził ich do wody i wykopali studnię. Gdy wszyscy ugastili pragnienie, Salomon kazał napisać następujące pismo:

«Od sługi Bożego Salomona, syna Dawida, do Bilkisy, królowej Saby: W imię Boga Litościwego, Miłosiernego! (Koran, Sura 27, 27—31). Pokój tym, którzy idą za prawdziwym przewodnictwem. A następnie: nie wynoście się w pysze przeciwko mnie, lecz przyjdźcie do mnie, powierzając się mnie» (Koran, Sura 27, 30—31).

Salomon zapieczętował pismo swoją pieczęcią i rzekł do dudka:

«Weź to pismo i rzuć je im. Następnie odleć od nich, ale trzymaj się w pobliżu i zobacz, jaką dadzą odpowiedź».

Dudek wziął pismo i zaniósł je Bilkisie. Królowa znajdowała się wówczas w miejscowości zwanej Maarib, o trzy dni drogi odległej od miasta Sanaa.

Kiedy dudek przyleciał do zamku, bramy były zamknięte. Królowa miała zwyczaj, kładąc się do snu, zamykać drzwi na noc i chować klucze pod wezgiem. Kiedy dudek przyleciał, królowa spała, leżąc nawznak. Dudek rzucił jej list na pierś.

Jak powiada Wabib ibn Munabbih, w sypialni królowej było małe okienko, do którego padały promienie słońca w chwili, gdy wschodziło. W tej chwili królowa budziła się ze snu, wstawała i składała modły słońcu.

Do tego okienka przyleciał dudek i zasłonił je skrzydłami. Słońce wzeszło, ale królowa o tem nie wiedziała. Zastanowiło ją, że słońce tak się spóźnia, wstała więc, żeby wyjrzeć. W tej chwili dudek rzucił jej pismo w twarz.

Opowiadają, że Bilkisa schwyciła pismo — a umiała czytać i pisać. Gdy ujrzała pieczęć, zadrżała i schyliła głowę. W pieczęci bowiem był majestat Salomonowy. Królowa poznała, że ten, kto posłał to pismo, jest bardziej potężnym królem niż ona, i zawołała: «Król, którego gońcami są ptaki, jest zaprawdę potężnym królem...»

ŚMIERĆ ALEKSANDRA WIELKIEGO

Opowiadają, że Iskander, ten, którego nazywano Dwurogim (Aleksander Macedoński), panował po swym ojcu, a jego mistrzem był mędrzec Arystoteles. A była potęga Aleksandra wielka, jego państwo wielkie, jego rządy silne, były mu zaś pomocne jego mądrość, rozum i wiedza. Posiadał tężyznę, odwagę i dzielność niezwykłą, które go natchnęły myślą napisania do królów wszelkich krajów i ziem z nawoływaniem do posłuszeństwa i hołdowania mu. Królowie greccy, którzy żyli przed nim, składali daninę królowi ziemi babilońskiej, z powodu potęgi tego państwa i jego wielkiej siły a słabości państw ościennych.

Gdy Aleksander napisał do króla Persji, nawołując go do hołdu, wydało się to tamtemu bezczelnem. Więc wyruszył na wyprawę wojenną, aż dotarł do ziemi perskiej. A królem Persów był wówczas Dārā (Darjusz). Aleksander stoczył z nim bitwę, aż go zabił i przywłaszczył sobie jego skarby królewskie, i poślubił jego córkę. Następnie wyruszył, przeszedł po kraju, wymordował ilu było satrapów i naczelników i zdobył kraj.

Stamtąd udał się do ziemi indyjskiej. Król Indyj wyruszył na jego spotkanie. Aleksander pobił go w bitwie, uśmiercił i zamianował królem Indyj jednego z oddanych mu ludzi, z ludności tubylczej, poczem powrócił do ziemi babilońskiej, ujarzmiwszy cały świat. A gdy się znalazł w części Iraku, najbliższej położonej do Mezopotamji, zachorował. Choroba go zmogła.

Gdy już stracił wszelką nadzieję i zrozumiał, że śmierć nań przyszła, napisał list do matki, pocieszając ją z powodu swej zbliżającej się śmierci, a w końcu listu dodał:

«Przyrządź strawę i zaprosz niewiasty, które są pod twemi rozkazami w państwie, ale niech nikt nie tknie jedzenia, komu kiedykolwiek wydarzyło się jakieś nieszczęście».

Matka przyrządziła jedzenie, zgromadziła niewiasty i zapowiedziała, aby nikt nie jadł, komu się kiedykolwiek wydarzyło nieszczęście. I ani jedna z nich nie tknęła potrawy. Wtedy matka zrozumiała, co chciał syn powiedzieć.

A Aleksander umarł w miejscowości, z której pisał do matki. I zebrali się jego towarzysze, spowili go w całuny, zabalsamowali i włożyli do trumny szczerozłotej. Następnie stanął nad nim największy z filozofów, zwrócił się do jednego z obecnych myślicieli i zawołał:

«O grono mędrców, niech każdy z mężów powie słowo, które byłoby pociechą dla szlachetnie urodzonych i nauką dla gminu».

I wstał jeden z uczniów Arastātālis (Arystotelesa), uderzył ręką w trumnę i zawołał: «O Aleksandrze, co cię uczyniło milczącym, o potężny, co cię uczyniło słabym, o myśliwy, jak trafiłeś na miejsce polowania, w sidła tego, który cię złowił»

Następnie wstał inny i zawołał:

«Oto mocny, który dziś tak rychło się stał słaby, i potężny, który się dziś tak rychło stał bezsilnym!»

I wstał inny i rzekł:

«Twoje miecze nie zasychały, czynom twojej zemsty nie dawano wiary, na twoje grody nie napadano, twoje dary się nie wyczerpywały, twój blask się nie przyćmiewał, i nagle twój blask zgasł, a twoja zemsta przestała budzić obawę, nagle twoje dary przestały budzić nadzieje, twój miecz już nie jest dobywany z pochwy, twoje grody nie są bronione!»

I wstał inny i rzekł:

«Twój głos budził strach, a twoje królowanie było przemożne. Jak rychło twój głos się urwał, a twoje panowanie omdlało!»

I wstał inny i zawołał:

«Poruszył nas Aleksander swym spokojem i rozwiązał nam języki swem milczeniem!»

Tak oni mówili. Poczem trumna została zamknięta i wywieziona do Aleksandrii.

OPOWIEŚĆ O KRÓLU HADHĀD

Opowiadają, że pewien król, zwany Hadhād, wyszedł na polowanie w orszaku swych sług i dworzan i ujrzał gazelę, prześladowaną przez wilka. Już wilk ją tak

przyparł, że nie było dla niej ratunku. Więc król uderzył na wilka, odpędził go od gazeli, ocalił ją od jego pazurów i poszedł jej śladami, aż się oddzielili odeń jego towarzysze.

Gdy tak szedł, ukazało mu się potężne miasto, pełne wszelakiego dobytku, trzody owczej i stad wielbłądziej, drzew palmowych i zbóż oraz wszelkich rodzajów owoców. I stanął król przed niem, dziwiąc się temu, co się jego oczom ukazało, gdy nagle zbliżył się doń mąż z mieszkańców tego miasta, pozdrowił go i powitał, następnie rzekł doń:

«O królu, oto widzę cię zdziwionym tem, co ci się dnia dzisiejszego ukazało».

Rzecz doń Hadhād:

«Rzeczywiście, dziwię się, jakeś rzekł. A co to jest za miasto i kto są jego mieszkańcy?»

Rzecz ów:

«Jest to miasto Ma'rib, jego mieszkańcy należą do jednego z plemion duchów, ja zaś jestem ich królem i władcą».

Gdy tak byli zajęci rozmową, przeszła obok nich niewiasta, nad którą nikt z widzących nie widział piękniejszej licem, ani bardziej doskonalej budową, ani bardziej przeczystej urokiem, ani bardziej czarującej zapachem. Hadhād uległ jej urokowi, i zrozumiał król duchów, że tamten ją pokochał i pożąda. Więc rzecze doń:

«Jeżeli jej pragniesz, to wiedz o tem, że jest to moja córka i mogę ci ją dać za żonę».

Hadhād powiedział mu: «Bóg zapłać», poczem demon spytał go:

«Czy ją znasz?»

Odpowiada Hadhād:

«Nie widziałem jej aż do dnia obecnego».

Rzecz demon:

«Ona jest gazelą, którą ocalił od wilka, i nigdy nie potrafimy ci się odwdzięczyć za twój piękny czyn, chyba gdybyśmy cię nią obdarzyli. Więc gotuj się do jej poślubienia, gdyż oddaję ci ją wobec Boga i wobec jego zastępów anielskich. Zatem jeżeli się na to zgadzasz, przybądź do nas w orszaku twoich domowników i książąt twego ludu, aby byli świadkami jej zaślubin i byli obecni na jej uczcie weselnej. Pora oznaczona — w najbliższym miesiącu».

Na tem rozmowa została zakończona, miasto znikło mu z oczu, i nagle stanął przed nim jego orszak, otaczając go dokoła i zapytując:

«Gdzie byłeś? Jesteśmy w poszukiwaniach od chwili, gdyś od nas odszedł, i nie przepuściliśmy ani jednego zakątka tej puszczy, którego byśmy nie przeszukali».

Opowiadają, że Hadhād stawił się na umówione spotkanie i ujrzał zamek, który mu zbudowały duchy w pustyni, otoczony drzewami palmowymi i winnicami, oraz polami pełnymi rozlicznego zboża i sadami różnego gatunku owoców, przez które przepływały bystre rzeki. Wielce się dziwili ludzie temu wszystkiemu, widząc tak wielkie bogactwa.

Następnie wkroczyli do zamku po dywanach, jakich nigdy nie widzieli, poczem postawiono przed nimi stoły, pełne jada różnego rodzaju, od których nigdy nie byli zakosztowali nic lepszego smakiem i bardziej przyjemnego zapachem. Pito napoje, od których nigdy dotychczas nie pili nic bardziej słodkiego i łagodnego.

Tak spędzili tam trzy dni i trzy noce, poczem oblubienica, córka króla duchów, została odprowadzona do swego małżonka, a Hadhād pozwoił swym dworzanom i współplemieńcom powrócić do swych siedzib, i zamek ów stał się jego stolicą.

O HOJNOŚCI KRÓLEWSKIEJ

Opowiadają, że król Chozru, syn Parwiza, lubił ryby. Pewnego dnia siedział na tarasie w towarzystwie Sziriny. Wtem ukazał się rybak z wielką rybą i złożył ją w darze królowi. Król rozkazał mu wydać cztery tysiące drachm. Szirin rzekła:

«Żle zrobieś».

«Dlaczego?» — spytał król.

«Dlatego, że byłoby lepiej, gdybyś dał taką sumę komuś z twych dworzan». «Tak uczyniłbym, gdyby mi złożył taki dar, jak ten rybak. Zresztą — dodał — masz słuszość. Ale nie przystoi królowi cofać swe dary. Sprawa już przepadła».

«Ja ci tę sprawę załatwię» — rzekła Szirin.

«Jakim sposobem?»

«Zawołaj rybaka» — rzekła — «i spytaj go: czy ta ryba jest samcem czy samicą? Jeżeli powie «samiec», to powiedz «chciałem samicy». A jeżeli powie «samica», to powiesz «chciałem samca».

Zawołano rybaka, i wrócił. A był to człowiek sprytny i doświadczony. Król spytał go: «Czy ta ryba jest samcem czy samicą?»

Rybak ucałował przed nim ziemię i rzekł:

«Ta ryba jest hermafrodytą, ani samiec, ani samica».

Chozru roześmiał się z jego odpowiedzi i kazał mu znów wydać cztery tysiące drachm. Rybak poszedł do skarbnika, odebrał cztery tysiące drachm, schował je do torby, którą miał z sobą, i przewiesił ją przez plecy.

Kiedy w pośpiechu wychodził, wypadła mu z worka jedna drachma. Rybak złożył worek na ziemię, schylił się po monetę i podniósł ją.

Król i Szirin przyglądali się temu.

«Czy widziałeś — rzekła Szirin do króla — skąpstwo tego człowieka? Spadła mu jedna drachma na ziemię, więc zostawił tamte ośm tysięcy drachm i schylił się po tę jedną. Nie zdobył się na to, by ją zostawić, żeby ktoś ze służby królewskiej mógł ją podnieść».

Rozgniewało to króla i zawołał:

«Masz słuszość, Szirin».

Następnie kazał zawrócić rybaka i rzekł doń:

«O ty, zbłąkany w troskach doczesnych, nie jesteś człowiekiem! Zdjąłeś z pleców worek z takim majątkiem dla jednej jedynej drachmy i nie mogłeś się zdobyć na to, aby ją zostawić na ziemi».

Rybak ucałował ziemię pod stopami królewskimi i rzekł:

«Niech ci Bóg da długi żywot, królu. Podniosłem tę drachmę nie dlatego, że ma wartość w moich oczach. Podniosłem ją dlatego, że na jednej stronie ma wizerunek króla, a na drugiej imię królewskie. Obawiałem się, że przyjdzie ktoś i nieświadomie postawi na niej stopę. W ten sposób imię królewskie będzie lekceważone, a ja będę winowajcą tego grzechu».

Chozru był zdumiony tą odpowiedzią. Spodobały mu się te słowa, i kazał wydać rybakowi jeszcze cztery tysiące drachm.

Rybak opuścił pałac królewski z dwunastu tysiącami drachm w worku. A Chozru kazał heroldowi ogłosić w całym państwie:

«Niech się nikt nie kieruje radami kobiet. Kto słucha rady kobiecej i postępuje według ich słów, traci swoje pieniądze».

AL-MUCHAQQIQ

Z DZIEŁA P. T. «OZDOBA TARGÓW MIŁOSTKAMI KOCHANKÓW»

Śpiewaczka z Bagdadu

Opowiadają, że był w Bagdadzie człowiek, posiadacz bogactw. Kochał on niewolnicę, posiadającą najwyższą piękność i umiejętność śpiewu i gry. Tak długo wydawał na nią wszystko, co posiadał, aż zbiedniał i znalazł się w położeniu bez wyjścia. Poszedł więc do jednego ze swych przyjaciół po radę, co ma uczynić. Przyjaciel poradził mu, żeby jej pozwolił śpiewać po domach ludzi.

Człowieka ta rada zmartwiła.

«Śmierć miłsza mi» — rzekł do niej — «niż to».

«Moje zdanie jest» — odrzekła — «żebyś mnie sprzedał. Cena, którą weźmiesz

za mnie, przywróci ci twoje dawne bogactwo, a ja również będę opływała we wszelką rozkosz. Nikt prócz bogacza nie kupi takiej jak ja».

Człowiek ów zaprowadził ją na rynek. Tu kupił ją pewien Haszimita z Basory za 1.500 denarów. Gdy ów człowiek przyjął pieniądze i uprawomocnił sprzedaż, oboje zostali pogrążeni w najgłębszą rozpacz i zaczęli płakać i zawodzić. Próbował nawet unieważnić sprzedaż, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Opowiada dalej:

«Wyszedłem więc, nie wiedząc, dokąd pójść. Nie mogłem wrócić do mojego domu, w którym już jej nie było. Wszedłem więc do świątyni, położyłem sakiewkę pod głowę i po długim płaczu zasnąłem. Przebudziłem się dopiero wówczas, gdy poczułem, że mi wyciągają sakiewkę z pod głowy. Zerwałem się z miejsca, żeby pobiec za złodziejem. Wtem patrzę — nogę mam przywiązaną powrozem do słupka. Nim ją odwiązałem, człowiek znikł. Mocno zmartwiony, wyszedłem z świątyni, zastoniłem twarz, poszedłem do Tygrysu i skoczyłem do wody, żeby się utopić i umrzeć. Ludzie obecni na brzegu wyciągnęli mnie z wody, sądząc, że wpadłem przez nieuwagę. Opowiedziałem im moje przygody. Jedni zaczęli mnie ganić, inni kiwali głową z politowaniem. Jeden z nich, starszy człowiek, wziął mnie na stronę i zaczął mi radzić.

«Nie jesteś» — rzekł — «pierwszym człowiekiem, który był bogaty i zbiedniał. Niedosć, żeś stracił mienie, chcesz jeszcze stracić żywot, umrzeć w grzechu jako samobójca i pójść do piekła?»

Na te słowa moje wzruszenie nieco się uspokoiło.

Potem znów mnie opadło zmartwienie, i zacząłem wylewać skargi przed pewnym przyjacielem. Ten poradził mi, żebym opuścił Bagdad: dzięki pięknemu piśmu może znajdę u któregoś z dygnitarzy posadę pisarza. Dał mi pięćdziesiąt drachm. Postanowiłem udać się do miasta Wasyt, w którym miałem przyjaciela pisarza. Poszedłem do portu i zobaczyłem statek gotowy do odjazdu. Zacząłem prosić, żeby mnie zabrali z sobą.

«Możemy cię zabrać za dwie drachmy» — rzekli — «ale statek należy do pewnego Haszimity, który nie chce zabierać z sobą nikogo obcego. Przebierz się w nasze ubranie, jakgdybyś był jednym z marynarzy».

Przyszło mi na myśl, że statek należy do tego samego człowieka, który kupił moją niewolnicę. Pomyślałem sobie: nacieszę się przynajmniej jej głosem aż do Wasytu, jeżeli to jest ten sam człowiek. Kupiłem kaftan, przebrałem się za marynarza i zmieszalem z załogą statku. Niedługo potrwalo, i zjawiała się moja niewolnica w towarzystwie swego pana. Rozbito dla niej namiot i oboje weszli. Gdy nastąpił wieczór, zjedli i wypili, i Haszimita rzekł do niewolnicy:

«Jak długo będziesz się smuciła i odmawiała śpiewu? Czy jesteś pierwszą niewolnicą, która się rozstała ze swym panem?»

Zaczęto na nią nalegać. Niewolnica wzięła lirę i zaczęła śpiewać...

'USJŪTĪ

Z UTWORU P. T. «AL MARDŹ AN-NADHIR»

Opowiada mistrz, kapłan, mąż uczony, Szihab ad-Din abū-Szama, niech go Bóg Najwyższy ma w swojej opiece: Stało się dnia szesnastego miesiąca Rabi I, roku sześćset czterdziestego piątego: Został ukrzyżowany niewolnik turecki, dojrzały młodzieniec, należący do jednego z naczelników Sałichitów Nadżmitów.

Powiadają, że z jakiegoś powodu zabił swego pana. Ukrzyżowano go na brzegu rzeki Baradā, u podnóża twierdzy, w strzeżonym przez Boga mieście Bagdadzie. Ukrzyżowano go twarzą zwróconą na wschód. Przybito mu dłonie, ramiona i stopy. Tak wisiał na krzyżu od południa w piątek aż do południa dnia niedzielnego, poczem dopiero wyzionął ducha.

Znany był z swojej dzielności, mądrości i bogobożności. Razem z swym panem brał udział w wyprawie na Askalon i zabił wielu Franków. W młodych latach własną ręką zabił lwa. Gdy go przybijano do krzyża, okazał niezwykłą dzielność ducha. Na

krzyż szedł dobrowolnie, nie czekając, aż go gwałtem popędzą. Gdy go umieszczono na krzyżu, podał dłonie, które przebito gwoździami; następnie przybito mu stopy. Przez cały czas patrzył spokojnie, nie wydając jęku, nie zmieniając rysów twarzy, nie poruszając ani jednym członkiem ciała. Opowiadał mi ktoś, który był naocznym świadkiem: po ukrzyżowaniu zachowywał się przez cały czas cierpliwie, nie wydając ani jednego dźwięku. W pewnej chwili zaczął prosić, aby mu dano napić się wody, ale mu odmówiono. Ludziom, patrzącym na to, ścisnęło się serce z bólu i litości nad stworzeniem Boga Najwyższego, młodzieńcem w kwiecie wieku, dotkniętym taką straszłą męką. Tuż pod nogami ukrzyżowanego płynęła rzeka, a on w straszliwej męce patrzył na nią i napróżno ląknął jednej kropli wody. Ale chwała niech będzie Temu, w którego rękę jest wszelka potęga i sąd. Przed śmiercią miał widzenia i blogie sny, ale już nie widział światła dziennego. Pierwszego dnia jeszcze skarżył się na pragnienie. Później uspokoił się, a Bóg najwyższy dodał mu sił do spokojnego znoszenia mąk.

O WDZIĘCZNOŚCI

Co dotyczy wdzięczności, ciekawe jest to, co opowiadają o Chasanie ibn Sahl. Opowiada on:

«Pewnego dnia byłem u Barmakidy Jachji ibn Chālid, który wówczas zasiadał dla rozstrzygnięcia jakiejś sprawy Raszīda. Gdyśmy tak siedzieli, wszedł tłum ludzi z różnemi sprawami, które Jachjā im załatwił. Ludzie oddalili się. W pokoju został tylko jeden z nich, Achmed ibn Abū-Chālid. Jachjā spojrzął w jego stronę i zwrócił się do swego syna al-Fadla ze słowami:

«Synku, twój ojciec miał kiedyś pewną sprawę z ojcem tego młodzieńca. Kiedy skończę moje zajęcia, przypomnij mi, a opowiem ci».

Kiedy Jachjā skończył zajęcia i posilił się, rzekł doń jego syn al-Fadl:

«Niech ci Bóg doda sił, mój ojczu! Mówiłeś mi, abym ci przypomniał sprawę Abu-Chālida».

«Tak, mój synku — rzekł Jachjā. — Za czasów Mahdīego przyszedłem z Iraku, byłem biedny i nie posiadałem nic. Było mi bardzo ciężko, aż ktoś z moich domowników powiedział do mnie:

«Oto ukrywamy nasz stan przed ludźmi. Ale coraz jest nam gorzej. Od trzech dni niema w domu nic do jedzenia».

Opowiadał dalej Jachjā:

«Płakałem, mój synku, nad tem rzewnemi łzami. Przez długi czas siedziałem w wielkiem strapieniu, pogrążony w głębokich rozmyślaniach, osłupiały i nieprzytomny. Wreszcie przypomniałem sobie chustę, która leżała w naszym domu, i spytałem: «Co się stało z chustą?» Odpowiedziano mi: «Chusta jeszcze jest u nas». «Dajcie mi ją» — rzekłem. Wziąłem ją, dałem jednemu z moich przyjaciół i rzekłem doń: «Sprzedaj ją za tyle, ile dostaniesz». Przyjaciel sprzedał ją za siedemnaście drachm. Wręczyłem je mojej rodzinie i rzekłem: «Wydajcie je, aż Bóg nam ześle inne». Nazajutrz wczesnym rankiem poszedłem do Abū-Chālida, który był wezyrem Mahdīego. Przed bramą pałacu stało dużo ludzi, oczekując jego wyjścia. Wkońcu wezyr ukazał się konno. Gdy mnie zobaczył, przywitał mnie i rzekł: «Jak ci się powodzi?» — Odrzekłem: «O, Abū-Chālidzie, jak się może powodzić człowiekowi, który ze swego mieszkania sprzedał chustę za siedemnaście drachm?» Abū-Chālid rzucił na mnie ostre spojrzenie i nie odrzekł ani słowa. Wróciłem do domu ze złamanem sercem i opowiedziałem rodzinie, co mi się zdarzyło z Abū-Chālidem. Domownicy powiedzieli do mnie: «Źle uczyniłeś, na Boga! Zwróciłeś się do człowieka, który cię brał do wielkich spraw, odstoniłeś przed nim swoje skryte sprawy, obudziłeś w nim lekceważenie dla ciebie i poniżyłeś przed nim twoją godność. A przecież byłeś przez niego dotychczas tak szanowany. Po dzisiejszym dniu będzie zawsze patrzył na ciebie z pogardą». «Sprawa przepadła» — rzekłem — «teraz cofnąć jej nie można». Nazajutrz rano stałem już przed bramą kalifa. Gdy stanąłem przed bramą, wyszedł do mnie jakiś człowiek i rzekł:

«Wspominano cię dopiero przed władcą wiernych». Nie zwróciłem uwagi na jego słowa. Znów się do mnie zbliżył ktoś i powiedział te same słowa, co pierwszy.

Następnie zbliżył się do mnie dworzanin Abū-Chālida i rzekł: «Gdzie jesteś? Kazał mi Abū-Chālīd, żebym cię zatrzymał tu, aż wyjdzie od władcy wiernych». Usiadłem i czekałem, aż wyszedł. Gdy mnie zobaczył, kazał mi podać konia. Wsiadłem i pojechałem z nim do jego domu. Przed domem zsiadł z konia i zawołał: «Natychniast do mnie takich i takich handlarzy pszenicy!» Sprowadzono ich. Wezyr rzekł do nich: «Czy nie kupiliście ode mnie zboża za ośmnaście milionów drachm?» «Tak» — rzekli. «Czy nie zastrzegłem sobie z wami» — mówił dalej wezyr — «że musicie kogoś przyjąć do spółki?» «Tak» — rzekli. Wezyr rzekł: «To jest ten człowiek, którego zastrzegłem sobie spółkę z wami». Następnie rzekł do mnie: «Idź z nimi». Gdyśmy wyszli, rzekli do mnie ci ludzie: «Chodź z nami do jakiegoś meczetu. Pomówimy o sprawie, z której będziesz miał dużo zysku». Weszliśmy do meczetu, poczem obadwaj rzekli do mnie: «W tej sprawie będziesz potrzebował pełnomocników, nadzorców, mierniczych i pomocników. Sam sobie w niczem nie dasz rady. Czyż więc nielepiej ci sprzedać nam twój udział w spółce za gotówkę, którą ci natychmiast wypłacimy? Będziesz miał z tego pożytek i spadną ci z głowy kłopoty i troski». Powiedziałem im więc: «A ile mi za to dacie?» «Sto tysięcy drachm» — rzekli. — «Nie zrobię tego» — odpowiedziałem. I tak długo dodawali mi, a ja się nie zgadzałem, aż wkońcu rzekli do mnie: «Trzysta tysięcy. Więcej ci nie damy». «Muszę wprzód poradzić się Abū-Chālida» — odrzekłem. «Zgadzą się na to» — rzekli. Poszedłem do Abū-Chālida i opowiedziałem mu. Abū-Chālīd kazał zawołać obu i rzekł do nich: «Zgadzą się na to, co on mówił?» «Tak» — rzekli. Abū-Chālīd rzekł: «Idźcie natychmiast i wypłaćcie mu pieniądze». Następnie odezwał się do mnie: «Doprowadź twoje sprawy do porządku i przygotuj się, już wyznaczyłem ci urząd». Doprowadziłem moje sprawy do porządku i Abū-Chālīd wyznaczył mi urząd, który mi obiecał. Od tego czasu nie przestało mi się powodzić dobrze, aż moje sprawy doszły do takiego stanu, do którego, jak widzisz, doszły».

Następnie rzekł do swego syna al-Fadla:

«Synku mój, a co powiesz o synu tego, który tak postąpił z twoim ojcem, i jaka jego nagroda?»

Chłopak zawołał: «Przysięgam na moje życie, należy mu się od ciebie sprawiedliwość».

Ojciec rzekł:

«Na Boga, mój chłopcze, nie znajduję innego sposobu odwzięczenia się, jak tylko opuścić urząd i zamianować jego».

Tak też uczynił.

DAMĪRĪ

Z DZIEŁA P. T. «CHAJĀT AL-CHAJAWĀN»

O kocie, który żywił innego kota

Opowiada ibn Challikān w żywocie gramatyka imama abu-l-Chasana ibn Babaszād, że pewnego dnia siedział na tarasie meczetu w Kairze i jadł w towarzystwie jednego ze swoich przyjaciół. Wtem przybiegł do nich kot. Rzucono mu kasek. Kot złapał go i znikł. Po chwili wrócił. Znow rzucono mu kasek. Kot złapał go i znow znikł. Następnie wrócił znow. Rzucono mu coś. Kot złapał i znikł. Po chwili znow wrócił. Tak robił wiele razy. Za każdym razem rzucano mu kasek, a on chwycił, zniknął i po chwili znow wracał. Postępowanie kota zdziwiło ich bardzo. Poszli za nim i zobaczyli, że kot brał jedzenie i biegł z niem do jakiegoś pustego miejsca, gdzie na tarasie domu siedział ślepy kot, przed którym kładł przynoszone jedzenie.

Dziwiło to ich bardzo, a ibn Babaszād zawołał:

«Jeżeli temu niememu zwierzęciu Bóg zesał tego kota, z którego łaski żyje, i Bóg nie odmówił mu powszedniego chleba, jakże Bóg może opuścić takie stworzenie jak ja?»

Po tych słowach opuścił wszystkie sprawy doczesne, porzucił służbę u sułtana, zamknął się w domu i wyrzekł wszelkich trosk, pokładając ufność w Bogu najwyższym aż do swej śmierci.

AL-KALJŪBI

Z UTWORU P. T. «NAWADIR»

O prośbie dwóch ślepych

Opowiadają, że dwaj ślepy siedzieli na drodze Umm Dżaafar, słynnej z dobroczynności. Jeden z nich miał liczną rodzinę i wciąż powtarzał: «Boże, ześlij mi chleb powszedni z twojej wielkiej łaski!» Drugi był człowiekiem samotnym, bez rodziny, i wciąż mówił: «Boże, ześlij mi chleb powszedni z łaski Umm Dżaafar». Ta posyłała zwykle dwie drachmy temu, który prosił o łaskę Bożą, a temu, który prosił o jej łaskę, posyłała dwa bochenki chleba i kurę pieczoną, która miała w żołądku dziesięć denarów, o czym mu nie mówiła. Żebraka martwiło to, że tak mało dostaje, więc mówił do drugiego: «Bierz te dwa bochenki i kurę, a daj mi dwie drachmy». Drugi tak czynił. I przeszedł miesiąc.

Pewnego dnia Umm Dżaafar posłała z zapytaniem:

«Zapytajcie tego, co prosił o naszą łaskę: Czy wzbogacił cię nasz dar?»

Żebrek odpowiedział posłanym: «Zapytajcie ją: Co takiego mu dałaś?» Kobieta rzekła: «Trzysta denarów». Żebrek rzekł: «Ależ nie, na miłość Boską! Codziennie posyłała mi kurę i dwa bochenki, i sprzedawałem je mojemu towarzyszowi za dwie drachmy». Umm Dżaafar rzekła: «Ten człowiek ma słusność. Jeden prosił o łaskę Bożą i Bóg mu zesłał bogactwo, skąd się go nie spodziewał, gdzie bogactwa nie szukał. A drugi prosił o naszą łaskę i Bóg mu też okazał miłosierdzie».

Opowiadanie o mniszem zielu

Opowiada Chasan ibn Muchammed w dziele «Literackie rumaki na chwałę konopi»:

Spytałem szejcha Dżaafara, syna Muchammeda Szirazyjskiego z zakonu Chajdarytów w miejscowości Tostar, w roku 658, o okolicznościach odkrycia tego ziele, o jego rozpowszechnieniu wśród mnichów, a następnie o jego rozpowszechnieniu wogóle. Na to odpowiedział mi, co następuje:

«Naczelnik wszystkich szejchów Chajdar był mężem wielkiej pobożności, gorącej żarliwości w wierze i wielkiego umiarkowania w jedzeniu. Ojczyzną jego był Niszapur, jedno z miast Chorasanu, ale przebywał stale na pewnej górze między Niszapurem a miejscowością Ramah. Na tej górze założył klasztor, w którym żyła pewna liczba mnichów. On sam przebywał w odosobnieniu, w głębi klasztoru, i żył tam dziesięć lat, nie wychodząc z celi i nie widząc nikogo prócz mnie, zawsze gotowego do jego usług».

Dżaafar opowiada dalej: «Pewnego dnia starzec poszedł w pole — upał był silny około południa — następnie wrócił z twarzą rozradowaną i ucieszoną, rozpromienioną, zupełnie inną niż zwykle. Pozwolił wejść swym zwolennikom i zaczął z nimi rozmowę. Widząc szejcha w tym miłym nastroju po tylu latach osamotnienia i milczenia, spytaliśmy go o powód tej przemiany. Szejjch odpowiedział:

«Gdy siedziałem samotny, przyszło mi na myśl przejść się po polu. W drodze przyglądałem się roślinom. Nie było żadnego wiatru, upał był silny. Wszystkie rośliny stały cicho, nie poruszając się wcale. Ale przechodząc koło jednej, pokrytej liśćmi, zauważyłem, że się w tem spokojnem powietrzu mile dla oka chwiała i łagodnie się poruszała, jak się ślania na nogach człowiek pijany. Zacząłem zrywać liście i żuć je. Nagle spłynął na mnie spokój, którego jesteście świadkami. Wstańmy więc, a zaprowadzę was do niej i poznacie jej kształt».

Dżaafar opowiada dalej: «Wyszliśmy w pole i szejjch zaprowadził nas do rośliny. Gdyśmy ją ujrzeli, powiedzieliśmy mu: «Ta roślina nazywa się konopie». Szejjch kazał nam zerwać trochę liści i zjeść. Uczyniliśmy to i wróciliśmy do klasztoru. Tu nagle znaleźliśmy w naszym sercu radość i błogość, jakiej nie potrafilibyśmy opisać. Gdy szejjch zobaczył nas w nastroju, którego sam doświadczał, nakazał nam zachować ta-

jemnicę tej rośliny i wziął od nas przysięgę, że nie rozpowszechnimy wieści o niej w szerszych kołach ludności. Nie kazał nam jednak ukrywać tej nowiny przed mnichami. Szejjch rzekł do nas:

«Zaprawdę Bóg Najwyższy obdarzył was tajemnicą tego zieleń, żeby odegnać od was gnębiące troski i jego działaniem uczynić wasze myśli bardziej jasnymi. Zachowajcie więc starannie to, co wam powierzył, i utrzymajcie w tajemnicy, co pod waszą pieczę oddał».

Szejjch Dżaafer opowiadał dalej:

«Zasiałem roślinę w klasztorze szejjcha Chajdara. Przez całe jego życie przestrzegaliśmy tajemnicy. Szejjch nakazał nam po jego śmierci zasiać roślinę dokoła jego grobu. Szejjch żył potem dziesięć lat. Byłem zawsze na jego służbie i nie widziałem, żeby choć na jeden dzień przerwał kiedykolwiek zażywanie tej rośliny. Zalecał nam również jeść mało, natomiast częściej zażywać tego zieleń. Zasnął w Bogu Szejjch Chajdar w roku 618, w swym klasztorze na górze. Nad jego grobem wzniesiono wielką kopułę. Ludność Chorasanu znosiła mu liczne dary wotywnie. Ceniono bardzo jego cudotwórstwo, pielgrzymowano do jego grobu, a towarzyszków jego uważano za świętych. Na łożu śmierci nakazał swym towarzyszom zapoznać szlachetnych i znamienitych ludzi Chorasanu z rośliną i jej tajemnicą».

Opowiada dalej szejjch Dżaafer:

«Od tego czasu roślina coraz bardziej rozpowszechniała się na ziemiach Chorasanu i innych prowincyj Persji».

ABDALQĀDIR AL-DĪZĪRĪ

(około r. 1558)

Z DZIEŁA P. T. «UMDAT AS-SAFRA FI CHILL AL-KAHWA», CZYLI «JASNE DOWODY USPRAWIEDLIWIENIA KAWY».

O treści podania, jakie zostało spisane w czcigodnym mieście Mecce w sprawie kawy, oraz o reskrypcie sultana, który nastąpił w odpowiedzi na zapytanie, w związku z pobudkami, jakie w niem zostały wyluszczone, wreszcie streszczenie opinii uczonych za użyciem kawy i przeciw niej, oraz zdania rzeczoznawców i t. d.

Oto, jakie było brzmienie owego podania: Wydarzył się następujący wypadek, dotyczący religji: Nasz Pan czcigodny, Abū-n-nasr Qānsuh al Ghauri, gdy go Allach Najwyższy uczynił sługą obu świętych miast, mianował Jego Ekscełencję Chajrbeka al-Mi'mara na wysoki urząd mochtetisiba (nadzorca targu) świętego miasta Mekki oraz paszą niewolników sultana w tem mieście. Oto, co mu się wydarzyło w nocy poprzedzającej dzień piątkowy, dwudziesty trzeci miesiąca Rabi' I, roku dziewięćset siedemnastego (ery Proroka). Odprawiwszy ostatnie modły wieczorne w świętym meczecie razem z zebranymi wiernymi, według zwyczaju, okrążył ze zwykłą sobie pobożnością świętą Kaabę, pocałował na początku i wkońcu tego obrzędu Czarny Kamień, następnie zatrzymał się przy multezemie (najświętszej części Kaaby) w rozmyślnościach i pogrążył w modłach, jak długo mu się podobało, odprawił przy stacji Abrahamowej modły, obowiązkowe przy Pokłonach, towarzyszących okrążeniu, odmawiając tyle modlitw, ile zapragnął, napił się ze Źródła Zemzem i znów się pomodlił dowoli, poczem wyszedł z miejsca Okrążeń i skierował się ku swemu domowi.

W drodze spostrzegł ludzi, którzy się zebrali w jednym z podwórzcy świętego przybytku. A zebrał ich tam Sajt-ad-dim Qorqamās an-Nāsiri, jakoby zamierzając święcić dzień narodzenia Proroka, niech Go Bóg ma w swej opiece. Więć się zbliżył do nich. Ale zanim doszedł, ludzie ci zagasili zapalone pochodnie. Obudziło to w nim pewne podejrzenie. Więć posłał do nich, polecił zbadać sprawę i przekonał się, że mieli między sobą coś, czem się raczyli, jak się ludzie raczą winem. A mieli z sobą puhar, który sobie podawali z rąk do rąk, zaś wyżej wymieniony Qorqamās właśnie czerpał napój i nalewał do szklenicy.

Kiedy się o tem Emir dowiedział, zganiał to bardzo, tem bardziej, że pełnił obo-

wiązki mochtesiba, którego funkcja właśnie polega na nakazywaniu rzeczy godnych i zakazywaniu rzeczy zdroźnych.

Następnie jął rozpytywać o wspomniany napój. Powiedziano mu, że napój ten w tych czasach zaczął się rozpowszechnić, że nazywany jest kawą, że jest to odwar lupiny pewnego ziarna, które sprowadzają z krainy Jemenu, a nazywają bunn, że używanie pomienionego napoju wielce się rozpowszechniło w Mecce, sprzedawany zaś bywa w zakładach, podobnych do winiarni. Zbierają się dla spożywania tego napoju rozmaici ludzie, zarówno mężczyźni, jak kobiety, z bębnami, skrzypcami i innymi rozweselającymi instrumentami. W miejscach, gdzie napój bywa sprzedawany, zbierają się też ludzie, grywający w szachy, grę, zwaną mankala, i inne gry pieniężne, oraz dzieją się tam jeszcze inne zabawy, zakazane przez naszą świętą wiarę, oby ją Allah uchronił od skażenia aż do dnia Sądu Ostatecznego.

Gdy to usłyszał Emir, zganil to wielce i przypomniał sobie słowa Allacha Najwyższego (Koran, Sura 16, wiersz 90):

«Zaprawdę, Allah poleca czyny sprawiedliwości, dobre uczynki i miłosierdzie dla bliźniego, i wzbrania występku, grzechu i krzywdzenia bliźniego; to wam Allah doradza, może zważycie». Przypomniał też sobie te słowa proroka, niech go Allah w swej opiece: «Jeżeli ktoś z was zobaczy kogoś zamierzającego zgrzeszyć, niech go powstrzyma przemocą, jeżeli zaś nie będzie w silach, to namową, a jeżeli nie będzie w możności, to myślą; jest to najniższy stopień wiary». Albo też, jak inni nam przekazali: «Pozatem nie pozostaje z wiary nawet na wagę ziarna gorczycy».

Emir więc zganil osoby, które się zebrały, rozwiązał to zebranie i nie pozwolił im się więcej schodzić. A gdy zaświtał poranek, zebrał sędziów wiary i mężów wiedzy, znanych ze swej nauki, czynów zbożnych, umartwień ciała, pobożności i oddania Bogu, których słowa i uczynki mogą być wzorem i zasadą postępowania, zarówno z sekty szafiitów, jak też z sekty mālikitów i chanefitów. Był obecny również pan nasz, Sędzia Najwyższy Nadżm-ad-dīn al-Mālīkī. Sędzia Najwyższy Nasīm ad-dīn al-Merscedī al-Chanefī usprawiedliwił swoją nieobecność chorobą, która go zmuszała do pozostawania w domu. Byli też obecni szejch Szihāb-ad-dīn, strażnik świętego przybytku Bożego, szejch 'Afif-ad-dīn 'Abdallāh al-Jamānī al-Chadramī szafiita, znany pod przydomkiem Abū Kathīr, oraz szejch imam 'Abdānabī al-Magrebī malikita, i wielu innych, jak się czytało w tem podaniu, poczem było tam co następuje:

Przyniesiono ową kawę w wielkiem naczyniu oraz szklenicę, i pomieniony Chajrbek zaproponował im naradzić się w sprawie owej kawy oraz zebrani, które się zdarzyły w związku z tym napojem, jak wyżej opisano. Wszyscy jednozgodnie się wypowiedzieli, że zebrania ludzi dla spożywania kawy w podobnej formie są wzbronione, i każdy, kto posiada możność, winien im wszelkimi sposobami zapobiec. Co zaś dotyczy pomienionego ziarna, zwanego bunn, to jest ono dozwolone, jak wszelkie inne ziola i ziarna, na podstawie następującego wyrzeczenia Allacha Najwyższego: «Wszystko, co na ziemi, stworzył dla was». Jeżeli zaś odwar, robiony z jego lupiny, okazuje się szkodliwy dla ciała lub dla umysłu, albo też wywołuje upojenie, czy też prowadzi do lubieżności lub rozpusty, to jego używanie jest wzbronione, nawet jeżeli ktoś przyrządza sobie trunek na osobności w swoim domu. Zresztą sprawa ta należy do kompetencji lekarzy.

Gdy tylko emir Chajrbek usłyszał, że sprawa ta należy do lekarzy, sprowadził dwu szejchów i uczonych imamów, szejcha Nūr-ad-dīna Achmada al-'Adżamī al-Kāzarūnī i jego brata 'Alā'a-ad-dīna 'Aliego. A byli to najznamienitsi z lekarzy mekkańskich, leczący dojstojnego pana Barakāta ibn Muchammad, jego brata, dojstojnego pana Mu'izz-ad-dīna Kājtbāja i panów kupców mekkańskich i dżeddańskich, oby Allah Najwyższy pomnożył ich sławę i pozwolił nam korzystać z ich zasług.

Emir zasięgnął ich zdania co do owego bunn, z którego lupiny przyrządzany bywa ów napój. Uczeni odpowiedzieli, że jest to ciało suche i zimne, szkodliwe dla ciała..

V. PROZA NAUKOWA

A. LITERATURA TEOLOGICZNA

'OMAR AN-NASAFĪ

(um. w r. 1142)

WSTĘP DO WYZNANIA WIARY

W imię Boga Miłościwego, Litościwego. Szejjch imām Nadżm-ad-Dīn Abū Chals 'Umar ibn-Muchammad ibn Achmad an-Nasafī — niech Bóg się zmiłuje nad nim! — powiada: Ludzie prawdy w przeciwstawieniu do sceptyków powiadają, że prawdziwa natura rzeczy jest trwale ustalona, a wiedza o niej jest pewna, następnie, że źródła wiedzy ludzkiej są trojaki: zdrowe zmysły, prawdziwe opowiadanie i rozum.

Co do zdrowych zmysłów, mamy pięć: słuch, wzrok, powonienie, smak i dotyk, a każdy z tych zmysłów powiadamia nas o rzeczach, dla których został wyznaczony.

Opowiadanie jest dwojakie. Po pierwsze, opowiadanie przekazane przez długi szereg tradycji, czyli ustalone przez pewną liczbę ludzi, o których nie możemy sobie wyobrazić, żeby wszyscy jednakowo kłamali. Tradycja ta daje nam wiedzę konieczną, jak np. wiedzę o dawnych królach, w odległych czasach i dalekich krajach.

Drugim rodzajem opowiadania jest wiedza, udzielona przez apostołów i popartą cudami; opowiadanie to daje nam wyrozumowaną wiedzę, pod względem pewności i stałości podobną do wiedzy ustalonej przez konieczność.

Co do rozumu, jest on również źródłem wiedzy. Jest to wiedza albo ustalona przez intuicję, czyli wiedza konieczna, jak np. wiedza, że całość jest większa od części, albo też ustalona przez wnioskowanie, czyli wiedza nabyta, jak np. wiedza o istnieniu ognia na podstawie ukazania się dymu. Co zaś dotyczy wewnętrznego światła, nie jest ono uważane przez ludzi prawdy za jedno ze źródeł wiedzy.

Następnie, świat w sumie swych składników jest rzeczą stworzoną o tyle, o ile się składa z substancyj i przymiotów. Substancją jest to, co istnieje w sobie samem, i może być albo złożoną, czyli ciałem, albo niezłożoną, czyli istotą, jednostką, nieulegającą dalszemu dzieleniu. Przymiotem zaś jest to, co nie istnieje w sobie samem, lecz ma być zależny w ciałach lub istotach, jak np. barwa, smak, okoliczność, zapach.

Twórcą świata jest Bóg Najwyższy, jedyny, wieczny, postanawiający, wiedzący, słyszający, chcący. Nie jest On przymiotem ani ciałem, ani bytem, ani rzeczą ukształtowaną, ani rzeczą ograniczoną, ani rzeczą liczoną, ani podzielną, ani złożoną... Bóg posiada właściwości odwiecznie istniejące w Jego istocie. Przymioty te nie są nim ani czemś innym niż on...

Że istnieje widzenie Boga Najwyższego, jest dopuszczane przez rozum i potwierdzone przez tradycję. Dowodem dostatecznym jest twierdzenie, że pobożni mają widzenie Boga Najwyższego w raju i widzą Go nie w miejscu określonym albo w pewnym kierunku, nie przez zwracanie się do Niego ani przez rzucanie spojrzeń, ani też przez ustalenie odległości między widzącym a Bogiem.

Bóg Najwyższy jest Stwórcą wszelkich czynów jego stworzeń, zarówno czynów wiary, jak niewiary, posłuszeństwa, jak oporu; wszystkie one powstają z woli Bożej.

Stworzenia Boga zdolne są do czynów wolnej woli, za które są nagradzane lub karane. Dobre czyny dzieją się z łaski Bożej, złe czyny — nie z łaski Bożej...

Bóg prowadzi na manowce, kogo chce, i prowadzi prawą drogą, kogo chce, i nie jest obowiązkiem Boga najwyższego czynić to, co jest najlepsze dla jego stworzenia...

Wielki grzech nie odłącza wierzącego człowieka od wiary i nie czyni z niego człowieka niewierzącego. Bóg nie przebacza temu, który czci inne bóstwo prócz Niego, ale przebacza, komu chce, wszelki grzech, zarówno wielki grzech, jak mały...

Cuda, dokonywane przez świętych, są prawdą. Cud świętego jest zaprzeczeniem zwykłego biegu spraw przyrody, tak np. przebycie wielkiej odległości w krótkim cza-

sie, zjawienie się mięsa, napoju, odzieży w godzinie potrzeby, chodzenie po wodzie i w powietrzu, mowa kamieni i zwierząt i inne tego rodzaju rzeczy.

Zarliwcy wiary niekiedy błądzą, niekiedy trafiają w sedno. Apostołowie ludzkości są bardziej doskonali niż apostołowie anielscy. Apostołowie anielscy są bardziej doskonali niż ogół ludzkości, a ogół ludzi prawdziwie wierzących jest bardziej doskonały niż ogół aniołów.

MUCHAMMAD AL-FUDALĪ

(w 1-szej połowie w. XIII)

Z DZIEŁA P. T. «ZAOPATRZENIE GMINY W WIEDZĘ TEOLOGJI SCHOLASTYCZNEJ»

Wstęp do wyznania wiary

W imię Boga Miłościwego, Litościwego. Chwała Bogu Jedynemu, Stwórcy wszechrzeczy, i błogosławieństwo i pokój naszemu Panu Mahometowi, Jego rodowi i towarzyszom, doskonałym przewodnikom.

A następnie. Powiada stworzenie, zdane na łaskę miłosierdzia swego Najwyższego Pana, Muchammad ibn-asz-Szaŕī al-Fudali: Jeden z braci prosił mnie napisać rozprawę o jedności boskiej. Zgodziłem się na to, idąc za przykładem wielce uczonego mistrza Sanūsiego, naśladując go w ustaleniu dowodzeń, z tą tylko różnicą, że przytoczyłem każdy dowód w związku z doktryną, która miała być dowiedziona, i dodałem wykład tego, co wiem o niedoborach tego uczonego. Tak powstała przy pomocy Boga Najwyższego rozprawa pożyteczna i doskonała dla ustalenia prawd w niej zawartych. Nazwałem ją «Zaopatrzenie społeczności w niezbędną wiedzę scholastycznej teologii». I proszę Boga Najwyższego, aby uczynił tę książkę pożyteczną, On bowiem jest mojem zadowoleniem, a doskonałym jest ten Stróż.

Wiedz o tem, że obowiązkiem jest każdego prawowiernego znać pięćdziesiąt artykułów wyznania wiary, a dla każdego artykułu posiadać ogólny dowód. Niektórzy powiadają, że konieczną jest znajomość szczegółowych dowodzeń. Ale powszechne jest mniemanie, że dostateczne jest ogólne dowodzenie dla każdego z tych pięćdziesięciu artykułów. Przykładem szczegółowego dowodzenia jest, jeśli ktoś pyta: «Jaki jest dowód istnienia Boga?», a odpowiedź na to brzmi: «Te oto stworzone rzeczy». Na to odpowiada pytający: «Czy stworzone rzeczy dowodzą istnienia Boga dlatego, że ich istnienie stało się możliwe, czy też dlatego, że po poprzednim nieistnieniu stały się?» Na to pytanie powinna być udzielona odpowiedź. Jeśli te odpowiedzi nie były dane, a jedyna odpowiedź brzmiała: «Te oto stworzone rzeczy», bez stwierdzenia, czy tu chodzi o możliwość ich istnienia, czy też o ich stanie się po uprzednim nieistnieniu, mamy tu do czynienia z dowodzeniem ogólnym. Ale według powszechnego mniemania jest to dostateczne. Co zaś dotyczy ślepego przyjęcia, polegającego na tem, że znane są pięćdziesiąt artykułów wiary, dla których nie posiadamy żadnego dowodu, ani ogólnego, ani też szczegółowego — pod tym względem uczeni mają różne zapatrywania. Jedni sądzą, że to nie wystarcza, i że ten, który na ślepo przyjmuje wyznanie wiary, jest niewierzący. Ibn al-Arabī i As-Sanūsī byli tego zdania, a ostatni dał w komentarzu do swego «Wielkiego dzieła» obszernie obalenie twierdzeń tych, którzy uważają, że ślepe przyjęcie jest dostateczne. Są jednak pogłoski, że Sanūsī zmienił późniejsze poglądy i uznał dostateczność ślepego przyjęcia. Ale nigdzie nie znalazłem w jego dziełach poglądu innego, jak ten, że ślepe przyjęcie nie wystarcza.

Wiedz tedy, że zrozumienie pięćdziesięciu następujących artykułów wyznania wiary musi być oparte na trzech rzeczach — na zrozumieniu rzeczy koniecznych, niemożliwych i możliwych. Rzeczą konieczną jest ta, której nieistnienia umysł ludzki nie może pojąć, to znaczy, że umysł nie może twierdzić jej nieistnienia jako granicy pewnego ciała. Przykładem ciała jest drzewo lub kamień. Jeżeli więc ktoś ci powie, że drzewo np. nie zajmuje pewnej przestrzeni na ziemi, to twój umysł nie może tego potwierdzić, gdyż zajmowanie przez nie przestrzeni jest rzeczą konieczną, której przeczenia twój umysł nie może twierdzić.

Rzecz niemożliwą jest taka, której istnienie nie może być pojęte, której istnienia umysł nie może twierdzić. Jeżeli ktoś powiada, że pewne ciało nie znajduje się w stanie ruchu i jednocześnie nie znajduje się w stanie spokoju, umysł twój nie może tego twierdzić, gdyż jednoczesne nieistnienie ruchu i spokoju jest niemożliwością, której pochodzenia i istnienia umysł nie może twierdzić. Jeżeli więc np. ktoś powie, że słabość jest niemożliwa w Bogu, znaczy to, że zachodzenie i istnienie słabości w Bogu jest nie do pomyślenia.

Możliwą jest rzecz, której istnienie w jednym czasie lub nieistnienie w innym czasie umysł ludzki może twierdzić.

Na tych trzech kategoriach zbudowana jest wiedza o artykułach wyznania wiary. Są one konieczne dla każdego człowieka...

Jest różnica między twierdzeniem, że wiara w pewien artykuł wyznania jest obowiązująca, a twierdzeniem, że wiedza o nim jest konieczna. Jeżeli naprzykład mówimy, że wiedza jest konieczna w Bogu, znaczy to, że umysł ludzki nie może twierdzić nieistnienia wiedzy w Bogu. Ale jeżeli mówimy, że wiara w tę wiedzę jest obowiązująca, znaczy to, że ta wiara jest nagradzana, brak zaś tej wiary karany. Trzeba więc odróżniać te dwie rzeczy i nie należeć do tych, którzy mniemają, że ślepe przyjęcie artykułów wyznania wiary jest słuszne. As-Sanūsī powiada: Człowiek nie jest wierzący, gdy mówi: «Trzymam się artykułów wyznania i nie opuszczę ich, gdybym nawet miał być posiekany w kawałki». Nie, nie jest on wierzący, dopóki nie zna każdego z pięćdziesięciu artykułów wraz z jego dowodem...

Pierwsza z właściwości koniecznych w Bogu jest istnienie. Co do znaczenia tej właściwości zachodzi różnica poglądów. Wszyscy z wyjątkiem Imāma al-Asz'ariego twierdzą, że istnienie jest stanem koniecznym dla istoty tak długo, jak istota trwa, i że ten stan nie ma przyczyny. Tak np. istnienie danego człowieka jest stanem koniecznym dla jego istoty i nie może być od niej oderwane.

Powiadamy — a Bóg jest naszym świadkiem — chwała niech będzie Bogu — Temu, który wszystko rozpoczął, wskrzesicielowi, Temu, który czyni wszystko, co chce, Panu Świątynnego Tronu, potęgi i mocy, przewodnikowi swych wybranych stworzeń na prawej drodze do prawego celu, dawcy dobrodziejstw tym, którzy głoszą Jego jedność, strzegąc swego wyznania wiary od mroków powątpiewania i sprzeczności. Ten, który skłania ludzi do postępowania śladami Jego Apostoła - Wybrańca i kroczenia śladami Jego czcigodnych towarzyszy, swoją pomocą i prawem kierownictwem objawił się im w swej istocie, w swych dziełach, w swych pięknych przymiotach, których nie postrzega nikt prócz tych, którzy z uwagą przychylają ucha. On jest świadkiem, głoszącym, że w swej istocie jest jedyny bez towarzysza, jedyny bez podobnego, wieczny bez przeciwstawienia, odrębny bez podobnego. On jest jedyny, pierwszy bez nikogo przed nim, odwieczny bez początku, istniejący wiecznie bez nikogo po nim, wieczny bez końca, istniejący bez końca, trwający bez granicy. Nigdy ludzie nie ustaną opisywać go świętymi przymiotnikami. Granica i koniec nie mają władzy nad nim, nie przecinają jego wieku, nie wyznaczają mu określonego czasu. Jest On pierwszy i ostatni, zewnętrzny i wewnętrzny, wszechwiedzący.

Świadczy, że Bóg nie ma ciała o określonym kształcie, ani materji, posiadającej granice i zarysy, nie jest podobny do żadnego ciała, nie zna granic ani podziału, nie jest substancją, a substancje nie istnieją w nim; nie jest przymiotem, i przymioty nie istnieją w nim, nie jest podobny do żadnej istoty, i żadna istota nie jest podobna do niego, nie jest podobne do niego, ani jest on podobny do niczego. Żadne wymiary nie ograniczają go, żadne granice nie zawierają go. Żadne kierunki nie otaczają go, niebo i ziemia nie znajdują się po żadnej jego stronie. Bóg siedzi mocno na swym tronie w sposób, jaki sam opisał, w sposób, jaki sam postanowił, jako mocną siedzibę, daleką jednak od zetknięcia, trwałego umiejscowienia, ustalenia, obejmowania, usuwania. Tron nie dźwiga Boga, ale tron i ci, którzy go dźwigają, utrzymywani są Jego łaską i potęgą. Bóg znajduje się ponad tronem, ponad niebiosami, ponad wszystkim aż do krańców plejad, i to «ponad» nie czyni go bliższym tronu i niebios, tak samo, jak nie czyni go dalszym od ziemi i plejad. Bóg jest wyżej wszelkiego tronu i niebios, tak samo, jak jest wyżej ziemi i plejad, a pomimo to jest bliski wszelkiej

istocie, bliższy wszelkiemu stworzeniu, aniżeli żyła jego szyi. Bóg jest świadkiem wszystkiego, gdyż jego bliskość nie jest podobna do bliskości ciał, jak jego istota nie jest podobna do istoty ciał. Bóg nie istnieje w niczem, jak nic nie istnieje w nim: żadne miejsce go nie zawiera, żaden czas go nie ogranicza. Bóg był, nim stworzył czas i przestrzeń, Bóg jest odrębny od swych tworów przez swe przymioty. W jego istocie niema mu nic równego. Daleki jest od zmiany stanu i miejsca. Żadne wypadki nie mają w nim miejsca, żadne przygody mu się nie dzieją. Przez swe świetne przymioty nigdy nie przestaje być daleki od wielkiej zmiany, dzięki swym doskonałym właściwościom nigdy nie przestaje być niezależny od udoskonalenia i pomnożenia...

Świadczy, że Bóg wie wszystko, co może być przedmiotem wiedzy, wszystko, co się dzieje od krańców ziemi aż do najwyższych niebios, ani jedno ziarenko w ziemi albo w niebiosach nie unika jego oka. Bóg widzi pełzanie czarnej mrówki po czarnym kamieniu w czarnej nocy, dostrzega lot ćmy, unoszącej się w powietrzu. Bóg zna wszelkie rzeczy tajne i ukryte, posiada wiedzę wszelkich myśli i najtajniejszych poruszeń duszy — wiedzę wcześniejszą niż wieczność...

Świadczy, że Bóg słyszy wszystko i widzi wszystko... Żaden dostykalny dźwięk nie jest zbyt daleki dla jego słuchu, żaden widzialny przedmiot nie jest zbyt daleki dla jego wzroku. Odległość nie osłabia jego słuchu, ciemność nie przytępia jego wzroku. Widzi on bez gałki ocznej i powieki, słyszy bez ucha, tak samo jak wie bez mózgu, chwyta bez kończyny, tworzy bez narzędzia, gdyż jego przymioty nie są podobne do przymiotów stworzeń, jak jego istota nie jest podobna do istoty stworzeń.

Świadczy, że Bóg mówi, rozkazując, zakazując, chwając, groząc, mową, która istnieje odwiecznie, istniała przed wszelką wiecznością w istocie Boga, niepodobna do mowy stworzeń. Nie jest to dźwięk, który powstaje z ruchu powietrza lub zderzenia ciał, ani głoska, która powstaje przez zamknięcie warg lub poruszenie języka. Koran i Tora, Ewangelja i Psalmi są to księgi, objawione jego apostołom. Koran jest odczytywany językiem ludzi, przepisywany w odbitkach, przechowywany w pamięci — pomimo to jest on wcześniejszy niż wszelka istota, zawarty w istocie Boga, nieulegający podziałowi ani wyodrębnieniu przez zapamiętanie lub przepisanie. A Mojżesz słyszał mowę Boga bez dźwięku, bez głoski, jak sprawiedliwi na tamtym świecie widzą istotę Boga bez substancji i bez przymiotu...

Świadczy, że apostołstwo należy do apostoła Bożego, i że Bóg posłał Mahometa, niepiśmiennego proroka z plemienia Kurajsza, z postannictwem do wszystkich Arabów, innoplemionców, duchów i ludzi. Tem prawem Bóg unieważnił wszelkie inne prawo, prócz tego, które potwierdził. Bóg uczynił Mahometa naczelnikiem wszystkich innych proroków, Panem ludzkości, i uznał za niedoskonałą tę wiarę, która polega na głoszeniu Jedności przez powiedzenie: «Niema boga prócz Boga», o ile do tego nie jest dodane świadectwo o apostołach, przez powiedzenie: «Mahomet jest apostołem Boga».

Bóg uczynił obowiązującą dla wszelkiego stworzenia wiarę w Mahometa i we wszystko, co Mahomet powiedział o tym i o tamtym świecie, i nie przyjmie wiary człowieka, o ile ten nie dał wiary powiedzianemu Proroka o życiu pozagrobowym. Przedewszystkiem Munkar i Nakir, te straszne istoty, przed którymi stanie wszelkie stworzenie, gdy wstanie z grobu w całości ziemskiej, dusza i ciało — Munkar i Nakir pytają je: «Kto jest twój Pan, jaka jest twoja wiara, kto twój prorok?» To są dwaj doświadczeni w grobie, ich pytanie jest pierwszą próbą pośmiertną. Następnie człowiek musi wierzyć w karę pozagrobową — że to jest prawdą, i że sąd nad ciałem i duszą jest sprawiedliwy i zgodny z wolą Bożą. Musi wierzyć w Wagę z obu szalami i językiem, których wielkość jest równa obszarom ziemi i niebios. Na tych wagach Majestat Boga Najwyższego waży czyny ludzkie, a odważnikami będą owego dnia waga ćmy i ziarna gorczycy, aby oczywiła była dokładność sprawiedliwości. Musi wierzyć, że Most jest prawdą; jest to most przerzucony nad Piekłem, bardziej ostry niż miecz, bardziej cienki niż włos. Stopy niewiernych zrzuceniem woli Bożej

potykają się na nim, i grzesznicy padają w Ogień. Ale stopy wiernych stoją na nim mocno, i tak sprawiedliwi wchodzą do Wiecznej Siedziby. Człowiek musi wierzyć w Jezioro, do którego ludzie schodzą, Jezioro Mahometa, z którego wszyscy będą pili po przejściu Mostu, przed wejściem do Ogrodu.

B. LITERATURA HISTORYCZNA

MAS'ŪDĪ

(um. ok. r. 957)

Z DZIEŁA P. T. «ZŁOTE ŁĄKI I T. D.»

Anegdota o kalifie Majmunie

«Książę wiernych, jakiś człowiek, odziany w grubą płachtę, stoi na progu palacu, domagając się, żeby mu pozwolono brać udział w rozprawach».

Członkowie posiedzenia, domyśliwszy się, że to jest sufi, chcieli przeszkodzić jego wejściu, lecz kalif dał swoje pozwolenie. Nieznajomy, usiadłszy, rzekł do księcia:

«Czy pozwolisz mi zadać pytanie?»

«Mów» — odpowiedział Majmun — «lecz po Bożemu».

Przybysz zapytał:

«Czy tron, na którym siedzisz, zawdzięczasz głosowaniu i zgodzie muzułmanów, czy też gwałtowi i nadużyciu swej siły?»

«Ani głosowaniu, ani gwałtowi» — odparł Majmun. — «Poprzednik oddał mi władzę i polecił złożyć przysięgę. Stawszy się władcą państwa, myślałem o tem, czyby nie należało uzyskać sankcji głosowania powszechnego i przejść przez wolny wybór, lecz po zastanowieniu się bliższem powstała we mnie obawa, czy, zostawiwszy muzułmanów samym sobie, nie narażę islamu na niebezpieczeństwo, czy wojna święta nie będzie zaniechana, a słabi pozbawieni obrony przed wrogiem. Zatrzymałem więc władzę, ażeby opiekować się ludem, zwalczyć wrogów i gościńce uczynić bezpiecznemi. Spodziewam się doprowadzić w ten sposób muzułmanów do stanu, w którym ich głosowanie zjednoczy się w wyborze władcy, żebym następnie mógł sam zrzec się władzy i zostać prostym poddanym. Bądź więc tłumaczem uczuć moich przed społeczeństwem mahometańskim, i skoro tylko ono wyrazi w tym względzie swą zgodę, abdykuję».

Tajemnicza osobistość podniosła się i wyszła. Po chwili wszedł szambelan Ali i rzekł te słowa:

«Książę wiernych! Posłałem kilku agentów za tym gościem. Skierował swe kroki ku meczetowi, w którym czekało kilkunastu ludzi podobnej jemu powierzchowności».

«I cóż, widziałeś go?» — zapytali.

«Tak».

«I cóż mówił?»

«Rozumne słowa. Powiedział, że jedynie tylko dlatego Majmun zatrzymał władzę w swych rękach, ażeby zapewnić bezpieczeństwo słabym, utrzymać pielgrzymki i wojnę świętą. Lecz skoro tylko naród wybierze sobie jednomyślnie naczelnika, Majmun odda władzę i złoży koronę».

«To dobrze» — odpowiedzieli i rozeszli się.

«Widzisz, Abū Mahomedzie» — rzekł kalif, zwracając się do swego ulubieńca — «zadowoliliśmy tych ludzi, mówiąc szczerze».

Anegdota o kalifie i fałszywym proroku

Gdy takiego oszusta przyprowadzono w kajdanach przed kalifa, Majmun rzekł do niego:

«Jesteś więc prorokiem, który niesie swe posłannictwo?»

«W tej chwili niosę kajdany» — odparł oszust.

«Nieszczęśliwy, któż ciebie uwiódl?»

«Czy to się w ten sposób mówi do proroków? Zaiste, gdybym nie był skępowany, poleciłbym Gabrjelowi, żeby was wszystkich wytepił» — odpowiada zuchwale oszust. Majmun wybuchnął śmiechem.

«Każemy cię rozwiązać» — rzekł — «ale potem musisz polecić Gabrjelowi, żeby wykonał twą groźbę».

Gdy go oswobodzono z łańcuchów, oszust, czując się wolnym, woła donośnie, jakgdyby się zwracał ku niebu:

«Wysyłaj sobie odtąd, kogo chcesz, i niechaj w przyszłości nie będzie nic wspólnego pomiędzy tobą a mną. Jaktol inny posiada dobra tego świata — a ja nic nie mam?! Trzeba być rajfurem, żeby się zajmować twemi sprawami!»

Majmun dał oszustowi wolność i zasilek.

Z dyskusji między kalifem a uczonymi o znikomości życia doczesnego

«Rozwinęliście przedmiot i ozdobili go wdziękiem wymowy swojej; pragnę teraz, żeby jeden z was przytoczył mi najpiękniejsze zdanie, jakie wyszło z ust mędrców, otaczających trumnę ze szczerego złota, do której właśnie składano Aleksandra.

Jeden z uczonych rzekł do kalifa:

«Wszystkie ich słowa są godne podziwu, ale wśród mędrców, powołanych do tej ceremonii, słowa najpiękniejsze wyrzekł Diogenes, chociaż niektórzy przypisują je mędrcewi indyjskiemu.

Oto one: «Aleksander był wczoraj mniej milczący, niż dziś, ale dziś lepiej nas uczy, niż wczoraj».

Łzy rześiste wytrysły z oczu Watika, który szlochał głośno; a ze łzami jego wszyscy obecni połączyli własne. Potem kalif podniósł się i zaimprovizował wiersz następujący:

«Co za kapryśne losu zmiany! Co za przewroty i upadki! Człowiek u szczytu był fortuny. I oto nagle w otchłań wpadał Uciechy ludzkie są znikome! Życie — odzieżą pożyczoną».

O nieszczęśliwej miłości Medźnuna

Udałem się do Benū Amir jedynie dla spotkania Medźnuna. Znalazłem tam jego ojca, staruszka, i jego braci, mężczyzn w sile wieku; widocznie zamożność panowała w tej rodzinie. Gdym wspomniał o Medźnunie, płakali, a ojciec rzekł:

«Zaiste, było to moje dziecko najmilsze; zakochał się w dziewczynie, która nawet marzyć nie mogła o takim związku; a jednakże, gdy już ich namiętność opanowała, ojciec dziewczyny odmówił jej ręki memu synowi i oddał ją komu innemu. Wówczas związaliśmy Medźnuna, ale gryzł sobie język i wargi z taką wściekłością, żeśmy mu wolność wrócili. I zakopał się w pustyni; codziennie noszą mu pokarm, stawiając go w miejscu widocznym; gdy go zobaczy, zbliża się i je. Skoro zniszczy odzież, kładziemy inną w miejscu widocznym. Na prośbę moją, żeby mnie do niego zaprowadzili, wskazano mi młodzieńca, który był zawsze przyjacielem Medźnuna, i on jeden miał tylko przystęp do samotnika. Skoro odszukano tego młodzieńca, prosiłem, żeby mnie zaprowadził do Medźnuna. Ten rzekł:

«Jeżeli chcecie jego wierszy, mam wszystkie, nawet z dnia wczorajszego; jutro będę u niego, a gdyby zaimprovizował wiersz jakiś — przyniosę».

Wobec powtórnej prośby mojej, żeby mnie zaprowadził do Medźnuna, młodzieńiec rzekł:

«Gdy nas zobaczy — ucieknie; lękam się, żeby z tego powodu i mnie nie unikał; straciłbym wówczas jego wiersze».

Wreszcie, wobec uporczywych nalegań moich, dodał:

«A więc idź do jego pustelni; gdy go spostrzeżesz, zbliżaj się zwolna; będzie on usiłował przestraszyć cię i zrobi taką minę, jakby chciał rzucić na was, co znajdzie

pod ręką. Usiądź, nie zwracając na niego uwagi, ale go obserwuj ukradkiem. Gdy będzie miał wygląd spokojniejszy, zadeklamuj mu jaki ustęp z Kajsa, gdyż to jego poeta ulubiony».

Natychmiast udałem się w drogę i po południu znalazłem Medźnuna. Siedząc na wzgórzu, kreślił palcami linje na piasku. Gdy się do niego zbliżyłem, uciekł jak zwierzę dzikie na widok człowieka i podniósł z ziemi kamień. Ja jednak, posunawszy się dalej, usiadłem przy nim, nie mówiąc przez kilka chwil ani słowa. Widząc, że zostaje, uspokojony zbliżył się do mnie, przebiegając palcami. Wówczas, patrząc na niego, rzekłem:

«O jakże są piękne wiersze Kajsa: <Tak wielka jest trwoga, którą mnie ogarnia terazniejszość i przeszłość, że z oczu moich wszystkie łzy wyleję. Mówią mi: jutro lub nocy następnej odejdziesz kochanka, która się nigdy nie oddalała. Nie byłbym nawet przypuszczał nigdy, żeby dłonie własne śmierć mi przyniosły; co przyjsć miało — przybywa>». Szalenciec, płacząc łzami gorącymi, rzekł do mnie:

«Boże wielki, a toż ja byłem lepszym poetą w tych wierszach: «Serce moje będzie kochało na zawsze tylko uroczą Amirytę. Ręka moja, gdy jej dotykam, wilgotna od rosy i gotowa się okryć listkami zieleniejącymi. Podziwiam zaciekłość losu, dążącą do rozłączenia naszego: nie uspokoi się, dopóki nas nie rozłączy. Miłości! podwój męczarnie moje każdej nocy; a ciebie, pociecho dni moich, oczekuję w dniu zmartwychwstania».

W tej chwili gazela przebiegła, i Medźnun pogonił za nią, a ja odszedłem. Przyszedszy nazajutrz, nie spotkałem go wcale. Rodzina, zawiadomiona przeze mnie, wysłała człowieka, który zwykle mu nosił pożywienie; lecz ten powrócił, mówiąc, że potrawy były nietknięte. Wówczas udałem się w drogę z jego braćmi, a spędziwszy dzień i noc całą na poszukiwaniach, znaleźliśmy Medźnuna nazajutrz rano... umarłego. Łoże potoku było mu łóżem śmierci. Bracia zanieśli go do domu, a ja powróciłem do swego kraju.

Z tegoż dzieła

«Rozprawialiście panowie szeroko o teorii ukrycia i przejawiania się, o preegzystencji i stworzeniu, o trwaniu, ruchu i spoczynku, o jedności i rozdziale substancji boskiej, o stwierdzeniu i odrzuceniu tradycji, o istnieniu i nieistnieniu przymiotów boskich, o sile potencjalnej i czynnej, o substancji, zjawiskach, życiu i śmierci. Skoro tedy roztrząsnęliście taką mnogość kwestyj metafizycznych, zajmijcie się teraz miłością, ale bez rozpraw. Niechaj każdy z was wygłosi podług przekonania własnego określenie miłości».

Pierwszy zabrał głos Ali, syn El-Heitema, słynny teolog szyicki z sekty imamitów:

«Wezyrze!» — przemówił uczony. — «Miłość jest owocem zgodności i powstaje ze zlania się dusz. Wypływa ona z piękności boskiej, z pierwiastka substancji czystego i szlachetnego. Potęga jej nie ma granic, a wzrost jej powoduje zmniejszenie się ciała...»

Piątym z kolei był Ibrahım, z przydomkiem Nazzam, z sekty motazylitów, jeden z głównych w owym czasie dialektyków szkoły w Bassorze.

«Miłość» — rzekł — «jest subtelniejsza od wzroku i szybsza od krwi, krążącej w żyłach. Gdy umiarkowana — owoce jej są bardzo smaczne, lecz gdy przekracza granice, staje się trucizną śmiertelną, chorobą, której cechy są straszne i na którą niema lekarstwa. Podobna chmurze — spada niby deszcz na serca, zakłóca je i zapładnia boleścią. Człowiek, zwyciężony przez miłość, cierpi nieustannie, oddycha z trudnością, paraliż mu grozi, i spędza noce bezsennie, dnie w udręczeniu, boleść go dławi, przejawia się w jękach...»

Mówcą trzynastym był Mobet, członek sekty magów, który powiedział:

«Wezyrze, miłość jest ogniem, który zapala się w sercu i całe ciało ogarnia. Jest ona nieodłączna od bytu istot, od działania ciał niebieskich. Ma swoje źródło w pobudkach zwierzęcych i zależy od przyczyn materialnych. Jest kwiatem młodości, ogrodem szlachetności, czarem duszy i jej rozkoszą, a nie może istnieć bez piękności, bez inteligencji, bez zdrowia, bez harmonji sił i równowagi i t. d.».

Thum. Julian Adolf Święcicki.

FACHR-AD-DĪN AR-RĀZĪ

(um. w r. 1209)

Z «OPOWIEŚCI O DYNASTJACH»

Opowiadanie o panowaniu Hārūn ar-Raszīda (Prawego)

Został ogłoszony kalifem w roku sto siedmdziesiątym. Był jednym z najbardziej dostojnych kalifów, najbardziej wymownych, najuczeńszych i najwięcej wspaniałomyślnych. Zwykł był jednego roku odbywać pielgrzymkę do Mekki, a roku następnego wyruszać na wojnę z niewiernymi, i tak czynił kolejno, z wyjątkiem niewielu lat. Opowiadają, że odbywał codziennie modły aż do stu pokłonów, pielgrzymkę zaś odbywał pieszo. A żaden z kalifów nie odbywał pielgrzymki pieszo prócz niego. Gdy pielgrzymował, pielgrzymowało z nim stu doradców prawnych wraz ze swymi synami, gdy zaś nie odbywał pielgrzymki w własnej osobie, wyprawiał na pielgrzymkę trzystu ludzi, których swoim kosztem bogato odziewał i suto żywił, w czym był podobny do kalifa Manšūra, od którego jednak różnił się hojnym szafowaniem swoim mieniem. Nie było kalifa bardziej odeni szczodrego. Żaden dobry czyn nie pozostawał bez nagrody, i nigdy nagroda ta nie dawała na się długo czekać. Był wielce rozmilowany w poezji i poetach i skłaniał się do ludzi pióra i palestry. Ale nie lubił sporów w sprawach wiary. Lubił chwałbę, zwłaszcza poety wymownego, i osypywał go za to hojnemi dary.

Opowiada Ašma'ī:

Kiedys urządzał Prawy ucztę i ozdobił swe komnaty; następnie sprowadził poetę Abū-l-'Atāhiję i rzekł doń:

«Opisz nam rozkosze, w jakich żyjemy na tej ziemi».

Odrzekł Abū-l-'Atāhija:

«Żyj według twych pragnień w zdrowiu, pod dachem zamków wyniosłych».

«Dobrze rzekłeś» — odpowiedział Prawy. — «A dalej co?»

Na to ów recytował dalej:

«Niech wszystko, czego zapragniesz, śpieszy do ciebie wieczór i rano».

«Dobrze» — zawołał Prawy — «a dalej?»

Poeta rzekł:

«Ale gdy oddech twój kiedys będzie walczył z rżeniem serca, wówczas poznasz na pewno, żeś był tylko w złudzeniu».

Wówczas Prawy zapłakał, a Fadl, syn Jachji, powiedział:

«Posłał po ciebie władca wiernych, abys go ucieszył, a tyś go zasmucił».

Rzekł Prawy:

«Zostaw go! Ujrzał nas w zaślepieniu i przykro mu było pozwolić nam, abyśmy dalej w niem trwali».

Raszīd był pokorny wobec mędrców. Opowiadał Abu Muāwija Ślepy, a był to mąż nauki:

«Pewnego dnia jadłem przy stole Raszīda. Po jedzeniu ktoś polał mi wodę na ręce».

«Czy wiesz, Abū Muāwija» — rzekł — «kto ci polał wodę na ręce?»

«Nie, władco wiernych» — rzekłem.

«To ja» — zawołał.

«Władco wiernych!» — zawołałem. — «Czynisz to, żeby oddać hołd wiedzy».

«Tak» — rzekł.

Za jego czasów wystąpił Jachjā, syn 'Abdallāha, syna Chasana, syna 'Alięgo, syna Abū Tāliba. Przebieg tej sprawy był następujący:

Jachjā, syn Abdallāha, obawiał się losu, który spotkał jego dwóch braci. Zebrał więc dokola siebie ludzi z różnych stron kraju, tak, że miał liczne wojsko. Zaniepokoiło to Raszīda. Przywołał więc Fadla, syna Jachji, na czele 50.000 ludzi i oddał mu władzę nad Dżurdżanem, Tabaristanem, Rajem i innemi dzielnicami. Fadl udał się tam na czele wojska, ale postąpił łagodnie z Jachjā, synem 'Abdallāha, ostrzegł go i przypomniał mu strach Raszīda. Jachja nawrócił się do wierności, ale zażądał obietnicy

nietykalności, podpisanej przez Raszida i poświadczonej przez sędziów, prawników i naczelników Haszimilów. Raszid zgodził się na to i bardzo się ucieszył. Napisał wymowne pismo własnoręcznie; zaopatrzyli je swoim poświadczeniem sędziowie, prawnicy i naczelnicy Haszimitów, i Raszid wysłał je z darami. Jachjā przybył razem z Fadlem. Raszid przyjął go godnie. Ale następnie wtrącił go do więzienia i zasięgnął zdania prawników o prawie do złamania danego słowa. Niektórzy z nich wystąpili przeciw Raszidowi i wydali orzeczenie o obowiązującym charakterze obietnicy. Inni sędzili, że można ją unieważnić. Raszid unieważnił ją i kazał oddać Jachję na kaźń pomimo otrzymania ważnych znaków.

Opowiadanie o znakach, jakie się stały w sprawie Jachji, syna 'Abdallaha

Przyszedł do Raszida jakiś człowiek z rodu Zubajra, syna 'Awwāma, i zaczął rzucić oszczerstwa na Jachję, mówiąc:

«Już po zawarciu porozumienia Jachjā czynił to a to i zbierał ludzi dookoła siebie».

Raszid kazał sprowadzić Jachję z więzienia, postawił go wobec Zubajryty i zaczął go badać w tej sprawie. Jachjā zaprzeczył. Zubajryta dalej jednak trwał w swoim oskarżeniu. Jachjā zawołał doń:

«Jeżeli mówisz prawdę, przysięgaj».

Zubajryta zaczął:

«Na Boga, który żąda i osiąga...» — i chciał dokończyć przysięgi. Ale Jachjā przerwał mu:

«Zostaw tę przysięgę. Bóg Najwyższy nie zsyła rychłej kary na swego sługę, który go sławi. Złóż mi lepiej przysięgę zwolnienia».

Jest to wielka przysięga i polega na tem, że człowiek mówi o sobie: «Jeśli jest tak a tak, jestem wolny od mocy i potęgi Boskiej i przechodzę pod moją własną moc i potęgę». Kiedy Zubajryta usłyszał tę przysięgę, zawołał:

«Co to jest za nieznana przysięga?» — i nie chciał jej składać. Raszid zawołał doń:

«Jaka przyczyna twojego oporu? Jeżeli jesteś szczery w tem, co mówisz, skąd twój strach przed tą przysięgą?»

Zubajryta przysięgnął. Nie zdążył jednak wyjść z sali tronowej, gdy upadł i wyzionął ducha. Opowiadają, że dzień jeszcze nie dobiegł do końca, gdy Zubajryta już nie żył. Wyniesiono go, spuszczone do grobu i chciano zasypać grób ziemią. Ale usypiana ziemia wciąż spadała i nie można było zasypać dołu. Zrozumiano, że jest to znak z nieba i wymurowano nad grobem sklepienie. Pomimo jednak objawienia tego wielkiego znaku Jachjā został uśmiercony w więzieniu straszną śmiercią.

* * *

Opowiadają, że gdy Prawy obalił ród (wezyrów) Barmakidów i postanowił wykorzenić wszelką pamięć o nich, zabronił poetom opiewać ich w pieśniach żałobnych i rozkazał karać za przekroczenie zakazu. Pewnego razu któryś ze straży przybocznej, przechodząc koło jakichś opuszczonych zwalisk, zobaczył człowieka z kartą w ręku, a na niej wypisana była pieśń, zawierająca płacz nad rodem Barmaków. Człowiek ten odczytywał pieśń i płakał. Żołnierz schwytał go, przyprowadził do pałacu Prawego i opowiedział ten wypadek. Prawy rozkazał przyprowadzić go przed swe oblicze i zaczął go badać. Człowiek przyznał się do winy. Prawy rzekł doń:

«Czyś nie słyszał o moim zakazie opiewania ich zguby? Zaprawdę, uczynię z tobą, co postanowiłem!»

Tamten rzekł:

«O władco wiernych, kiedy użydziesz ucha opowieści mojej sprawy, którą ci wyłożę, postąpisz wedle twego uznania».

Rzekł Prawy:

«Powiadaj!»

Rzecz tamten:

«Byłem jednym z mniejszych pisarczyków Jachji, syna Chālidowego, i bardziej podrzędnych stanem. Pewnego dnia rzekł do mnie:

«Chcę, żebyś mnie któregoś dnia ugościł w twem mieszkaniu».

«O panie nasz» — rzeknę doń — «daleki jestem od takiego zaszczytu, a moje mieszkanie nie jest odpowiednie».

«Nie może być inaczej!» — rzecze.

«Jeżeli nie może być inaczej» — powiadam — «udziel mi pewnego przeciągu czasu, abym ulepszył moje otoczenie i mieszkanie; potem postąpisz wedle swego uznania».

«Ile czasu» — pyta — «mam ci użyzyć?»

«Rok» — rzekłem.

«Dużo!»

«To parę miesięcy» — prosiłem.

«Dobrze!»

Więc poszedłem i zarządziłem uporządkowanie mojego mieszkania i przygotowanie wszystkiego, co jest potrzebne do przyjęcia gości. Po tych wszystkich przygotowaniach zawiadomiłem wezyra. Ten rzekł:

«Jutro jesteście u ciebie».

Więc poszedłem i przygotowałem jadła, napoje i wszystko, czego człowiek może potrzebować. Nazajutrz zjawił się wezyr, a z nim jego synowie Dża'far i Fadl, i szczupły poczet jego najbliższych przyjaciół. Wezyr zsiadł z konia, a za nim zsiadli jego synowie Dża'far i Fadl, i ci, którzy byli z nim, i zawołał:

«Taki a taki, jestem głodny; przynieś mi coś, a chyżo!»

I rzekł do mnie jego syn Fadl:

«Wezyr lubi pieczone kurczęta; więc przynieś prędko, jakie masz pod ręką».

Przyniosłem coś; wezyr zjadł, następnie jał przechadzać się po mieszkaniu, wreszcie zawołał:

«Taki a taki, uciesz nasze oczy widokiem twego całego mieszkania».

«Władco nasz» — odrzekłem — «to jest moje mieszkanie. Nie mam innego prócz tego».

«Ależ owszem» — zawołał — «masz inne».

«Na Boga!» — rzeknę. — «Nie posiadam innego».

Wezyr zawołał:

«Sprowadźcie murarza!»

Gdy nadszedł, powiedział doń:

«Przebij drzwi w tym murze!»

Murarz poszedł wykonać rozkaz. A ja zawołałem:

«Władco nasz, jakże to wolno przebijać drzwi do mieszkania sąsiadów! A przecież Allah nakazał strzec praw sąsiedzkich».

«Nic w tem złego» — odrzekł. — Poczem otwarto drzwi. Wezyr wstał ze swymi synami i weszli przez nie, a ja za nimi, do pięknego ogrodu, gęsto porośłego drzewami, między którymi tryskały fontanny. Były tam pawilony i altany, które w podziw wprawiały widza. Były tam sprzęty i kobierce, byli niewolnicy i służebnice doskonałej piękności. Rzekł wezyr:

«To mieszkanie i wszystko, co się w niem znajduje, należy do ciebie».

Ucałowałem jego ręce i uczyniłem śluby na jego intencję. Pojąłem, że już owego dnia, kiedy mi mówił o zamiarze odwiedzenia mnie, posłał był i zakupił sąsiednią posiadłość, zbudował piękną siedzibę i sprowadził wszelakie piękne sprzęty. A ja o tem nie wiedziałem! Wiedziałem wprawdzie, że tam budują, ale sądziłem, że to dla kogoś z sąsiedztwa. Wezyr rzekł do swego syna Dża'fara:

«Mój synku, oto dom i służba; ale skąd utrzymanie tego domu?»

«Już mu podarowałem przecież» — odrzekł Dża'far — «taki a taki folwark z wszystkim inwentarzem; sporządzą odpowiedni akt darowizny».

Następnie zwrócił się wezyr do swego syna Fadla: «Mój synku» — rzekł doń — «z czegoż będzie żył, nim wpłynie pierwszy dochód z folwarku?»

«Jestem mu dłużny» — odparł Fadl — «dziesięć tysięcy denarów i zaraz mu je każę przynieść».

«Więc pośpieszcie» — rzekł wezyr — «i spełnijcie obadwaj, coście rzekli».

Poczem Dża'far przepisał mi folwark, Fadl przyniósł mi pieniądze. Tym sposobem wzbogaciłem się i polepszył się mój stan. Obracając temi pieniędzmi, zebrałem później duży majątek, którego dotychczas używam.

«Otóż, na Boga, o władco wiernych» — mówił dalej ów człowiek — «nie opuszczam żadnej sposobności, jaka mi się nadarza, aby opiewać ich chwałę i czynić śluby na ich intencję z wdzięczności za ich łaskę. Ale zaiste, nigdy nie potrafię uczynić zadość memu obowiązкови. Jeżeli więc chcesz mię uśmiercić za to, czyni, co ci się podoba».

Prawy był bardzo wzruszony i pozwolił mu odejść. A od owego dnia nie bronił nikomu oplakiwać ich upadku.

ABŪ-L-FIDĀ

(1273—1331)

Z JEGO HISTORJI Powszechnej

W r. pięćset sześćdziesiątym dziewiątym umarł sprawiedliwy król Nūr-ad-Din, syn Machmūda, syna Imād-ad-Dīna, władca Syrii, Mezopotamji i innych ziem, w piątek jedenastego dnia miesiąca Szawwāl, na dyteryt, na zamku stołecznego miasta Damaszku. Nūr-ad-Din gotował się wówczas do wyprawy na Egipt, chcąc zdobyć go z rąk Salāch-ad-Dīna. Zamierzał oddać dowództwo swemu bratankowi Sajf-ad-Dinowi w wojnie z Frankami, a sam miał ruszyć przeciw Egipcjowi. Ale dosięgła go wola Boża, przeciw której niema oporu.

Nūr-ad-Din miał śniadą cerę, wysoką postawę, zarost tylko na brodzie, piękną powierzchowność. Państwo jego było bardzo rozległe, i głoszone mu modły w Mecce, Medynie, w Jemenie po jego opanowaniu przez Tūrān-Szāha, syna Ajjūba; tak samo w Kairze. Rok urodzenia Nūr-ad-Dīna był pięćset jedenasty. Sława jego rozeszła się po całej ziemi, dzięki pięknemu trybowi życia i szlachetności. W wysokim stopniu oddawał się umartwieniom i służbie Bożej, i modlił się po całych nocach. Był znawcą prawa religijnego według nauki imāma Abū Chanify, niech go Bóg otacza swoją łaską; nie był jednak fanatykiem ani obłudnym. On to zbudował mury wielu miast Syrii, np. Emesy, Damaszku, Hamatu, Aleppa, Szirazu, Balbeku i innych, gdy zostały zburzone przez trzęsienie ziemi. Zbudował również liczne szkoły chanifitów i szafitów. Ale krótki ten zarys nie może objąć jego wszystkich pięknych czynów.

Po śmierci Nūr-ad-Dīna na tron wstąpił syn jego, pobożny król Ismael, w wieku jedenastu lat. Wojsko złożyło mu przysięgę w Damaszku, i tu król osiadł. W Egipcie złożył mu hołd Salāch-ad-Din, i tu wybijano monety z jego imieniem.

Wówczas nastąpił rok pięćset siedemdziesiąty. Na początku tego roku dokola pewnego człowieka, imieniem Kanz, z rodu Saīda, zebrały się liczne rzesze. Kanz wystąpił przeciw Salāch-ad-Dinowi. Ostatni wysłał przeciw niemu wojsko. W bitwie zginął Kanz i wielu jego zwolenników, a reszta rozpierzchła się.

W tym roku, w końcu miesiąca Rabi' I, zapanował Salāch-ad-Din Jūsuf, syn Ajjūba, nad Damaszkiem, Emesą i Hamatem. Przyczyną tego było to, że Szams-ad-Din, rezydujący w Aleppie, posłał Salāch-ad-Dīna z zaproszeniem do króla Sālicha, syna Nūr-ad-Dīna, żeby się przeniósł z Damaszku do Aleppo i osiadł w tem mieście. Król Sālich udał się do Aleppo w towarzystwie Sa'd-ad-Dīna...

IBN CHALDŪN

(1332—1406)

PROLEGOMENA DO HISTORJI

Celem historii jest przedstawienie społecznego grupowania się ludzkości, t. j. społeczeństwa i różnych stanów, z których się ono drogą naturalną wytworzyło, jak:

życie dzikie, uszlachetnienie obyczajów, poczucie wspólności rodzinnej i szczepowej przeróżne rodzaje przewagi ludów względem siebie, powstawanie państw i dynastyj i t. d., a także wszelkich zmian, jakie natura rzeczy w charakterze tych społeczeństw spowodować mogła. Przy badaniu społeczeństwa ludzkiego, t. j. cywilizacji, należy to wszystko mieć na widoku, żeby w opowiadaniach rozróżnić prawdę od fałszu; to, co jest samo w sobie możliwe, co tkwi w naturze, w istocie danej cywilizacji, od tego, co jest przypadkowe lub co zgóry wyłączone być musi.

* * *

Jest to nauka oddzielna, gdyż naprzód ma ona przedmiot ściśle określony, mianowicie cywilizację i społeczeństwo ludzkie, a następnie omawia ona różne kwestje, które służą do stopniowego wyjaśnienia faktów, związanych z istotą samej cywilizacji. Rozdziały, w których ten przedmiot roztrząsamy, zawierają naukę nową, godną uwagi, zarówno z powodu oryginalności jej poglądów, jak i przez wielkość jej pożytku... Człowiek różni się od innych istot żyjących przymiotami jemu właściwymi, do których należą szczególnie następujące: 1) Nauki i sztuki, będące plodem rozważania, którem człowiek różni się od zwierząt; 2) Potrzeba władzy hamującej wybryki, t. j. rządu, któryby je powściągnął. Ze wszystkich istot żyjących człowiek jest jedyny, który bez tego istnieć nie może; bo jakkolwiek pszczoły i szarańcza mają coś podobnego do rządu, to jednak jest on wynikiem instynktu, nie zaś rozmysłu i rozważa; 3) Zarobkowanie i praca, której dostarczają najrozmaitsze potrzeby życia; 4) Dążność do jednoczenia się, która skłania ludzi do mieszkania razem bądź w miastach, bądź w namiotach. Przyczynia się do tego popęd do towarzystwa i skłonności naturalne do wspomagania się wzajemnego przy zaspokajaniu potrzeb swoich i zdobywaniu środków utrzymania; 5) i 6) Stan zjednoczenia w formie podwójnej: a) w życiu koczowniczym i b) w życiu osiadłym. W obu wypadkach stan towarzyski podlega zmianom bardzo poważnym. Zgodnie z takim planem, pierwsza księga mojej historii rozpada się na 6 działów: 1) O zjednoczeniu się ludzkim wogóle, o różności ras ludzkich i o krajach przez nie zamieszkałych; 2) O jednoczeniu się u nomadów, z omówieniem ludów i szczepów napół dzikich; 3) O formach rządu, t. j. o kalifacie, królestwie i niezbędnych w każdym państwie urzędnikach; 4) O cechach odrębnych cywilizacji życia osiadłego, tudzież o znaczeniu miast i prowincyj; 5) O rzemiosłach i różnych środkach zaspokajania potrzeb życia oraz zdobywania bogactw; 6) O naukach i środkach kształcenia się.

Tłum. Julian Adolf Świącicki.

MAKRÍZÍ

(1365—1442)

Rok 682 (hedżyry) był dla chrześcijan bardzo ciężki. Gdy emir Sendszar-el-Szodzai był w łaskach wielkich u Melika-el-Mansūra Kilawuna, chrześcijanie musieli jeździć na osłach z pasami około bioder, i żadnemu z nich nie wolno było przemówić do muzułmanina, gdy ten siedział na koniu, a także nosić ubrań kosztownych.

Gdy el-Mansūr umarł, sultanem został syn jego el-Melik el-Aszref Chalil. W służbie u emira byli chrześcijańscy sekretarze, którzy jednak zachowywali się bardzo wyniosło względem muzułmanów, a strojem i postawą swoją przejawiali dumę. Jeden z takich sekretarzów u Ajn-el-Gazāla spotkał pewnego dnia na ulicy magazyniera swego pana. Magazynier ucałował stopę sekretarza, który jednakże zaczął go lajać z powodu jakiejś sumy, która jeszcze do dochodów emira nie wpłynęła. Gdy magazynier prosił o względność i przebaczenie, sekretarz, rozgniewany tem jeszcze bardziej, kazał słudze swemu związać mu ręce na plecach i prowadzić go z sobą. Ludzie, gromadząc się zewsząd, otoczyli sekretarza, prosząc, żeby uwolnił magazyniera. Ale ten odmówił prośbie. Wówczas tłum ludu rzucił się na niego, ściągnął go z osła, a magazyniera oswobodził. Sekretarz, będąc już blisko swego pana, posłał służącego po ludzi. Jakoż wrócił on z zastępem straży Emira i niewolników, którzy,

oswobodziwszy sekretarza, zabrali się do bicia tłumu. Podniósł się krzyk: «Nie wolno», i wszyscy pośpieszyli przed zamek, wołając: «Ratunku! niech Bóg strzeże sułtana!» Władca, usłyszawszy te krzyki, wysłał kogoś dla zbadania rzeczy. Gdy zawiadomiono sułtana o surowem postępowaniu sekretarza chrześcijanina względem magazyniera, kazał sprowadzić Ajn-el-Gazāla i rzekł do niego: «Jak śmia niewolnicy twoi postępować tak srogo z muzułmanami z powodu chrześcijanina?» Zapytany odpowiedział, że o niczem nie wie. Wówczas sułtan polecił sprowadzić do siebie wszystkich chrześcijan i pomordować. Jakoż dostojnicy nie spoczywali. Ogłoszono, że żaden żyd, ani chrześcijanin, nie może pozostawać w służbie u Emira, wszystkim zaś sekretarzom chrześcijanom oświadczone, że ci, którzy natychmiast przyjmą islamizm, pozostaną w służbie, oporniejsi będą mieli głowy odcięte. Ten sam wybór pozostawiony był wszystkim innym chrześcijanom, którzy pracowali w Dywanie sułtana. Zaczęto tedy wyszukiwać chrześcijan, którzy się poukrywali. Tłum rabował domy zarówno chrześcijan, jak żydów, uprowadzał niewiasty w niewolę, a mężczyzn zabijał. Widząc takie postępowanie ludu, namiestnik usiłował złagodzić gniew sułtana, a prefekt Kairu ogłosił, że kto obrabuje dom chrześcijanina, będzie powieszony. Jakoż kazał on kilku rabusiów obiecywać i oprowadzić po mieście. Ale dopiero po ograbieniu kościoła w Misi tłum się uspokoił. Gdy namiestnik ustawił wielką liczbę sekretarzy chrześcijańskich w pewnem oddaleniu od sułtana, ten polecił wykopać wielki dół za targiem końskim, poniżej zamku, wrzucić do niego wszystkich zebranych, obłożyć ich drzewem i podpalić. Wówczas Emir Beider wstawił się za nimi, ale sułtan nie chciał słyszeć o niczem, wołając: «Nie chcę w swem państwie Dywanu chrześcijańskiego». Wreszcie zgodził się na to, żeby tych, którzy przyjmą islamizm, pozostawić w służbie, a opornych wytępić. Gdy ten rozkaz obwieścił Emir sekretarzom, wówczas jeden z nich, el-Makin ben el-Sikai, zawołał:

«O panie, któżby z nas był tak nieugięty, żeby przełożył śmierć nad tę religję haniebną? Na Boga! my przyjmiemy taką, jaką wybieriecie, dla której zginiemy, której błogosławieństwa swego Bóg nie odmówił».

Wówczas Beider, nie mogąc się wstrzymać od śmiechu, zawołał:

«Mamyż dla ciebie wybrać inną religję niż islam?»

Zapytany odpowiedział:

«O panie, my tego nie wiemy; wy decydujecie, a my za wami pójdziemy».

Wtedy sprowadzono notarjuszów i wszyscy dali piśmienne oświadczenie, że przechodzą na islam, a sułtan przysłał im szaty honorowe. Jakaż ci ludzie, którzy z pogardzanych stali się przez pozór islamu szanowani, musieli mieć pogardę dla muzułmanów; bo choć chrześcijanizmu swojego nie wolno im było przejawiać, stało się z nimi, jak ktoś napisał wierszem do Emira Beidera: «Nawracano niewiernych przez gwałty i miecze, więc wolność uzyskawszy, znów byli niewierni. Dla złota, dla spokoju islam przyjmawszy, są wolni, ale nie są muzułmanami».

SĀ'ID AL-ANDALUSĪ

Powiada sędzia Sā'id, syn Aḥmada, Andaluzijski, dzierżący urząd sędziowski w Toledzie, iż Arabowie dzielą się na dwie części, jedną wymarłą, a drugą żyjącą.

Część wymarłą stanowiły ludy olbrzymów, jak plemię 'Ad, Tamūd, Ṭasm, Dżadis. Z powodu dawności ich wygaśnięcia utraciliśmy wszelkie dokładne dane o ich dziejach, i przerwana została nić i wątek wiedzy o ich wielkich czynach i świadectwach ubiegłej świetności.

Co zaś dotyczy części żyjącej, to pochodzi ona z rozgałęzienia dwóch pni rdzennych, plemienia Qachṭān i 'Adnān, a łączy ich niepodzielnie dwojaki stan, dwa okresy, okres barbarzyństwa, czyli pogaństwa, i okres islamu, czyli prawdziwej wiary.

Co do stanu Arabów w okresie barbarzyństwa, to jest to okres, znany ludom, okres potęgi i tężyzny. Państwo ich opierało się na plemionach Qachṭān, rodem królewskim najpotężniejszym był ród Himjarytów, a wychodzili z ich tona królowie

i książęta, olbrzymy i bohaterzy. Inni zaś Arabowie okresu barbarzyństwa, poza królami, dzielili się na dwa stany: lud chat glinianych, czyli mieszczan, i lud namiotów z włosia wielbłądziego, czyli koczowników. Mieszczanie, mianowicie lud osiadły i mieszkańcy miast, szukali pożywienia, trudniąc się zasiewem zbóż, uprawą palm, hodowlą bydła i handlem wędrownym. Lud zaś namiotów był mieszkańcem pustyni i żywił się mlekiem wielbłąda i jego mięsem, szukając łąk, na których rośnie świeża, zielona trawa, dążąc do miejsc, zroszonych kroplami dżdżu, i żyjąc tam w namiotach, póki im sprzyjał obfity karm i póki starczyło paszy, poczem udawał się na poszukiwanie nowego pastwiska i źródła wody. Tak żyli, przystawając w jednym miejscu i wyruszając w nową wędrowkę, jak to powiedział ktoś o swej wielbłądźcy:

I rzekła, gdy jej nakładałem pas siodła:
 Czy taki jest jego zwyczaj na zawsze i mój zwyczaj,
 Czy cały mój żywot — tylko przystawanie i wyruszanie,
 Czyż nie oszczędzi mnie i nie ocali?

Taki był ich tryb życia podczas wiosny i lata. A gdy następowała zima i tężała ziemia, wówczas śpiesznie ciągnęli do urodzajnych ziem Iraku i okolic Syrii, znosząc surową porę roku i cierpiąc od twardego żywota.

A religje ich były rozmaite. Plemię Himjarytów czciło słońce, plemię Kināna — księżyc, Tasū — gwiazdę Aldebaran, Lahm i Dżudzām — Jowisza, Tajji' — Syrusza, Asad — Merkurego, a plemię Takif czciło dom, położony na szczycie miejscowości Naḥla, zwany Al-lāt. A byli wśród nich tacy, którzy wierzyli w zmartwychwstanie i twierdzili z gorącym przeświadczeniem, że ten, na którego grobie zarzynano jego wielbłąda, zmartwychwstanie wierzechem, a komu tego nie uczynią, zmartwychwstanie pieszem.

A nauka Arabów, którą się pysznili, polegała na znajomości języka, na ustalaniu właściwości mowy, miar wiersza i nauczaniu sztuki wygłaszania przemówień. Prócz tego posiadali znajomość czasu wschodu i zachodu gwiazd oraz wiedzę o ruchach ciał niebieskich i porach deszczu, przez gwiazdy oznaczanych, w granicach tego, co zdolali osiągnąć drogą największych wysiłków i długiego doświadczenia, pchani potrzebą wiedzy w życiu codziennem, nie zaś na drodze bezinteresownego badania prawdy.

Co zaś dotyczy nauki filozofji, to Bóg ich nie obdarzył niczem pod tym względem, ani też uczynił ich charakter odpowiednim dla wysiłków na tem polu.

Taki był ich stan w okresie barbarzyństwa. Co zaś dotyczy ich stanu w okresie islamu, to żyli oni w warunkach, które, o ile Bóg zechce, opiszemy w sposób możliwie najbardziej dokładny i zwięzły.

* * *

Twórca religji islamu, Muchammad, syn 'Abdallāha.

Powiadają genealogowie, że jego pochodzenie wywodzi się aż od Ismaela, syna Abrahama, przyjaciela Boga, którego urodziła mu Hagar, niewolnica Sary, jego żony. Narodziny Muchammada miały miejsce w Mecce, roku ośmset osiemdziesiątego drugiego ery Aleksandra. Gdy minęło około dwóch lat, umarł mu jego ojciec 'Abdallāh, i pozostał przy swej matce 'Aminie, córce Wahba, sześć lat. Gdy ta odeszła do przodków, zabrał go do siebie dziadek 'Abd-al-Muṭṭalib i otoczył czułą opieką. A gdy tego dosięgła śmierć, polecił swemu synowi 'Abu-Talibowi, aby się nim zaopiekował, i t. d.

C. LITERATURA GEOGRAFICZNA

MUCHAMMAD AL-MAKDISĪ

(X w.)

Z JEGO DZIEŁA GEOGRAFICZNEGO

«Książka moja składa się z trzech części, z których pierwsza zawiera to, co sam widziałem, druga — com słyszał od osób wiarogodnych, a trzecia — com w księgach znalazł. Nie masz biblioteki, wielkiej czy małej, z którejbym nie korzystał; nie masz kierunku teologicznego, z którymbym się nie zaznajomił, — męża pobożnego,

z którym nie byłbym w stosunkach, — kaznodziei, którego bym nie słyszał, zanim zdobyłem to, co umiem. Niemasz nic, czego bym w podróży nie próbował, okrom żebractwa i ciężkich grzechów. Byłem więc uczonym, heletrystą, ascetą, pustelnikiem i oddawałem się nauce teologii i filologii. Występowałem jako kaznodzieja i z minaretu do modłów nawoływałem. Zupę z suffetami, papkę z mnichami i strawę okrętową z majtkami jadałem, a nawet, wyrzucony z meczetu, błądziłem po stepie i bez pomocy pustynią podróżowałem. Raz byłem uosobioną wstrzeźliwością, to znów potrawy zakazane jadłem wbrew swej woli; tułałem się wśród osadników Libanu, to znów żyłem na dworach książąt. Raz posiadałem niewolników, to znów biegałem z koszem na głowie jako kramarz. Bywałem bliski zatonięcia i nieraz karawanę moją zrabowano. Składałem wizyty sędziom i możnym, książętom i ministrom lub siadywałem jako drobny handlarz na targach. To zarabiałem na życie introligatorstwem, to znów płaciłem srebrem za wodę. Siadywałem w palankinach lub na koniu, albo podróżowałem pieszo w czasie skwarów palących lub też po śniegu. Otrzymywałem od książąt szaty honorowe i podarunki, a często byłem biedny i nagi. Wielcy panowie korespondowali ze mną i prosili o radę, a kiedy indziej musiałem znosić zniewagi i aż do przysięgi się zniżyć, gdy mnie o kacerstwo i złe czyny posądzono. Mógłbym tu jeszcze wiele innych przytoczyć okoliczności, ale to wystarczy dla przedstawienia, że książka moja jest owocem doświadczeń własnych i bardzo się różni od tych prac, które z cudzych opowieści powstały.

AL-FĀRABĪ

(um. w r. 950)

Z DZIEŁA P. T. «PAŃSTWO WZOROWE»

...Musi mieć członki doskonałe, z odpowiednią siłą, któraby mogła dokonać tego, co dokonane być musi, i żeby, gdy chce działać jednym ze swoich członków, nie zawiódł się na jego sile. Musi mieć już z natury uzdolnienie wyborne do zrozumienia tego, co mu przedstawiają, żeby rozumem własnym objął i to, do czego zmierza mówiący, i rzecz samą w sobie. Musi to, co zrozumiał, widział i słyszał, dobrze zapamiętać; niczego mu zapomnieć nie wolno. Musi być przezornym i byстрыm; jeżeli coś poznał, dzięki wskazówkom najdrobniejszym, powinien natychmiast tak rzecz ogarnąć, jakby już była dowiedziona. Musi zawsze wyrażać się zrozumiale; język jego powinien wszystko, co w sobie nosi, wyklądać jasno. Musi naukę i wiadomości chętnie zdobywać i łatwo wchłaniać. Przy nauce nie powinien być nigdy znużony, żeby wyczerpanie krzywdy mu jakiej nie przyniosło. Nie ma być chciwy jadła, napoju i kobiet; musi mieć wstręt z natury do gry, a wszelkie żądze podobne powinny być przez niego znienawidzone. Musi kochać prawdę i jej wyznawców, a brzydzić się kłamstwem i jego zwolennikami. Musi być wielkoduszny i szlachetny; już z natury dusza jego powinna wznosić się ponad wszystko, co haniebne, i dążyć w tym kierunku do doskonałości najwyższej. Pieniądze i wszystko, co światowe, powinien za nic uważać. Już z natury musi sprawiedliwość i sprawiedliwych szanować. Powinien wymierzać sprawiedliwość zarówno swoim, jak obcym, zachęcać do niej, skrzywdzonych nagradzać, we wszystkim zaś, co uważa za dobre i piękne, przykładem świecić. Nie powinien być uparty i nieugięty, gdy go ktoś ku sprawiedliwości prowadzi, a przeciwnie, musi stać twardo, gdy go ktoś nakłonić usiłuje ku czynom krzywdzącym i haniebnym. Musi bez żadnej chwiejności i obawy przeprowadzać ze stanowczością to wszystko, co za konieczne uważa.

IDRĪSĪ

(ur. w r. 1099)

Z JEGO DZIEŁA GEOGRAFICZNEGO

Miasto Toledo, położone na wschód od Talavery, jest stolicą poważną, dzięki zarówno obszarowi swemu, jak i liczbie mieszkańców. Silne już z natury, otoczone

jest murami pięknymi, a bronione przez cytadelę bardzo mocną. Leży na wyniosłości, i mało miast może z niem wytrzymać porównanie pod względem wielkości budynków, piękności okolic i żyzności pól, skrapianych przez dużą rzekę, która nazywa się Tag. Widzisz tam wodociąg bardzo ciekawy o jednej arkadzie, pod którą rzuca się woda z gwałtownością, poruszając u końca akweduktu maszynę hydrauliczną, która wznosi wodę na 90 łokci wysoko, a włączając ją do części wyższej wodociągu, sprowadza w ten sposób wodę do miasta. W epoce chrześcijan starożytnych Toledo było stolicą swego państwa i ogniskiem handlu. Muzułmanie, stawszy się panami Andaluzji, znaleźli w tem mieście bogactwa nieprzebrane, a wśród nich 170 koron złotych, ozdobionych perłami i mnóstwem innych klejnotów, 1.000 szabel królewskich, pokrytych obficie perłami i rubinami, mnóstwo naczyń złotych i srebrnych; stół Salomona, syna Dawida, zrobiony, jak mówią, z jednego smaragdu, a będący dziś w Rzymie. Ogrody wokoło Toledo są poprzeryzane kanałami, na których zbudowano przyrządy do skrapiania drzew, dostarczających owoców nieporównanej dobroci i smaku. Dookoła podziwiać można piękne siedziby i zameczki silnie uzbrojone.

Tłum. Julian Adolf Świącicki.

IBN BATŪTA

(um. w r. 1377)

Z OPISU JEGO PODRÓŻY

Cejlon

Przybyliśmy na wyspę Cejlon i zobaczyliśmy górę Sarandib. Sultán Cejlonu jest niewierny i potężny na morzu. Między jego ziemią a Malabarem jest odległość jednego dnia drogi. Stąd wyruszyłem w dalszą drogę i przybyłem do leżącego w jego kraju miasta Batāla, które się pisze z literą *a* po *b* i *t* bez kropki. Udałem się do sultana i powiedziałem mu:

«Jestem przyjacielem sultana Malabaru i zamierzam udać się do niego».

Na wybrzeżu portu Batāla znalazłem pełno drzewa budulcowego, które przynosił prąd rzeki. Leżały tego drzewa całe góry na brzegu, i zewsząd przybywali kupcy i brali je bezpłatnie, składając tylko władcy Cejlonu skromne dary w odzieży.

Pewnego dnia widziałem tam dużo drogocennych kamieni, któremi sultán zwykł był zaszczytnie obdarzać swe niższe i wyższe sługi. Sultán rzekł do mnie:

«Nie wstydz się, zażądaj ode mnie, czego pragniesz».

Rzekłem doń:

«Jedynym celem mojego przybycia do tego kraju jest pielgrzymka do szczątków naszego praojca Adama, niech spoczywa w opiece boskiej».

Ludność tutejsza nazywa Adama ojcem (*bābā*), a Ewę — matką (*mama*). Sultán rzekł do mnie:

«Dobrze, posłę z tobą ludzi, którzy cię tam zaprowadzą» — poczem dał mi trochę drogocennych kamieni. Sultán wyznaczył żołnierzy, którzy mieli mi towarzyszyć w pielgrzymce, dał mi do towarzystwa braminów, a także sługi, którzy mieli nosić zapasy żywności. Statek, którym miałem płynąć, czekał już na mnie. Morze na tej drodze jest głębokie. Tak przybyliśmy do miejscowości Manār Mandali; pierwsze z tych słów ma *a* po *m* i *n* oraz *alef* na końcu, a drugie słowo ma *a* po *m*, *n* bez samogłoski, *d* bez kropki i z samogłoską *a*, *l* z samogłoską *i*, a na końcu ma literę *i*. Jest to piękne miasto, leżące na końcu posiadłości tego sultana. Widziałem w niem tylko jednego muzułmianina, który tam przebywał z powodu choroby.

Stamtąd udalem się do Bandar Salāwat; pierwsze z tych słów pisze się z samogłoską *a* po *b* jednokropkowem, bez samogłoski po *n*, z samogłoską *a* po *d*, bez samogłoski po *r*, a drugie słowo pisze się z samogłoską *a* po niekropkowanym *s*, następnie z literą *l*, *alef*, *waw* i dwukropkowem *t*. Jest to małe miasteczko.

Stąd powędrowaliśmy przez dzikie miejsca, obfitujące w wodę. W drodze napotykaliliśmy liczne stada słoni, które jednak nie czynią nic złego pielgrzymom i wędrow-

nym; dzieje się to za łaską starca 'Abū 'Abdallāh ibn-Chalif. Jest to pierwszy, który otworzył tę drogę dla pielgrzymek świętych. Przedtem niewierni czynili przeszkody muzułmanom w drodze, wyrządzali im krzywdy, nie sprzedawali żywności, ani innych rzeczy. Ale gdy się wydarzyło 'Abū 'Abdallahowi to, o czem opowiadaliśmy wyżej, gdy zabił słonie, grożące jego towarzyszom, i wyszedł cało, gdy go słon zaniósł na grzbiecie, — od tej chwili niewierni zaczęli poważać muzułmanów i wprowadzać ich do swego kraju. I do dziś dnia czczą owego starca i nazywają go Wielkim Starcem.

Stamtąd udaliśmy się do miasta Kanakār, które się pisze z samogłoską *a* po pierwszym *k*, po *n* i drugim *k* i literą *r* na końcu. Jest to miasto największego sultana tych krajów, leżące w wąwozie między dwiema górami, na brzegu wielkiego wąwozu, zwanego Jarem Hiacyntów, gdyż znajdują się tu hiacynty. Na krańcu miasta stoi meczet starca Osmana Szirazyjskiego, a władca tego miasta i jego ludność pielgrzymują do niego i czczą go. Był on przewodnikiem pielgrzymów. A gdy mu ucięto rękę i nogę, władza przeszła na jego synów.

Przyczyną obcięcia mu ręki i nogi było to, że zarzął krowę. Niewierni Hindusi mieli zwyczaj każdego, kto zarzął krowę, zabijać lub zaszywać w jej skórę i palić. Starzec Osman był przez nich wielce czczony, więc ucięto mu rękę i nogę.

Władca miasta nazywa się Kunār z samogłoską *u* po *k* i *a* po *n*. Posiada on białego słonia, jakiego nie widziałem nigdzie na świecie. Sultán dosiada go podczas świąt uroczystych. Słon ma na głowie drogocenne hiacynty. A hiacynt, odmiana karbunkułu, znajduje się tylko w tej miejscowości; poczęści znajdują go w wąwozie — ten gatunek jest tam najbardziej ceniony — poczęści zaś dobywają go z pod ziemi. Na wyspie Cejlonie znajdują hiacynty w różnych miejscach. Ludzie w poszukiwaniu ich kopią w ziemi, znajdują rozdwojone białe kamienie, w których wnętrzu mieszczą się hiacynty. Dają je szlifierzom, którzy szlifują i zeszkrobują obcy kamień z drogocennego. Niektóre hiacynty są bure, inne żółte lub błękitne. Mieszkańcy mają zwyczaj sprzedawać sultanowi takie, których wartość dosięga sześciu denarów złota, a wszystkie kamienie poniżej wartości tej ceny należą do właścicieli. Wszystkie kobiety wyspy Cejlonu mają naszyjniki z barwnych hiacyntów i zdobią nimi ręce i nogi, zamiast zwykłych naramienników i pierścieni na kostkach stóp. Na głowie białego słonia widziałem siedem kamieni, każdy większy od jajka kurzego, a u jednego z sultanów niewiernych widziałem kielich z hiacyntu wielkości dłoni. Kiedy wyraziłem moje zdumienie, sultán rzekł:

«Mamy rzeczy bardziej niezwykle niż to».

Z Kanakār udałem się do pieczary, znanej pod imieniem Machmūda Indyjskiego. Był on jednym z świętych i wykopał to zagłębienie u podnóża góry, na brzegu niewielkiego jaru. Stąd zszedłem do jaru Bauzūnah, które się pisze z samogłoską *a* po jednokropkowym *b*, następnie z literami *w* z *w* *n* oraz *h*; znaczy to — małpy. Jest ich dużo w tych górach, o skórze różnej barwy i długich ogonach; samce mają brody jak ludzie. Opowiadało mi wielu z pobożnych wiernych, że te stworzenia mają swego prowodyrę, któremu okazują posłuszeństwo jak sultanowi. Na czole nosi wieniec z liści drzew i opiera się na kij. Z prawej i z lewej strony towarzyszą mu cztery małpy z kijami w dłoniach. Gdy siada, cztery małpy stoją przy nim, żona jego i synowie cały dzień siedzą przy jego boku, pozostałe zaś małpy siedzą w pewnej odległości. Następnie jedna z czterech ma przemowę do wszystkich, poczem wszystkie odchodzą. Następnie każda z małp przechodzi osobno z bananem, cytryną albo czemś podobnym. Naczelnik, jego żona, synowie i cztery małpy spożywają owoce, poczem odchodzą. Opowiadał mi ktoś, że widział, jak owe cztery małpy smagały inną w nieobecności naczelnika kijem, a następnie wyrywały jej sierść.

Chiny

Następnie popłynęliśmy dalej i po upływie siedemnastu dni podróży, przy niezwykle pomysłnym wietrze, przybyliśmy do ziemi chińskiej. Klimat Chin jest bardzo dobry, gleba rodzi obficie zboże i owoce, a pod ziemią jest tyle złota i srebra, ile

nigdzie na ziemi. Przez kraj płynie rzeka, zwana Wodą Życia; rzeka ta nazywa się również Sabar, jak rzeka w Indjach. Źródło jej znajduje się w górach wpobliżu miasta, zwanego Koh Bauzūnah, co znaczy Góra Małp. Rzeka płynie przez środek kraju. Nad jej brzegami leżą kwitnące miasta i wsie, widać pola i ogrody, i liczne studnie oraz koła wodne. Rośnie tu gęsto trzcina cukrowa, winogrona, gruszki, piękne melony, podobne do tych, jakie są w Chwarazmie. Wogóle wszystkie owoce, które rosną w naszym kraju, są również w Chinach, i w lepszym gatunku. A mąki nie widziałem lepszej niż w tym kraju, jako też grochu... Kury i koguty chińskie są wielkie i tłuste, większe aniżeli nasze gęsi, ale gęsi u nich nie są duże. Kupiliśmy kiedyś kurę i chcieliśmy ją ugotować, ale mięso nie zmieściło się w jednym garnku; musieliśmy ją włożyć do dwóch. A koguty są wielkości strusia.

Chińczycy są niewierni, czczą bałwany i palą zwłoki umarłych jak Hindusi. Król Chin jest Tatarem i pochodzi z rodu Dżengis-Chana. W każdym mieście chińskim jest dzielnica dla muzułmanów, którzy żyją osobno, mają swoje domy modlitw, zebrań i są powszechnie szanowani.

Niewierni Chińczycy jedzą wieprzowinę i psie mięso i sprzedają je na targach. Żyją dobrze, ale nie różnią się między sobą ani jedzeniem, ani strojem. Można zobaczyć bogatego kupca, posiadającego niezmierny majątek, w kaftanie z szorstkiej i prostej materji. Natomiast różnią się bardzo pod względem obfitości naczyń srebrnych i złotych w domu. Każdy Chińczyk nosi kij, na którym się opiera; nazywają go «trzęcią nogą». Jedwabiu jest bardzo dużo, gdyż jedwabnik żywi się liśćmi i owocami i nie wymaga wielkich wydatków na wyżywienie. Jedwab jest tu strojem biedaków. Gdyby nie kupcy, nie miałby żadnej ceny; sprzedają tu jedną szatę z prostej materji za kilka jedwabnych.

Mają oni zwyczaj, że każdy kupiec przetapia swoje złoto i srebro na sztaby po pięć lub więcej kentarów. Kto ma pięć sztab, nosi na palcu jeden sygnet; kto ma dziesięć, nosi dwa sygnety, a kto ma piętnaście sztab, tego nazywają Sata. Chińczycy nie zawierają transakcyj handlowych na denary lub drachmy. Wszelki zakup i wszelkie wypłaty przy zakupie i sprzedaży odbywają się zapomocą kawałków papieru ze stemplem sultana. 25 sztuk takich papierów nazywają się bāliszt, które się pisze przez literę *b* na początku, *alef*, *l* z samogłoską *i*, sz kropkowane bez samogłoski i *t* z dwiema kropkami. Równa się to denarowi. A gdy się taki papierek podrze na strzępy w rękach ludzi, zanoszą go do mennicy i otrzymują nowy bez żadnej dopłaty. Urzędnicy, którzy załatwiają te czynności, otrzymują wynagrodzenie od sultana. A jeśli ktokolwiek przyjdzie z denarem lub drachmą, nikt go od niego nie przyjmie, ani zwróci na niego uwagi, dopóki nie zmieni pieniędzy na bāliszty.

Wszyscy mieszkańcy Chin używają jakiegoś rodzaju ziemi zamiast węgla. Przywożą ją w wielkich ilościach na słońcach, tną na kawałki wielkości naszego węgla i rozpalają nią ogień. Pali się jak węgiel, a ogień jest gorętszy od ognia węglowego. Kiedy się cała spopieli, mieszają ją z wodą, dają jej wyschnąć i palą po raz drugi. Tak robią, dopóki nie unicestwi się całkowicie. Z tej samej ziemi wyrabiają chińską porcelanę.

Chińczycy z wszystkich ludów są najdoskonalszymi rzemieślnikami. Pod względem sztuki malowania nikt im w doskonałości nie dorówna. Najbardziej dziwne, czego byłem u nich naocznym świadkiem, to rzecz następująca. Przyjechałem kiedyś do jednego z ich miast, a po pewnym czasie, gdy wróciłem do niego, zobaczyłem moją podobiznę i podobiznę moich towarzyszy, odbite na papierze i rozlepione na murach ulic. Tak samo, gdy przyjechałem do miasta sultana, przechodziłem przez rynek rytowników razem z moimi towarzyszami i weszliśmy w ten sposób do pałacu. Kiedyśmy stąd wyszli wieczorem, przechodziłem znów przez wspomniany rynek i tu ujrzałem podobiznę moją i moich towarzyszy, odbite na papierze, nalepionym na murze. Przyjrzałem się jej bliżej i nie znalazłem ani jednej usterki.

Zwyczajem Chińczyków jest, że gdy któraś z dżonk chce podjąć kotwicę, zjawia się nadzorca rzeczny i sporządza spis marynarzy i służby, którą statek z sobą zabiera, poczem dopiero daje pozwolenie na podniesienie kotwicy. Gdy statek wraca do kraju, nadzorca znów się zjawia i sprawdza obecność wszystkich ludzi na pokładzie podług dawniej sporządzonego spisu. Jeżeli stwierdza brak jakiegoś człowieka, właścicie-

dzonki za to odpowiada, chyba, że przedstawi dowód jego śmierci albo ucieczki, albo jakieś inne usprawiedliwienie. Następnie właściciel statku otrzymuje rozkaz sporządzenia spisu wszystkich towarów, zarówno cennych, jak drugorzędnej wartości, poczem wszyscy wychodzą na brzeg, a urzędnicy fiskalni wchodzą na dżonkę i sprawdzają towary. Jeżeli stwierdzą, że coś zostało przed nimi ukryte, statek wraz z wszystkim, co się na nim znajduje, przechodzi na własność sultana. Jest to zwyczaj najwięcej krzywdzący, i nic podobnego nie widziałem w żadnym kraju niewiernym lub muzułmańskim. W Indjach, gdy urzędnik znajdował ukryte towary, karano właściciela jedenastokrotną grzywną. Później jednak władca Indyj, usuwając różne nadużycia, zniósł również tę karę.

Gdy do jakiegoś miasta w Chinach przybywa kupiec muzułmański, może według swego upodobania zamieszkać u jednego z kupców muzułmańskich, stałe przebywających w tej miejscowości, albo też w domu zajezdny. Jeżeli woli zamieszkać w domu u jakiegoś muzułmanina, bierze swoje pieniądze i składa je u miejscowego kupca. Gdy obcy postanawia opuścić miasto, odbiera złożone pieniądze i sprawdza je, a jeżeli czegoś brak, na miejscowego kupca, który jest odpowiedzialny za całość mienia, oddanego na przechowanie, nakładają grzywnę. Jeżeli przyjezdny woli zamieszkać w zajezdzie, wręcza wszystkie swoje pieniądze oberżystce, który przyjmuje za nie odpowiedzialność i od tej chwili kupuje wszystko dla obcego, i zapisuje na jego rachunek. Tak samo, gdy przyjezdny zapragnie nalożnicy, oberżysta kupuje mu niewolnicę i wynajmuje mieszkanie.

Niewolnice są tanie, gdyż wszyscy sprzedają swych synów i córki, i nikt tam tego nie poczytuje za hańbę. Nie wolno tylko zmusić niewolnicy do wyjazdu z nabywcą, ale dobrowolny wyjazd nie jest wzbroniony; również nikt mu nie broni ożenić się z nią. Ale miejscowi muzułmanie dają baczenie, żeby przyjezdny nie miał możliwości trwonienia pieniędzy na rozpustę. «Nie chcemy» — powiadają — «żeby się w krajach muzułmańskich dowiedziało, iż przyjezdni muzułmanie roztrwonili swoje mienie na naszej ziemi i że znaleźli się w kraju rozpusty i marnotrawstwa».

Chiny są krajem najpewniejszym i najlepszym dla podróżnych. Jeżeli ktoś wędruje sam i wiezie z sobą znaczny majątek, nie ma powodu obawiać się o jego całość, a to dlatego, że w każdej miejscowości znajduje się dom zajezdny, pozostający pod nadzorem wyższego urzędnika. Wieczorem urzędnik przychodzi wraz ze swym sekretarzem do zajazdu, zapisuje imiona wszystkich podróżnych, przykłada pieczęć i zamyka drzwi. O świcie znów przychodzi, sprawdza spis przyjezdnych, sporządza nowy spis i wręcza go urzędnikowi, który towarzyszy przyjezdnym do następnej miejscowości, gdzie miejscowy funkcjonariusz poświadcza, że wszyscy wymienieni podróżni przybyli do niego.

Kiedy przepłynąłem morze do Chin, pierwszym miastem, do którego przybyłem, było Miasto Oliw. Niema w niem żadnych drzew oliwkowych, ani też wogóle w całych Chinach i Indjach; jest to tylko urzędowa jego nazwa. Jest to wielkie miasto. Wyrabiają tam szaty z adamaszku i atlasu, najlepsze z wszystkich wyrobów odzieżowych w Chinach. Port jest tu jeden z największych na świecie. Widziałem około stu wielkich statków, a małych bezliku. Miasto leży nad wielką zatoką morską, która głęboko wchodzi w brzegi i w tem miejscu łączy się z ujściem Wielkiej Rzeki.

W dzień mojego przybycia do miasta widziałem dostojnika, który miał wyruszyć w drogę, żeby posłować od władcy Chin do władcy Indyj. Powiadomił on o mnie naczelnika miasta, który wyznaczył mi piękne mieszkanie.

Rychło przybył do mnie sędzia muzułmanów w towarzystwie najwyższego duchownego i poważnych kupców, wśród nich wielu, których przedtem widziałem w Indjach. Kupcy ci, żyjąc w kraju niewiernych, cieszą się bardzo, gdy przybywa do nich muzułmanin, i dają hojną jałmużnę tym, którzy do nich przybywają, tak, że stają się tak samo bogaci jak każdy z miejscowych.

Gdy miejscowy urzędnik dowiedział się o mnie, napisał do Kāna — jest to ich najwyższy naczelnik — żeby go zawiadomić o mojem przybyciu jako posła króla Indyj. Poprosiłem go, żeby posłał ze mną człowieka, któryby mnie odwiózł do Sin Kajlān, znajdującego się w jego okręgu, nim powróci odpowiedź Kāna. Zgodził się na to

i przysłał jednego ze swych urzędników. Wsiadłem na statek i płynąłem przez 27 dni, lądując z rana w jednej wsi, a wieczorem w innej, aż przybyłem do Sin Kajlānu. Wpobliżu tego miasta rzeka Wody Życia wpada do morza. Jest to jedna z miejscowości o największych i najpiękniejszych ulicach. Przy wejściu do miasta znajduje się dzielnica muzułmanów. Za tą miejscowością już niema innej, ani muzułmanów, ani niewiernych. Dzieli ją, jak mi opowiadano, droga 60-ciu dni od muru Jadzudź i Madzudź. W owej okolicy żyją niewierni, którzy zjadają każdego człowieka, jaki się ukaże w ich kraju. Z tego powodu żaden podróżny nie zawita do nich. Nie widziałem w tamtych stronach nikogo, któryby spotkał kogoś, kto widział mur.

Kiedy byłem w Sin Kajlān, słyszałem, że żyje w niem wielki starzec, który ma przeszło 200 lat, nie je, nie pije, nie obcuje z kobietami, choć jest bardzo silny. Żyje w pieczarze na krańcu miasta i oddaje się wyłącznie służbie Bożej. Udałem się tam i ujrzałem go, siedzącego przy wejściu. Był chudy, łysy, bez zarostu, z widocznymi śladami umartwień. Gdy go pozdrowiłem, wziął moją rękę, powąchał ją i rzekł do tłumacza:

«Ten człowiek jest z tamtego krańca świata, jak my jesteśmy z tego krańca».

Następnie rzekł do mnie:

«Widziałeś rzecz dziwną. Czy pamiętasz, gdys przybył na wyspę, na której stoi świątynia, człowieka, siedzącego między posągami, który dał ci 10 denarów złotych?»

«Tak» — rzekłem. Starzec zawołał:

«To ja byłem».

Pocałowałem jego rękę. Starzec zamyślił się, poczem wszedł do pieczary i nie wyszedł więcej do nas, jakgdyby pożałował tego, co powiedział. Pośpieszyłem i wszedłem za nim do pieczary, ale nie znalazłem go. Zobaczyłem jednego z jego towarzyszy i rzekłem doń:

«Czekamy na tego człowieka».

«Gdybyście nawet» — mówił — «czekali 10 lat, nie zobaczycie go. Zwyczajem jego jest, że gdy ktoś odkryje jedną z jego tajemnic, nigdy go więcej nie zobaczy. Nie sądz, że ukrywa się przed tobą; przeciwnie, jest z tobą».

Zdziwiłem się tym słowem i wyszedłem. Kiedy o tem opowiedziałem sędziemu muzułmanów i naczelnikowi duchownemu, odpowiedzieli mi:

«Taki jest jego zwyczaj z cudzoziemcami, którzy do niego przychodzą. Nikt nie wie, jakie jest jego wyznanie. A ten, którego wzięłeś za jednego z jego towarzyszy, to był on. Opowiadał nam, że kiedyś opuścił to miasto na przeciąg 50-ciu lat. Później zjawił się znów na rok czasu. Sultanowie, emirowie i wezyrowie pielgrzymują do niego, a on im daje dary według ich dostojenstwa. Przychodzą do niego również biedni codziennie, i daje im jałmużnę. W pieczarze, w której żyje, niema nic, na czem oko mogłoby spocząć. Opowiada o latach zamierzchłych, pamięta Proroka i mówi: «Gdybym był z nim, pomógłbym mu...»

Opowiedział mi pewien starzec, niezrównany w sprawach wiary, pobożny mędrzec i człowiek bardzo majątny, co następuje:

«Pewnego razu przyszedłem do starca w pieczarze. Wziął mnie za rękę, i w tej chwili wydało mi się, że jestem w wielkim pałacu. Na tronie siedzi starzec z pieczary, w koronie na głowie; dokoła stoją niewolnice, a słodkie owoce spadają z drzew. Zdawało mi się, że wzięłem jabłko do ręki, żeby je zjeść. Nagle spojrziałem dokoła. Znow byłem w pieczarze, a przede mną stał starzec i patrzył na mnie z uśmiechem. Potem zapadłem na ciężką chorobę, z której podźwignąłem się dopiero po wielu miesiącach».

IBN IJĀS

(2-ga poł. XV w.)

Z DZIEŁA KOSMOGRAFICZNEGO

O Russach i Bułgarach

O Russach. Są to plemiona bardziej potężne niż Turcy. Kraj ich jest niezdrowy. Leży w sąsiedztwie Sklawów (Słowian). Znajduje się ten kraj na wyspie, otoczony

małem morzem, które jest dla nich jakby twierdzą, powstrzymującą napór nieprzyjaciół. Z państwa tego wywożą złotą miedź do ziem Indyj i Chin. Mają też króla, który zasiada na złotym tronie, a otacza go 40 dziewic ze złotemi i srebrnemi kadzielnicami. Ludność tego kraju ma czerwona skórę, żółte włosy i wysoki wzrost. Są to najgorsze stworzenia Boga Najwyższego. Mówią nieznanym językiem.

Kraj jest wielki i obszerny. Znajduje się w nim wiele miast, a między jednym a drugim leżą wielkie przestrzenie. Na ziemi tej żyje wiele plemion nieokrzyszanych, bez przepisów religijnych, bez Boga, do którego mogliby wznosić oczy.

W ziemi są kruszce drogocenne, np. złoto. Ale żaden cudzoziemiec nie przybywa do ich kraju, a jeżeli ktoś obcy przyjedzie do nich, zabijają go.

Kraj leży wśród gór, które go otaczają. W tych górach biją źródła, spływające do wielkiego jeziora. Na środku jeziora stoi wysoka góra, z której wypływa biała rzeka, rozlewająca się przez łąki aż do brzegów Czarnego morza. Stąd rzeka zwraca się na północ kraju Russów, a następnie skręca w kierunku zachodu.

Na zachód od nich leży Czarne morze. Jest tam wyspa, na której rosną wysokie drzewa. Panuje na niej nieprzenikniona ciemność i nie widać światła słonecznego. Mieszkańcy tych stron palą w domach światło w nocy i we dnie, z powodu słabego światła słońca. Opowiadają, że ludzie żyją tam jak zwierzęta, w stepach i pustyniach, głowę mają spoczywającą bezpośrednio na barkach, bez szyi. Chronią się w dziuplach drzew, nie mając domów. Jedzą żołądźce dębów.

Jest tam dużo wysp kwitnących. Plemion i ziem Russów jest trzy: jedna się nazywa Karkaban, druga — Talawat, trzecia — Arthā.

Ziemia Bułgarów leży w siódmej strefie. Niema w niej wielu ani licznych plemion. Na wschodzie leżą płaskowzgórza, na których koczują hordy Turków mongolskich. Są oni podobni do zwierząt i uciekają od widoku człowieka. Jest tam dużo miast. Ziemia ta ciągnie się od wschodu na zachód na przestrzeni siedmiu tysięcy siedmuset ośmdziesięciu mil. Jest to od strony wschodu kraniec siedzib ludzkich. Dalej na wschód są tylko koczowiska Turków, podobnych do zwierząt drapieżnych.

Co do miasta Bułgarów, stoi ono na brzegu rzeki Mānitas. Domy tego miasta są zbudowane z drzewa sosnowego, mury miejskie są dębowe. Z wszystkich stron żyją niezliczone plemiona Turków, z wszystkich stron miasto jest otoczone licznymi wrogami, którzy toczą z niem nieustanne wojny. Opowiada Dżawalikī, autor dzieła «Przejście przez kraje», że w tej stronie najkrótszy dzień zimowy trwa trzy i pół godziny, tylko tyle, ile trzeba na cztery modlitwy, kolejno odmawiane jedna po drugiej; temu odpowiada najdłuższa noc. Zimna panują tam surowe; śnieg nietylko zimą, lecz nawet w lecie leży wieczny.

Opowiadają, że ludzie, którzy uwierzyli w proroka bożego Hūda, niech spoczywa w opiece boskiej, ratowali się ucieczką do krajów północnych i schronili na ziemi Bułgarów. Świadczy o tem to, że plemię Bułgarów do dziś dnia znajduje w ziemi spróchniałe kości ludzkie. Czaszki ludzi tych wykopalisk mają rozmiary wielkiego sklepienia. Szerokość każdego zęba wynosi dwie piędzie, długość — 4 piędzie, a są białe jak kość słoniowa. Kły mają trzy rozgałęzienia, a wielkość każdego równa się olbrzymiemu melonowi. Zważono niegdyś jeden z tych kłów. Waga wynosiła około dwunastu funtów egipskich. Długość szkieletu tułowia mierzyła około dwudziestu ośmiu łokci, a szerokość — trzy piędzie; żebro było podobne do deski z białego marmuru.

Opowiada Ukłiszi: widziałem w ziemi Bułgarów w roku pięćset trzydziestym żyjącego człowieka, potomka plemienia Adytów. Żył w Bułgarji. Wzrostu był więcej niż siedem łokci. Nazywał się Dalkā. Brał konia pod pachę, jak człowiek bierze małe dziecko. A gdy się zdarzała wojna w owych okolicach, walczył drzewem dębowem, którem wywijał jakby kijem; gdyby uderzył niem słonia, zabiłby go na miejscu. Był to człowiek dobry, skromny; przy spotkaniu witał mnie z wielkiem uszanowaniem. Gdy się z nim witałem, głowa moja dochodziła mu do łędźwi. Miał siostrę, tak samo wysoką; żyje ona w mieście Bułgar. Opowiadają, że gdy raz przycisnęła męża do piersi, połamała mu żebra i umarł na miejscu, — a nazywał się Adam. W mieście Bułgar żadna łaźnia nie mogła jej pomieścić; tylko jedna, która została zbudowana z jej polecenia z wielką bramą.

D. LITERATURA FILOZOFICZNA

AL-FĀRĀBĪ

(um. w r. 950)

Z KSIĘGI ZGODNOŚCI MIĘDZY PLATONEM A ARYSTOTELESEM

Księga zgodności między poglądami boskiego Aflātūna (Platona) i Aristātāalisa (Arystotelesa), przez szejcha i imāma, znanego pod imieniem Drugiego Mistrza, Abū Naṣr Al-Fārābī, niech miłosierdzie Boże będzie nad nim.

Niech będzie chwala Szafarzowi i Twórcy rozumu, Temu, który wszystkiemu nadaje kształt i wszystko do życia powołuje. Dostateczne są jego odwieczne laski, którymi nas obsypuje i Jego opieka. Błogosławieństwo Jego niech spocznie nad Panem proroków, Mahometem, i jego rodem.

A następnie: widząc, że większość naszych współczesnych zabiegliwie krząta się i wzajemnie zachęca do rozwiązania zagadnienia o powstaniu wszechświata lub też o jego odwiecznym trwaniu, dokoła tego zagadnienia gorące toczy spory i twierdzi, że pod tym względem zachodzą różnice poglądów między obu wybitnymi dawnymi mędrkami, zarówno co do przypuszczenia o istnieniu Pierwszego Stwórcy, jako też co do istnienia czynników pośrednich między nim a jestestwem, następnie co do zagadnienia o duszy i rozumie, o wynagrodzeniu za czyny dobre i złe, wreszcie co do wielu innych spraw z dziedziny politycznej, etycznej i logicznej, — zapragnąłem w niniejszym traktacie wykazać zgodność poglądów obu tych mistrzów i wyluszczyć właściwą treść ich twierdzeń, aby stała się jasną zgodność ich przekonań i ustąpiła wszelka wątpliwość i niepewność z serca tych, którzy ich pisma czytają. Pragnę też wyświetlić te ustępy ich pism, które wywołują rozbieżne pojmowanie i nasuwają różne wątpliwości. Albowiem są to przedmioty najbardziej ważne, wymagające wyświetlenia, i zagadnienia, które objaśnić i wyłożyć jest sprawą najbardziej użyteczną.

Pojęciem i treścią filozofji jest poznawanie istnienia w tej mierze, w jakiej istnieje. Otóż owi obadwaj filozofowie właśnie są twórcami filozofji, założycielami jej początków i podstaw, budowniczymi jej następstw i wyników. W obu tych mędrkach pokładamy nasze zaufanie w małych i wielkich, nikłych i ważnych sprawach filozofji. Wszystko, co od nich pochodzi w jakiegokolwiek sprawie z tej dziedziny, stało się podstawą dla dalszej budowy, do tego słońca wszystko jest wolne od wszelkiej skazy i plamy. Wyznają to wszelkie języki, świadczą wszelkie umysły, jeśli nie wszystkich, to przynajmniej większości ludzi czystego serca i nieskazitelnego umysłu.

Ponieważ więc słowo i przeświadczenie są słuszne jedynie wówczas, gdy są zgodne z tem, o czem coś wypowiadamy, ponieważ dalej zachodzą różnice między wypowiedziami obu filozofów w różnych dziedzinach tej wiedzy, przeto rzecz może mieć trzy różne postaci. Albo powyższe określenie treści filozofji nie jest prawdziwe, albo też zdanie i przeświadczenie wszystkich lub większości ludzi o filozofji obu tych mężów jest fałszywe i bezpodstawne, albo wreszcie błąd leży w wiedzy tych, którzy upatrują rozbieżność co do tych zasad podstawowych.

Prawdziwe określenie musi dokładnie odpowiadać dyscyplinie filozoficznej. Wynika to jasno z przeglądu poszczególnych części tej gałęzi wiedzy. A przedmiot i materiał wiedzy jest z konieczności natury teologicznej albo fizycznej, albo logicznej, albo propedeutycznej (matematycznej), albo wreszcie politycznej.

Dyscyplina filozoficzna jest właśnie tą dziedziną wiedzy, która te przedmioty najaw i światło dzienne wyprowadza, tak, że niema nic we wszechświecie, do czego filozofja nie znalazłaby wejścia i nie dążyła do jego zbadania oraz nie dałaby nam o nim sumy wiedzy w granicach ludzkiej zdolności poznania.

O ODWIECZNYM TRWANIU WSZECHŚWIATA I JEGO STWORZENIU W CZASIE

Tu należy również zagadnienie o odwiecznym istnieniu wszechświata lub też jego powstaniu w czasie, oraz pytanie, czy wszechświat ma stwórcę, który jest jego czyn-

nikiem twórczym (przyczyną twórczą), czy nie? O Arystotelesie sądzą, że mniema on, iż świat jest odwieczny, a o Platonie przypuszczają, że sądził, jakoby świat został stworzony. Ja zaś powiadam, że skłoniło ludzi do tego zdroźnego i nagannego poglądu na mędrca Arystotelesa jego powiedzenie w księdze p. I. «Topika», że czasami bywa, iż z jednego zdania na podstawie powszechnie znanych przesłanek można wyprowadzić wniosek dwojaki, naprzykład wniosek następujący: ten świat jest odwieczny albo nie jest odwieczny. Otóż co do tej sprzeczności trzeba przedewszystkiem zauważyć, że nie wolno wywodzić wniosków z powiedzeń, przytaczanych jako przykłady, a następnie zadaniem Arystotelesa w «Topice» nie jest wyłożenie wiedzy o wszechświecie, lecz rozpatrzenie wniosków, wyprowadzanych z powszechnie znanych przesłanek. Otóż Arystoteles stwierdził, że jego współcześni tak samo mieli sprzeczne i wręcz przeciwnie zdania co do zagadnienia, czy świat jest odwieczny, czy też w czasie stworzony, jak co do tego, czy rozkosz jest rzeczą dobrą czy złą, i że przytaczali na korzyść obu twierdzeń różne pospolite ogólniki.

E. LITERATURA ASTRONOMICZNA

AL-FĀRĀBĪ

(um. w r. 950)

Uwagi Abū Naşra Al-Fārābiego o tem, co jest prawdziwego i nieprawdziwego we wpływie gwiazd.

WSTĘP

Abū Ishāk Ibrāhīm, syn 'Abdallāha z Bagdadu, opowiada, co następuje: Byłem pełen gorącego pragnienia poznania wpływu gwiazd na sprawy świata i przejęty szczerem dążeniem do zdobycia wiedzy o tem, pełen gorliwości w jej poszukiwaniu, wytrwały w zgłębianiu ksiąg o niej traktujących, zachwycony ich wertowaniem, pełen uwagi i wiary w jej prawdziwość, bez cienia wątpienia, że jeżeli się w tej nauce napotykają jakie błędy, wynikają one jeno z niedostatecznej zdolności uczonych do zdobywania wszystkiego, co w niej jest potrzebne, i zbyt małej staranności mędrców, którzy dokonywają obliczeń i pomiarów i władają różnemi przyrządami przy swych czynnościach. Gdyby zaś zostały usunięte te przeszkody i padły te zapory, okazałaby się prawdziwość wszystkich twierdzeń, ziściłyby się wszelkie przepowiednie, ludzkość osiągałaby wielkie korzyści z postępów tej nauki, zostałaby udostępniona wiedza o tem, co ma nastąpić, odsłoniłoby się naszym oczom to, co jest ukryte, i odkryłoby się to, co jest nieznane.

W tem przeświadczeniu trwałem przez pewien czas i w ciągu tego okresu starałem się opanować metodę obliczeń, badałem stan obserwacji gwiazd i rodzaje przyrządów i gorliwie poznawałem wszystko. Ale im dalej się zagłębiałem, tem więcej się oddalałem od celu moich poszukiwań i tem bardziej wpadałem w zwątpienie, tak, że wkońcu opanowała mnie niepewność i przygnębienie.

Więc począłem wertować zwoje pism starodawnych mędrców, aby znaleźć w nich ukojenie mego stanu, i znalazłem, że dzieła uczonych i badaczy istoty wszechrzeczy nie mi nie dały innego, a ich orzeczenia są niejasne i nie mogą służyć za wskazówkę. Tym sposobem wkońcu nawet to, co dotychczas było dla mnie pewnikiem, stało się wątpliwem, co było przeświadczeniem, stało się przypuszczeniem, pewność — wahaaniem, a jawne — tajemnicą.

Gdy tak upływały dni i przeciągał się okres, w którym żyłem w wyżej opisanym stanie ducha, zdarzyło mi się spotkać Abū Naşra ben Muḥammad Al-Fārābiego. Więc zacząłem przed nim utyskiwać na to wszystko. Wyłożyłem mu, z jaką gorliwością zabrałem się do poznania całego obszaru wiedzy i zbadania, co jest w niej prawdziwego, a co nie odpowiada rzeczywistości. Prosiłem go, aby mi odkrył to, co w tej dziedzinie jest prawdziwego, i wyłożył to, co mu jest jasne w metodyce dawnych

mędrców. Abû Nasr odpowiedział na moje nagabywania i jał mi wykładać jedną podstawę po drugiej i jedną zasadę po drugiej tych przedmiotów, do których właściwej istoty i wartości dotrzeć można. Prowadziliśmy spory na ten temat, on mi oponował, a ja przytaczałem moje przeciwne argumenty, on mię zbijał, a ja odpowiadałem innemi faktami z tej dziedziny.

Pewnego dnia wyjął Abû Nasr traktat, przezeń napisany, zawierający pojedyncze rozdziały i notatki pamięciowe, jak je był zebrał i zestawił w różnych okresach, kiedy się temi zagadnieniami zajmował i swoim słuchaczom wykladał, a wkońcu swoim zwyczajem ułożył je w formę dzieła czy też pisma. To dzieło przepisałem całkowicie i zgłębiłem jego treść, uzupełniając je własnymi dociekaniem, tak, że wkońcu tą drogą nareszcie dotarłem do swego celu i uchwyciłem przewodnią nić zagadnienia, nad którym tyle się biedziłem; spadł mi z serca ciężar zwątpienia i niepewności, którego dotychczas pozbyć się nie mogłem, i stała się dla mnie jasną droga ku nieosiągalnemu i niemożliwemu przez wnioski astronomiczne.

Więc przepisałem ci oto kopję owej rozprawy, abyś ją zgłębił i napelnił się uciechą.

Z DZIEŁ CZYSTYCH BRACI

UKŁAD KRĘGÓW I STOPNI NIEBIESKICH

Wiedz, że Ziemia, na której żyjemy, tworzy jedną kulę wraz z wszystkimi, jakie się na niej znajdują, górami i pieczarami, stepami, morzami i rzekami, pustkowiami i okolicami zamieszkałymi. Kula ta znajduje się w środku wszechświata, w środku oceanu powietrznego. Powietrze otacza ją z wszystkich stron, jak białko jajka otacza żółtko. Krąg Księżycowy otacza atmosferę powietrzną z wszystkich stron, jak skorupa jajka otacza białko. Krąg Merkurego otacza krąg Księżyca w sposób powyższy, i tak dalej co do pozostałych kręgów, aż do kręgu, który obejmuje sobą wszystko, jak to rzekł Bóg Wszchemocny: wszystkie gwiazdy, każda w swoim firmamencie, chwałą Boga (Koran, Sura 36, wiersz 40).

Taki jest układ kręgów i kształt głębi siedmiu niebios. Stąd jasne jest, że wszechświat składa się z jedenastu kul, z których dwie się znajdują wewnątrz kręgu pierwszego czyli Księżycowego, a mianowicie Ziemia i Powietrze. Albowiem Ziemia i Woda stanowią jeden krąg, a Powietrze i Eter są również jednym kręgiem. Poza niemi znajduje się dziewięć kręgów, opasujących jeden drugi.

O TEM, ŻE WE WSZECHŚWIECIE NIEMA PRÓŻNI

Wiedz, że te kręgi opasują się wzajemnie, jak się otaczają błony cebuli, tak, że wewnętrzna powierzchnia opasującego kręgu dotyka zewnętrznej powierzchni opasanego. Pomiędzy niemi zaś niema żadnej próżni, ani wolnej przestrzeni...

Wybór i układ I. Wajnberga.